

NR 4 (99)
kwiecień
2009

DODATEK: PŁYTA DVD Z FILMAMI
• DNI MOJEGO ŻYCIA... AUSCHWITZ.
HISTORIA PRAWDZIWA
• ELŻBIETA ZAWACKA –
– MIAŁAM SZCZĘŚLIWE ŻYCIE

BIULETYN

INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ



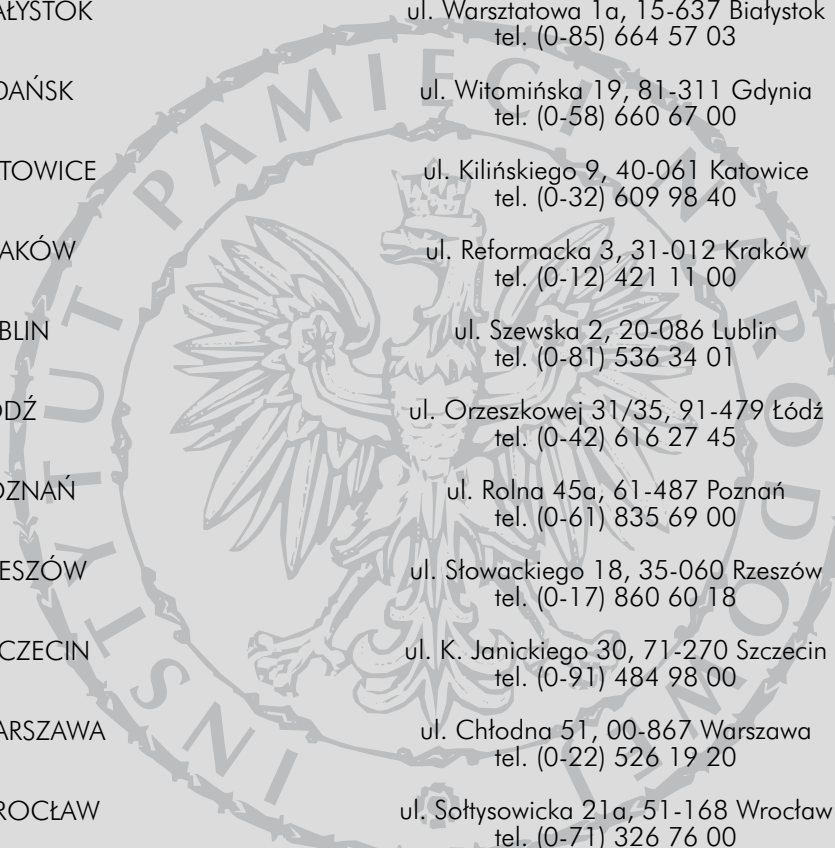
Niemieckie obozy i sowieckie łagry



numer indeksu 374431
nakład 10000 egz.
cena 7 zł (w tym 0% VAT)

ODDZIAŁY IPN

ADRESY I TELEFONY



BIAŁYSTOK	ul. Warsztatowa 1a, 15-637 Białystok tel. (0-85) 664 57 03
GDAŃSK	ul. Witomińska 19, 81-311 Gdynia tel. (0-58) 660 67 00
KATOWICE	ul. Kilińskiego 9, 40-061 Katowice tel. (0-32) 609 98 40
KRAKÓW	ul. Reformacka 3, 31-012 Kraków tel. (0-12) 421 11 00
LUBLIN	ul. Szewska 2, 20-086 Lublin tel. (0-81) 536 34 01
ŁÓDŹ	ul. Orzeszkowej 31/35, 91-479 Łódź tel. (0-42) 616 27 45
POZNAŃ	ul. Rolna 45a, 61-487 Poznań tel. (0-61) 835 69 00
RZESZÓW	ul. Słowackiego 18, 35-060 Rzeszów tel. (0-17) 860 60 18
SZCZECIN	ul. K. Janickiego 30, 71-270 Szczecin tel. (0-91) 484 98 00
WARSZAWA	ul. Chłodna 51, 00-867 Warszawa tel. (0-22) 526 19 20
WROCŁAW	ul. Sołtysowicka 21a, 51-168 Wrocław tel. (0-71) 326 76 00

BIULETYN INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

Kolegium: Jan Żaryn – przewodniczący,
Marek Gałęzowski, Łukasz Kamiński, Kazimierz Krajewski, Filip Musiał,
Barbara Polak, Leszek Próchniak, Jan M. Ruman, Andrzej Sujka, Norbert Wójtowicz

Redaguje zespół: Jan M. Ruman – redaktor naczelny (tel. 0-22 431-83-74), jan.ruman@ipn.gov.pl
Barbara Polak – zastępca redaktora naczelnego (tel. 0-22 431-83-75), barbara.polak@ipn.gov.pl
Andrzej Sujka – sekretarz redakcji (tel. 0-22 431-83-39), andrzej.sujka@ipn.gov.pl
Piotr Życieński – fotograf (tel. 0-22 431-83-95), piotr.zyciensi@ipn.gov.pl
sekretariat – Maria Wiśniewska (tel. 0-22 431-83-47), maria.wisniewska@ipn.gov.pl

Projekt graficzny: Krzysztof Findziński; redakcja techniczna: Andrzej Broniak;
tamanie: Wojciech Czaplicki; korekta: Beata Stadrzyńiak-Saracyn

Adres redakcji: ul. Hrubieszowska 6a, Warszawa
Adres do korespondencji: ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa

www.ipn.gov.pl

Druk: „2 K” s.c., ul. Płocka 35/43, 93-134 Łódź

BIULETYN

INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

NR 4 (99)

KWIECIEŃ

2009

SPIS TREŚCI

■ ROZMOWY BIULETYNU

Żyjemy tu, nie czując pod stopami ziemi. O literaturze łagrowej z prof. Dariuszem Tołczykiem rozmawia Łukasz Michalski..... 2

■ KOMENTARZE HISTORYCZNE

Sławomir Kalbarczyk – **GUłag: niewolnictwo XX wieku** 11

Maria Wardzyńska – **Obozy niemieckie na okupowanych terenach polskich** 24

Aleksandra Pietrowicz – **Lager der Blutrache – obóz krwawej zemsty** 31

Rafał Sierchuła – **Więzienie policji bezpieczeństwa i obóz pracy w Żabikowie** 42

Anna Jagodzińska – **Dachau we wspomnieniach księży-więźniów** 46

Zdzisław Jan Ryn – **Lekarze-więźniowie w Auschwitz-Birkenau** 61

Aleksander B. Skotnicki – **Hańba medycyny XX wieku. Lekarze niemieccy w obozach koncentracyjnych** 70

Artur Cegiełka – **Rozbicie obozu NKWD** 74

Michał Kalisz – **Rzeszowska golgota** 81

■ DOKUMENTY

Jacek Pawłowicz – **Witold Pilecki – ochotnik do piekła** 88

■ SYLWETKI

Marek Gałęzowski – **„Sokół” z Chochotowa. Życie Stanisława Frączystego (1917–2009)** 100

■ RELACJE I WSPOMNIENIA

Tadeusz Sobolewicz – **Trudne powroty** 106

■ **ZMARLI** 109

■ **WYDARZENIA** 114

Na okładce: str. I – widok KL Dachau (fot. Tadeusz Cyprian, AIPN); str. IV – Zwłoki więźniów przed krematorium w Dachau (fot. nadesłał Jan Miksa, AIPN).

ŻYJEMY TU, NIE CZUJĄC POD STOPAMI ZIEMI

**O LITERATURZE ŁAGROWEJ Z PROF. DARIUSZEM TOŁCZYKIEM
ROZMAWIA ŁUKASZ MICHALSKI**



Ł.M. – Wśród autorów literatury łagrowej znaleźli się także ci, którzy może nie akceptowali łagrowej rzeczywistości, ale akceptowali system, który ją stworzył. Dysponujemy wieloma takimi relacjami. W dodatku ten poziom akceptacji daje się dość ciekawie stopniować. Istnieje także wiele opisów nie pochodzących wcale z autopsji, lecz stanowiących wypełnienie pewnej dyspozycji politycznej.

D.T. – Łagry sowieckie, w odróżnieniu od niemieckich kacetów, trwały przez długie dziesięciolecia i w tym czasie

ewoluowały. W doktrynie komunistycznej podstawową kategorią była klasa. Zakładano teoretycznie, że członkowie klas „wrogich”, które muszą ustąpić proletariatu, mogą się „poprawić” czy „zrozumieć swoje błędy”, a tym samym uzyskać nową „proletariacką świadomość”. W bolszewickim aparacie od początku istniała niewielka grupa ludzi wierzących w to, że poprzez „uczciwą pracę” i indoktrynację można członkom „straconych klas” zaoferować taką reedukację – czyli, jak to nieco później nazwano, *pierekówkę*.

Oczywiście, były to pobożne życzenia. Większość bolszewickich kadr po prostu śmiała się z takiego sposobu myślenia, jednak samo w sobie było to bardzo chwytliwe i wygodne hasło. Pozwalało pokazywać i uzasadniać cały system łagrowy w kategoriach jak najbardziej humanistycznych.

Na początku reedukacja dotyczyła niemal wyłącznie kryminalistów, nie zaś wrogów klasowych. Jeśli o tych ostatnich chodzi, to w początkowym okresie stosowano raczej „prostolinijny” język, mówiąc, że należy ich po prostu unicestwić. W obrębie tej frazeologii w dobrym tonie było nawet chwalenie się okrucieństwem, brutalnością. W literaturze sowieckiej w tym czasie jest bardzo wiele okrucieństwa i bezwzględności. Czekiści stali się nowymi bohaterami romantycznymi, tyle że już bez nuty sentymentalizmu – oni byli lepsi niż reszta społeczeństwa. Nie tylko powierzano im trudniejsze zadanie, ale także byli w stanie przetrwać z gubne dla rewolucji, normalne odruchy moralne, które nadal „ciążyły” na normalnych ludziach. Taka retoryka była w latach dwudziestych powszechna. Na przykład Borys Pilniak, Eduard Bagricki, nie mówiąc już o Demianie Biednym i dziesiątkach innych autorów, pisali właśnie w ten sposób. Włodzimierz Majakowski bez przerwy wychwalał Czekę.



Ł.M. – Niewiele wiemy o tym, co w Sowietach było na pewnym etapie bardzo istotnym zjawiskiem – z naszej perspektywy absolutnie szokującym – czyli o oficjalnej, panegirycznej literaturze łagrowej. *Księga Kanatu Biełomorskiego* to chyba najsympliczniejszy przykład – porażające są w niej nie tyle same opisy, co nazwiska autorów – jest to kwiat literatury rosyjskiej! Czy to był swego rodzaju „kontyngent”, który każdy pisarz sowiecki musiał „oddać”, czy też – na ile w ogóle w Sowietach było to możliwe – miało to charakter wolnego wyboru, świadomej decyzji?

D.T. – Na początku lat trzydziestych wyciszono całą krwiożerczą frazeologię rewolucyjną, a zamiast niej retoryką obowiązującą wobec całości tematyki GUŁagu stała się retoryka *pierekowki*, tzn. reedukacji, resocjalizacji. W tym czasie najliczniejszą kategorią więźniów byli rozkułaczani chłopci. Powstało pytanie: jak ich traktować? Czy jako „wrogów klasowych”, czy jako kryminalistów? W efekcie są oni przedstawiani jako jedni i drudzy jednocześnie. Bo ten, komu się skonfiskowało jego własność, a on zamiast być wdzięczny – stara się wciąż jej bronić, to nie tylko wróg klasowy, ale też „złodziej mienia społecznego”. Tym samym retoryka *pierekowki* dotyczyła już całości zjawiska GUŁagu, a nie tylko „klasycznych” kryminalistów, jak przedtem. Ten proces ma swój początek pod koniec lat dwudziestych – mniej więcej w roku 1928. Szczególnie dobrze widać to w przypadku obozu na Sołowkach. W 1929 r. Maksym Gorki, po ośmioletnim pobycie w Sorrento, odbywa podróż po Związku Sowieckim. Dysponujemy już osobistymi zapisami z jego dzienników, w których pisał: „*kak sobaka – wsio wižu, no mołczu*”. Niestety, na milczeniu się nie skończyło. Gorki pisze pochwalną, kompletnie zakłamaną laurkę dla OGPU. Mówi się, że była to odpowiedź na książkę niejakiego Malsagowa – tak przynajmniej twierdził Dmitrij Lichaczow, który w tym czasie był więźniem Sołówek, a potem jednym z największych historyków średniowiecznej kultury ruskiej. Malsagow był Czecczenem, oficerem białej gwardii, któremu udało się uciec z Sołówek, a następnie wydać w Londynie w 1926 r. książkę o tym obozie. I właśnie w celu propagandowego przeciwdziałania skutkom jej wydania zaaranżowano wizytę Gorkiego na Sołowkach, który miał swoje powody, żeby się przysłużyć reżimowi sowieckiemu. Zadanie wykonał ku wielkiemu zadowoleniu swoich sponsorów z Łubianki. Pojawiały się zresztą również inne, podobne opracowania. Na przykład zastępca komendanta obozu na Sołowkach, niejaki Matwiej Pogrebinski, napisał książkę *Fabrika ludiej*. W jego ujęciu nie była to bynajmniej fabryka śmierci, tylko „zakład odrodzenia”, miejsce wykuwania nowych sowieckich ludzi. A Nikołaj Pogodin stworzył w 1934 r. komedię o łagrach na Kanale Biełomorskim *Arystokraci*, wystawianą na wielu scenach, nie tylko w ZSRS. Według niej powstał film *Więżniowie*. To nowe podejście do GUŁagu to nie tylko wizyty pisarzy, artykuły w gazetach czy filmy. W tej propagandzie udział brali, pod naciskiem odpowiednich „zachęt”, także sami więźniowie. W łagrach powstawały liczne przedstawienia, wewnątrzłagrowa „prasa”, gazetki ścienne (oczywiście z „kącikiem humoru”), w których ofiary chwaliły swój los i swoich panów.

Sprawa *Biełomorkanatu* została oczywiście zainicjowana odgórnie. To był okres monopolizowania literatury rosyjskiej oraz tworzenia jednolitego i całkowicie kontrolowanego Związku Pisarzy Sowieckich. Chodziło już nie tylko o to, żeby wszyscy chwalili, ale także, by władza dokładnie kontrolowała, w jaki sposób chwalą. Nad inicjatywą napisania *Biełomorkanatu* patronat objęło z jednej strony – OGPU (sam Gienrich Jagoda był osobiście bardzo w to zaangażowany), a z drugiej – objęła grupa pisarzy przygotowujących formułę i program nowo powstającego związku literatów. Zaraz po ukończeniu budowy kanatu

w 1933 r. pojechało, by go obejrzyć, łącznie 120 pisarzy. Ta skala jednak coś pokazuje. Po tej ekskursji już tylko wybranych 36 pisarzy uczestniczyło w przygotowaniu kolektywnego tomu pod redakcją Maksyma Gorkiego, Leopolda Awerbacha (byłego szefa RAPP) i Siermiona Firina, który był komendantem obozu.

Ł.M. – Cóż za wspaniała, symboliczna *trojka!* I wzorowa współpraca między wielkim pisarzem, czynownikiem od sowieckiej literatury i komendantem łagru.

D.T. – Taka właśnie, kolektywna, była formuła „nowej literatury”. Miała ona stanowić broń przeciw wszystkim odzywającym się już za granicami głosem świadków, zbiegów, czyli ludzi ujawniających prawdę o GUłagu. To wszystko były relacje jednostkowe, a więc – jak sugerowano – subiektywne. Ich autorzy mogli mieć przecież antysowieckie uprzedzenia czy inne powody do krytyki systemu. A w przypadku *Księgi*, o której mówimy, jest to dzieło 36 pisarzy naraz! Pisarzy, którzy wzajemnie się uzupełniają, pomagają sobie i są wszyscy tego samego zdania...

Ł.M. – Pisarzy nie byle jakich, dodajmy...

D.T. – Właśnie. Czyli mamy tu „pełen obiektywizm”. Punkty widzenia tylu pierwszorzędnych pisarzy doskonale się nawzajem uzupełniają. Któż mógłby podważyć wiarygodność tego obrazu? Jeśli spojrzeć bliżej, mamy tu wielu nietuzinkowych twórców i równie wiele motywacji – na ile da się je dziś odtworzyć. Z jednej strony – Gorki, który w Związku Sowieckim miał status „boga od literatury”. (Nigdy w historii żaden pisarz nie był tak czczony za życia jak on w ZSRS. Jego imieniem nazwano miasto, nie mówiąc już o ulicach, kołchozach, fabrykach, instytucjach, uniwersytetach i pomnikach. A Gorki był bardzo czuły na punkcie własnej sławy). Z drugiej strony – Wiktor Szktowski, wielki teoretyk literatury, formalista ostro wówczas krytykowany ideologicznie, który co prawda nie pojechał z całą grupą, ale potem zwiedził wszystko sam i dołączył się już na etapie tworzenia „dzieła”, miał zupełnie inne powody – konkretnie brata w GUłagu. (Liczył na to, że jeśli jego nazwisko znajdzie się wśród autorów, może uda mu się jakoś wyciągnąć brata z obozu). Jeszcze z innej strony – młody wówczas pisarz proletariacki, Aleksander Awdiejenko, który pisał potem o tej wizycie, że najbardziej zachwycało go to, że znalazł się wśród wielkich pisarskich tuzów epoki – Maksyma Gorkiego czy Michaiła Zoszczenki, Aleksego Tołstoja, duetu: Ilji Ilf i Eugeniusza Pietrowa – najgłośniejszych pisarzy w Związku Sowieckim w tym czasie. Z rozbijającą szczerością pisał: „Mogliśmy jeść kiełbasę, ser, kawior, owoce, czekoladę, piliśmy wino, koniak. I nie musieliśmy płacić!”. Były proletariusz nagle poczuł się „królem życia”. Co innego książkę Dmitriji Swiatopołk-Mirski. Był autorem *Historii literatury rosyjskiej*, którą do dziś studiuje się na uniwersytetach anglosaskich. Arystokrata, walczył w wojnie domowej, oczywiście po stronie białych, wyemigrował, wykładał na Oxfordzie, ale doszedł do wniosku, że wolałby jednak wrócić do ojczyzny. Tak zrobił i jego udział w *Biełomorkanale* można potraktować jako rodzaj „wkupnego”, chęć „zmazania win” – w końcu był nawróconym wrogiem i musiał udokumentować swoje nawrócenie. Nie sposób też nie wspomnieć o Brunonie Jasieńskim, byłym poecie polskim, a wówczas już sowieckim pisarzu wspinającym się po szczeblach kariery w państwowym aparacie literackim. Poza tym, rzecz wówczas normalna, kiedy proponowano komuś udział w takim przedsięwzięciu – a był to już rok 1933 – była to propozycja nie do odrzucenia.

Ł.M. – To jest trochę tak, jak z owym słynnym opisem uroków życia związanych z „pachnącą skórą legitymacją związku pisarzy” z *Mistrza i Małgorzaty*. Michaił Bułhakow wspaniale opisuje, jak lekko się żyje, będąc posiadaczem tego „cudownego kartonika”, a w podtekście, jak paskudnie trzeba się męczyć, nie posiadając go.

D.T. – Bułhakow odmówił uczestnictwa w tej imprezie. Ale był wyjątkiem. Trzeba jednak podkreślić, że odmówił i nic mu się nie stało.

Ł.M. – Czyli można było, jak się okazuje...

D.T. – Można było, aczkolwiek jest to reakcja wyjątkowa, zresztą Bułhakow starał się po prostu wytać. To nie była pryncypialna odmowa: „Nie pojedę, bo się z tym nie zgadzam!”. Tym niemniej była. Poza tym nie wiadomo, czy gdyby to zrobił ktoś inny, toby przeżył. Choć, patrząc z perspektywy historycznej, nie sposób się oprzeć ironii: wielu z tych, którzy wzięli udział – nie przeżyło następnych kilku lat, a Bułhakow – tak. Prawdopodobnie właśnie w GUŁagu stracił życie jego piewca Bruno Jasieński. Księcia Mirskiego rozstrzelano jako białego agenta. Z wymienionej już trójki głównych redaktorów nie ocalał nikt. Gorki zmarł w 1936 r. chyba śmiercią naturalną, choć nie jest to pewne. Awerbach i Firin zostali rozstrzelani. Podobnie jak bardzo wielu pisarzy biorących udział w wychwalaniu najpierw okrucieństw rewolucji, a potem GUŁagu.

Ł.M. – Czy wiemy coś o rzeczywistych odczuciach i reakcjach autorów, będących jednak ludźmi inteligentnymi i wrażliwymi, często doskonale wykształconymi, co ważniejsze – w większości świetnie pamiętającymi Rosję carską? Czy pozostały jakieś świadectwa, choćby ułamkowe, wskazujące na, mówiąc wprost, wyrzuty sumienia? Czy oni uświadamiali sobie, jak gigantycznej w gruncie rzeczy podłości się dopuszczają?

D.T. – To jest pytanie zbyt ogólne, w każdym z przypadków trzeba by udzielać osobnych odpowiedzi. Pierwszy z brzegu przykład – Aleksander Fadiejew, czołowy „aparaczyk” od literatury za czasów Stalina. Nie wytrzymał i popełnił samobójstwo, i to w momencie, gdy nic mu już nie groziło – w 1956 r., po referacie Chruszczowa. Nie wspominając o tym, że podczas swojej kariery kompletnie się zapijał.

Ł.M. – Podobnie jak Majakowski... Czy dysponujemy podobnymi, jak zapis w dziennikach Gorkiego, relacjami innych osób?

D.T. – Sztuka życia i przeżycia w Związku Sowieckim, zwłaszcza za Stalina, polegała na ciągłym kłamstwie i ukrywaniu prawdziwych emocji czy myśli. Tak więc możemy polegać głównie na fragmentarycznych, anegdotycznych źródłach lub prywatnych zapiskach. Byli tacy, którzy nauczyli się sami wierzyć w to, co ciagle mówili.

Ł.M. – Gorkiego za czasów carskich nazywano „sumieniem narodu”. Wydaje mi się, że on jest symbolem tego, co zrobiono z inteligencją rosyjską w czasach komunizmu. Z drugiej strony wiadomo, że pozycja pisarzy czy poetów w Rosji była niezwykła, nieporównywalna do innych krajów, i to grubo przed nadejściem bolszewików. Stąd

tym bardziej istotna wydaje mi się próba dokonania pewnej generalizacji, czy mimo wszystko istniało w nich poczucie haniebnosci tej sytuacji? A może pragnienie napisania prawdy? Czy sowieccy twórcy próbowali, choćby w nielicznej mniejszości, w jakiś sposób „odkupić” swoje zaprzeczenie zła, to literackie „firmowanie” największej w dziejach ludzkości zbrodni, choćby przez twórczość „do szuflady”?

D.T. – Jak się wyraził Sołżenicyn: „w Rosji literatura to druga władza”. Rzecz w tym, że „rząd dusz” można rozmaicie rozumieć i sprawować. Można się sprzymierzyć z totalitarną władzą i powtarzać sobie, że w ten sposób uczestniczy się w przekształcaniu umysłów, chociaż, oczywiście, jest się w tym procesie tylko narzędziem. Albo odwrotnie – można mimo wszystko mieć nadzieję, że ludzie kiedyś się wyzwolą z całego tego szaleństwa, prawda wypłynie na wierzch i wówczas rząd dusz stanie się (choćby pośmiertnie) udziałem tych, którzy tę prawdę głosili lub chociaż zapisali w tajemnicy. A jeśli chodzi o poczucie hańby, to istniały na to różne sposoby, z których podstawowym była po prostu wódka – w ten sposób zagłuszano sumienie. Fadiejew jest tu świetnym przykładem, ale w gruncie rzeczy to była powszechnie stosowana przez sowieckich literatów metoda. I wcale nieprzypadkowo.

Ł.M. – Była to próba „ogłuszenia duszy”?

D.T. – Po skali zjawiska sądząc, tak. Przykłady są niezliczone – weźmy choćby Aleksandra Twardowskiego. Jego ojciec i brat gniją w GUłagu i na zsyłkach, a on w tym czasie robi wielką karierę literackiego aparatczyka. Przecież wiedział doskonale, choćby przez swoje rodzinne doświadczenie, co jest ten cały system wart. Gdy przyszła chruszczowowska odwilż, chwycił się nawet najślabszej nadziei, że może jednak komunizm da się jakoś zmienić, polepszyć. To przecież on wylansował w ZSRS Sołżenicyna i próbował poszerzać granice wolności słowa po odwilży... I jednocześnie nieustannie zagłuszał myśli alkoholem. Pisarze, którzy współpracowali z systemem w czasach stalinowskich, dostarczali usprawiedliwień, tworzyli propagandę i zakłamywali rzeczywistość – czynili to w większości ze zwykłego strachu. Choć nigdzie nie jest powiedziane, że człowiek piszący koniecznie musi zaraz publikować swoje płody i posiadać tę „cudowną, pachnącą świeżą skórą legitymację”. Pamiętajmy jednak, że pisarze cenięni przez władzę cieszyli się ogromnymi przywilejami. W stosunku do realiów sowieckich warunki, jakie im stwarzano, były po prostu egzotyczne. Z niczym nieporównywalne. Te daczę w Pieriedielkinie, osobne sklepy, mieszkania, gosposie, pensje, samochody itd. Na Zachodzie porównywalne standardy mogli zdobyć jedynie autorzy bestsellerów. To była niezwykle kusząca perspektywa. Zwłaszcza dla pisarzy ambitnych i niekoniecznie komercyjnych. W Związku Sowieckim taki posłuszny pisarz mógł mieć warunki, o jakich na Zachodzie nie mógłby nawet marzyć. I choć generalnie trzeba było być cenionym, a co najmniej zauważonym przez władzę, by taki status uzyskać, to jednak kryteria na pewnym poziomie przestawały być jasne. Stalin dużo czytał, bardzo cenił literaturę i miał do niej osobisty stosunek. Miał swoje gusta, np. nie bardzo podobała mu się literatura awangardowa. Wolał zdecydowanie dziewiętnastowieczną, tradycyjną stylistykę, ale umiał docenić dobrego pisarza. Za młodu pisał wiersze po gruzińsku i znawcy przedmiotu twierdzą, że to były całkiem niezłe utwory. Potrafił – sam dla siebie – rozróżnić pomiędzy czyjąś polityczną przydatnością a talentem literackim. I zależało mu na pozyskaniu wielkich pisarzy, a nie miernot – np. długo czekał, zanim zniszczył Osipa Mandelstama, a Bułhakowa nie pozwolił tknąć. Podobnie jak Borysa Pasternaka. Chodziło o to,

by jego czasy sławili wybitni twórcy, a nie literaccy wyrobownicy. Krótko mówiąc, rozumiał, że *ars longa, vita brevis*.

Ł.M. – Padło tu nazwisko Mandelsztama, a to prowadzi nas znów ku literaturze łagrowej, choć on sam takowych dzieł nie stworzył. Jest jednak doskonałym symbolem „literatury uwięzionej w łagrze”, a więc losu niezależnej twórczości w ZSRS. W obrębie literatury łagrowej istnieją co najmniej trzy różne podejścia do GUłagu. Sołżenicyn w *Archipelagu GUłag* rozróżnia trzy kategorie twórców literatury łagrowej. Pierwszą są ortodoksyjni komuniści, którzy – jego zdaniem – nic nie zrozumieli, bo nie chcieli zrozumieć. Drugą grupę stanowiły osoby, które doskonale rozumiały, co się wokół nich dzieje, ale cynicznie przedstawiały to równie fałszywie – Sołżenicyn nazywa to literaturą *pridurków* (czyli tych, którzy byli w obozie funkcyjnymi i niezbyt ciężko pracowali „pod dachem”; zazwyczaj byli to komuniści). Dopiero trzecią kategorią jest to, co można by nazwać „normalną” literaturą ofiar, najlepiej symbolizowaną przez Wartama Szafłamowa i samego Sołżenicyna. Nawet więc wśród ludzi, którzy doświadczyli piekła GUłagu, z trzech kategorii autorów, co najmniej dwie ten świat zakłamują. To dość przerażające.

D.T. – Zetknąłem się z ludźmi, którzy przeszli przez GUłag, przez całe to sowieckie piekło i następnie czynili wszystko, żeby komunizm podtrzymać, choć doskonale wiedzieli, z czym mają do czynienia. Jest to zjawisko tajemnicze, które możemy rozmaicie tłumaczyć. Głównie chodzi chyba o strach. Ci ludzie wiedzieli, co sowiecki reżim jest w stanie zrobić z tymi, którzy mu się narażają. A więc tylko posłuszeństwo daje cię nadziei na coś zblizonego do normalnego życia w tym systemie. Widać dużą różnicę między komunistami „krajowymi” a tymi, którzy przeszli przez to wszystko, a potem znaleźli się takim czy innym sposobem na Zachodzie i tam opublikowali swoje wspomnienia – jak Aleksander Weissberg, Margaret Buber-Neumann czy Elinor Lipper. Oni dawno wyzbyli się złudzeń i pisali prawdę. Podobnie Aleksander Wat, gdy znalazł się na Zachodzie. A byli więźniowie – publikujący w ramach systemu (np. dzięki jakiejś „odwilży”) – starali się kluczyć i przynajmniej sprawiać wrażenie popleczników władzy, która ich do łagru wsadziła. Ciekawym przykładem takiego kluczenia jest Eugenia Ginzburg. Przystąpiła do pisania pierwszego tomu książki *Stroma ściana (Krutoj marszruł)*, zamierzając go opublikować w Związku Sowieckim, zachęcona przykładem *Jednego dnia Iwana Denisowicza* Sołżenicyna. I od początku wiedziała, że pewnych rzeczy nie można napisać, że są pewne granice. Niedawno Wasilij Aksjonow, syn Eugenii Ginzburg, pytany o wstęp, napisany przez nią do pierwszego tomu *Stromej ściany*, o te wszystkie zachwyty nad „powrotem leninowskiej prawdy” po okresie „kultu jednostki” itp., odpowiedział: „*Eto malieńkaja chitrost*” – rzecz w tym, by oszukać cenzurę, bo samo w sobie świadectwo jest bezwzględnie demaskujące. Drugi tom z założenia miał się ukazać na Zachodzie (autorka „poszła w nim na całość”, pisząc tak, jak było, ale w końcu nie zgodziła się na jego publikację za swego życia). Ale i pierwszego nie udało się opublikować w ZSRS, ostrożność okazała się mimo wszystko niewystarczająca.

Ł.M. – To, co Sołżenicyn zarzuca literaturze *pridurków*, to z jednej strony swoiste „ulukrowanie” GUłagu, a z drugiej wizja, wedle której kto był „przyzwoity”, czyli pozostał „dobrym komunistą”, zostawał owym *pridurkiem* (co akurat jest prawdą w pewnym sensie), a na roboty ogólne – czyli do wykańczalni – trafiała „kryminal-

na swołocz” i prawdziwi „wrogowie ludu” – innymi słowy, słusznie tam trafiali. Jest w tym monstrualny fałsz i pojawia się natychmiast pytanie: czy w jakimś sensie ta literatura nie jest niebezpieczniejsza niż oficjalne panegyryki na cześć NKWD i GUłagu?

D.T. – Mówimy tu o takich autorach, jak Georgij Szelest, Borys Diakow czy Aleksander Ałdan-Siemionow, którzy wydali swoje utwory na fali chruszczowowskiej odwilży i są to świadectwa pisane z perspektywy więźniów pozostających wierzącymi komunistami. Te teksty doskonale ilustrują odwilżową linię i krytykę czasów Stalina. Chruszczow krytykował Stalina nie za masowe mordy, kolektywizację, wielki głód, łagry itp., ale za to, że podniósł rękę na partię i sowiecką elitę. Najlepszym potwierdzeniem słuszności chruszczowowskiej linii były świadectwa komunistów, którzy siedzieli w GUłagu, ale mimo to nie zwątpili w system. Wspomniani autorzy wypełniali to zamówienie. Rzeczywiście to są, przynajmniej teoretycznie, bardzo „przekonywujące” utwory, bo piszą je ludzie posiadający „autorytet” wynikający z osobistego doświadczenia więźnia-ofiary. To nie jest fikcja, to nie są już „ustawiane” wizyty pisarzy z wolności. Innymi słowy, relacje te mają solidny potencjał wiarygodności, a takie zafałszowanie jest tym groźniejsze. Oskarżają one (nieżyjącego) Stalina o to, że jego przemoc, brutalność dotyczyła właśnie komunistów. Szelest opisuje, jak to pod koniec wojny, czy tuż po jej zakończeniu, przywieziono do łagru nowych więźniów i, wymieniając ich, pisze, że byli to „własowcy, ukraińscy kolaboranci, rozmaici wrogowie”, jednym słowem, *wsiakaja faszystskaja nieczist’* i kilku „naszych ludzi”, tzn. komunistów. Ten podział jest bardzo wiele mówiący – mamy dwie kategorie więźniów: „hołotę” i „ludzi”.

Ł.M. – Czy ta literatura „przebiła się”, czy też poniosła klęskę? Czy dzisiaj jeszcze jest czytana?

D.T. – Literatury *pridurków* dziś już się nie pamięta i nikt, kto nie jest specjalistą, właściwie jej nie zna. Być może, gdyby taką relację napisał twórca obdarzony wielkim talentem, tego typu teksty dalej by funkcjonowały. Problem jednak jest głębszy. Sam przedmiot tych, przeważnie literacko słabych, świadectw nie jest wymyślony. To nie jest tak, że nie było więźniów-komunistów, którzy nawet w łagrach w dalszym ciągu nie popierali partii i systemu. Ginzburg na przykład pokazuje świetnie swoje towarzyszeki, komunistki w łagrach i znakomicie analizuje ten problem na sobie samej. Autorka jako przekonana komunistka trafiła do więzienia, potem łagru i dopiero wówczas rozpoczął się w niej cały proces powolnego odzyskiwania normalnej świadomości.

Ł.M. – Także Sołżenicyn taki proces przeszedł. Gdy go aresztowano, był przekonany marksistą-leninistą.

D.T. – Na tym przykładzie widać, w jak ogromnym stopniu język wartości ludzi wykształconych w Sowietach został przeżarty ideologią i retoryką marksistowsko-leninowską. Wiele osób nie potrafiło znaleźć innego języka, żeby wyrazić jakieś wartości. To jest przerażające. Ginzburg bardzo subtelnie analizuje i opisuje swoje reakcje oraz cały ten bolesny proces stopniowego wydobywania się z „oparów ideologii”. Na początku brakuje jej nawet języka etycznego, w którym mogłaby uświadamiać sobie własną sytuację. Co się z nią dzieje? Kto tu jest zły, a kto dobry? O co w tym wszystkim tak naprawdę chodzi?

Ginzburg „odzyskuje język”, sięgając do literatury, zwłaszcza rosyjskiej, przedrewolucyjnej, ale nie tylko. Starła się swoją sytuację i cały otaczający ją świat wewnętrznie definiować od nowa, posługując się językiem dawnej poezji. Podobnie jak Sołżenicyn, zaczyna układać wiersze. Tworzy od nowa własny język, który nie jest już marksistowską nowomową. Korzenie tego języka tkwią w literaturze, w poezji. Można powiedzieć, że ten zabieg wyprowadził Ginzburg z „niewoli umysłu”, w której była zanurzona wcześniej. I nagle ten „dobry” (na mocy aksjomatu) system przestaje być „dobry”, a otaczający ją w łagrze ludzie stają się w jej oczach ludźmi, a nie przedstawicielami tej czy innej ideologicznej kategorii. Jest tam taki ciekawy fragment, w którym autorka zastanawia się: „gdybym była w więzieniu gestapo, to bym wiedziała, co myśleć, ale jak tu się zachować i co myśleć w »swoim własnym więzieniu?«”. To jest zresztą psychologicznie najtrudniejszy moment – przełom. Właśnie dlatego tak często pojawiało się przekonanie, że „wszyscy pozostali są winni, tylko ja jeden siedzę niewinny. Partia się generalnie nie myli, czasem jedynie popełnia jednostkowe błędy”. Ludzie wierzący w komunizm szukali w ten sposób dróg wyjścia, bronili się przed rozpadem światopoglądu, popadnięciem w szaleństwo. Można to jeszcze uogólnić i powiedzieć: „my, komuniści, jesteśmy niewinni, ale reszta siedzi słusznie”. Jeśli się jednak takich wytłumaczeń nie przyjmuje, trzeba szukać nowego języka dla określenia siebie samego i sytuacji, w jakiej się znalazło. To jest naprawdę trudne, tu zagrożone jest po prostu poczucie własnego „ja”. W sytuacjach skrajnego zagrożenia ludzie chwytają się starych, sprawdzonych tłumaczeń, choćby nawet były jawnie absurdalne. Odrzucić ten język to znaczy stać się bezbronnym i starać się określić samego siebie na nowo – to wymaga wielkiej odwagi, zwłaszcza w momencie krańcowego zagrożenia fizycznego. Ginzburg doskonale opisuje nie tylko własne doświadczenie w łagrze, ale i innych komunistek, które starają się ciągle podtrzymywać ten podział: „my, komunistki, czyli niewinne ofiary, i reszta – czyli winni przestępcy i wrogowie ludu”.

Ł.M. – Dla Sołżenicyna doświadczenie łagrowe stało się moralnym wyzwoleniem, obudziło w nim człowieka, zgodnie ze stwierdzeniem, że „prawdziwa wolność w świecie niewoli zaczyna się dopiero w więzieniu”. Dla Szafamowa, niewątpliwie ciężej i dłużej więzionego w najstraszliwszych z możliwych warunkach – na Kołymie – łagier nie niesie ze sobą niczego pozytywnego. Innymi słowy, wszystkie doświadczenia łagrowe człowieka zubażają. Ten spór, czy też pytanie, jest jednym z najważniejszych, jakie w ogóle można sobie zadać w kontekście całej – nie tylko obozowej – dwudziestowiecznej literatury.

D.T. – W istocie jest to podstawowe pytanie o człowieka, jego kondycję. Pytanie, czy człowiek poddany presji absolutnego zniewolenia, zdeptania godności, wycieńczenia organizmu i stałego zagrożenia fizycznego przetrwania potrafi na tym doświadczeniu zbudować coś pozytywnego i wzmocnić się wewnętrznie, czy też jest to sytuacja niszcząca człowieczeństwo, udowadniająca zarazem, że nasze wyobrażenia o człowieku nie są do niej w ogóle adekwatne i tym samym powinny zostać zakwestionowane.

Sołżenicyn w *Archipelagu GUŁag* nawiązywał świadomie do romantycznej tradycji więzienia, tzn. przekonania, że więzienie może być momentem zwrotnym w życiu, po którym człowiek może się odrodzić moralnie, że jest to swego rodzaju inicjacja. Najwspanialszy przykład takiego myślenia mamy we własnej literaturze: zmarł Gustaw – narodził się Konrad. Sołżenicyn sam stwierdza, że nie dane mu było – na szczęście – dotknąć „dna”. Tymczasem argument Szafamowa da się sprowadzić do stwierdzenia „gdybyś, człowieku, wylądował na Kołymie

i tam przez dwadzieścia lat umierał w kopalni, nie myślałbyś w ten sposób”. Sołżenicyn ten argument uznaje. W medycynie trucizna podana w niewielkich ilościach może być lekarstwem, natomiast po przekroczeniu pewnej dawki staje się bezwzględnie zabójcza. Wnioski Szafamowa opierają się na osobistym doświadczeniu i niezliczonych obserwacjach, potwierdzonych w dodatku przez innych autorów. Charakterystyczne jest to, że autorzy takich świadectw nie potępiają samych siebie. Nie mówią: „to doświadczenie zabiło we mnie człowieka, stałem się bydlęciem”. Ale ci najciekawszy i najwybitniejsi widzą ten proces także u siebie.

Ł.M. – Ale Szafamow, prawdę mówiąc, tak „nie brzmi”.

D.T. – Szafamowowi brak tonu moralnego oburzenia, choć pisze z punktu widzenia człowieka doprowadzonego już poza pewną granicę. Wrażliwość moralna jego narratora jest tak stępiona w łagrze, że po prostu zauważa on fakty (nieraz przerażające), opisuje je, ale nie ocenia. Rzeczy dla nas wstrząsające są u niego „normalne”.

Ł.M. – Z Sołżenicynem łatwo jest się zgodzić, bo jego konstatacja daje nadzieję. On zdaje się mówić, że „z tego bagna można wyjść z pozytywnymi doświadczeniami”. Ostrzeżenie Sołżenicyna, przy całej swojej grozie, brzmi jednak mniej przerażająco niż ostrzeżenia Szafamowa.

D.T. – To dlatego, że Sołżenicyn źródła opisywanego zła zidentyfikował w ideologii z którą się rozprawia. Tym samym wierzy, że wyjście z ideologii wystarczy, stanie się skuteczną kuracją. Tymczasem dla Szafamowa problem tkwi w naturze ludzkiej, w nas. Sołżenicyn, widząc w człowieku i dobro, i zło, twierdzi, że ideologia pozwala na rozwinięcie złej strony człowieka, przede wszystkim poprzez dostarczanie usprawiedliwień dla zła. W efekcie zło można wyrządzać na skalę nieograniczoną, ponieważ wszystko usprawiedliwi ideologia. Ale po pokonaniu ideologii jest możliwy powrót do moralnego *status quo ante*. Szafamow sięga do samych korzeni ludzkiej natury i ludzkich motywacji. Moralne odruchy, pozytywne emocje i świadomość wartości budzą się w człowieku dopiero wtedy, gdy ma on względne poczucie fizycznego bezpieczeństwa i komfortu oraz gdy spotyka się z ludzkim zachowaniem bliźnich. Pozbawiony tego wszystkiego człowiek w pewnej chwili przestaje być człowiekiem i staje się stworzeniem, którego on sam nie jest w stanie pojąć ani kontrolować. Do takich odkryć doprowadził wielki dziejowy eksperyment „przekuwania” człowieka w GUłagu.



Rys. z książki S. Mory i P. Zwierniaka *Sprawiedliwość sowiecka*

GUŁAG: NIEWOLNICTWO XX WIEKU

W potocznej świadomości GUŁag to po prostu system sowieckich obozów pracy przymusowej. Czasami temu pojęciu nadaje się wymiar zdecydowanie szerszy: GUŁag staje się symbolem stalinowskiego terroru, totalitaryzmu jako takiego, a nawet symbolem niezawinionego cierpienia czy ludzkiego okrucieństwa. Źródłem takiego rozumienia pojęcia GUŁag jest monumentalne, jedyne w swoim rodzaju dzieło – *Archipelag Gułag* Aleksandra Sołżenicyna. Jednakże w ujęciu czysto historycznym, które – jak to najczęściej bywa – przegrywa z siłą oddziaływania dzieł literackich, GUŁag to nie obozy pracy w ZSRR, a struktura w ramach sowieckiego aparatu represji, która nimi zawiadywała.

To skrót, i to niepełny, nazwy, która brzmiała: Głównoje Uprawlenie Łagieriej i Rabczich Posielenij (Główny Zarząd Obozów i Osiedli Pracy). Ten Zarząd to, w „klasycznym” okresie funkcjonowania GUŁagu, czyli w latach trzydziestych i czterdziestych XX w., kilkuset funkcjonariuszy sowieckiej policji politycznej – która w tym czasie nosiła nazwę NKWD (Narodnyj Komisariat Wnutriennych Dieł – Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych) lub MWD (Ministerstwo Wnutriennych Dieł – Ministerstwo Spraw Wewnętrznych) – z Naczelnikiem GUŁagu na czele.

Tak więc określenie „archipelag Gułag” jest literacką transformacją, która doprowadziła do zmiany znaczenia pojęcia GUŁag. Siła tej transformacji jest tak wielka, że także w tym tekście użyto pojęcia GUŁag w utartym, potocznym rozumieniu. Dalej – pojęcie „obóz” w gułagowskiej terminologii oznacza nie pojedynczy punkt obozowy (czyli miejsce odosobnienia z drutami, wieżyczkami strażniczymi itd.), a większą strukturę w całym systemie łagrowym. Przykładowo: Północny Obóz Kolejowy oznacza nie pojedynczy obóz, który w łagrowej terminologii nosił nazwę łagpunktu, a zespół obozów, złożony z wielu owych łagpunktów (ich liczba mogła dochodzić nawet do kilkuset). I wreszcie – GUŁag to nie tylko obozy, nie tylko więźniowie, ale także specprzesiedleńcy, czyli, potocznie mówiąc, zesłańcy. Uwaga o tyle ważna, że w niektórych okresach w GUŁagu tych ostatnich było więcej aniżeli tzw. łagierników – czyli więźniów obozów, co – w świetle potocznego rozumienia pojęcia GUŁag – może wydawać się paradoksalne.

Obozy, jako miejsca izolacji osób uważanych za wrogię, nie były wynalazkiem bolszewików. Przed rewolucją w Rosji największą „sławę” zdobyły sobie obozy koncentracyjne, założone przez Anglików dla Burów (osiadłych w Afryce Południowej potomków kolonistów holenderskich), z którymi w latach 1880–1902 toczyli oni zaciekle wojny. Na grunt rosyjski obozy przeszczepił nie kto inny, tylko sam przywódca bolszewickiego przewrotu – Włodzimierz Iljicz Lenin. W sierpniu 1918 r. polecił on, by buntujących się chłopów guberni penzeńskiej, popów i białogwardyjskich oficerów osadzić w obozie koncentracyjnym.

Pierwsze obozy na wstrząsanej wojną domową ziemi rosyjskiej pojawiły się jeszcze w tym samym roku; nazywano je wówczas – zgodnie z terminologią lenińską – obozami koncentracyjnymi. Za drutami tych najwcześniejszych łagrów osadzano przedstawicieli burżuazji, właścicieli fabryk, kupców, a także nastawionych wrogo do rewolucji popów i oficerów, czyli – ogólnie rzecz ujmując – osoby, których status lub nastawienie kwalifikowały do uznania za wroga. Oczywiście, czynnych przeciwników władzy sowieckiej, u których np. znaleziono broń, spotykała inna kara – rozstrzelanie.

Ludzie umieszczeni w obozach, jak stanowił dekret Rady Komisarzy Ludowych z 2 września 1918 r. *O czerwonym terrorze*, uważani byli za zakładników i mieli pracować „pod strażą”. Obozy w tym początkowym, można powiedzieć „dziecięcym” okresie, podlegały Wszechrosyjskiej Nadzwyczajnej Komisji do Walki z Kontrrewolucją i Sabotażem (potocznie zwanej czerezwycząjką lub Czeka).

W maju 1919 r. rząd sowiecki przyjął *Dekret o obozach prac przymusowych*. Dokument ów przewidywał tworzenie (we wszystkich miastach gubernialnych) obozów prac przymusowych, nad którymi ogólny nadzór sprawować miał Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych ZSRS, w którym funkcjonował Centralny Zarząd Obozów Prac Przymusowych. Dekret stanowił, że utrzymanie obozów ma być finansowane z pracy więźniów i że każdy więzień winien być zatrudniony przy pracach fizycznych przez cały okres pobytu w obozie. Na początku ideą tworzenia sowieckich obozów była zatem nie tyle rentowność (to pojawi się dopiero później), ale finansowa samowystarczalność: państwo nie chciało dopłacać do izolowania swoich przeciwników, uznając, że mają oni sami zarobić na swoje utrzymanie.

Wedle idealistycznych założeń przyswiewcających tworzeniu obozów, praca w nich miała być pozbawiona elementów przymusu fizycznego i oddziaływać wychowawczo; pobyt w obozach miał (cytujemy z tego górnoletniego miejscami dokumentu): „przyuczyć więźniów do pracy, nauczyć zawodu i stworzyć tym samym po opuszczeniu obozu możliwość prowadzenia twórczego życia”.

Dekret był o tyle ważny, że w NKWD byli zatrudnieni prawie wyłącznie zawodowi rewolucjoniści, pozbawieni jakiegokolwiek współczucia dla ludzi o innych przekonaniach, „kontrrewolucjonistów” itd. Nie pozwolili oni na to, by został urzeczywistniony plan, który pojawił się w pierwszej połowie lat dwudziestych, przewidujący przejęcie obozów przez Ludowy Komisariat Sprawiedliwości (w którym pracowało sporo przedwojennych prawników). Plan ten zakładał humanizację stosunków w obozach i przeorientowanie ich działalności z typowo represyjnej na reedukacyjną.

Mimo dekretu podporządkowującego obozy NKWD, obok sieci obozów zarządzanych przez ten resort, istniała odrębna, poniekąd pozaprawna sieć obozowa, zarządzana przez Czeka. I tak, np. w 1921 r. w obozach NKWD było 60 tys. więźniów, a w obozach Czeka 25 tys. Najbardziej znane obozy czerezwycząjki były skoncentrowane w północnych rejonach Rosji, konkretnie w okolicach Archangielska, i (od 1920 r.) nosiły nazwę Północnych Obozów Specjalnego Przeznaczenia (Siewiernyje Łagierja Osobogo Naznaczenija; w skrócie: SŁON).

Dekret majowy zapoczątkował szybki wzrost liczby obozów i, oczywiście, osób w nich osadzonych. I tak, w końcu 1919 r. na terytorium Rosji Sowieckiej było 21 obozów, natomiast w 1922 r. już 132. Obozy były we wszystkich większych miastach, m.in. w Omsku, Woroneżu, Wiatce, Saratowie, Tomsku, Tobolsku, w niektórych nawet po kilka.

W 1923 r. rząd sowiecki zlikwidował SŁON, natychmiast jednak w jego miejsce utworzono Sołowiecki Obóz Prac Przymusowych Specjalnego Przeznaczenia, słynne Sołówki (w Archangielsku i Kemi), przeznaczony dla najgroźniejszych „przestępców państwowych”: zarówno

politycznych, jak i kryminalnych. Znaleźli się w nim eserzy, socjaliści, mienszewicy, skazani za bunt chłopów itd. Więźniów zatrudniano w rolnictwie i rybołówstwie, a także przy pracach leśnych. Obóz ten uznawany jest przez niektórych historyków za pierwszy, właściwy – jeśli tak można powiedzieć – obóz prac przymusowych, czyli za pierwszy obóz GUŁagu. Obóz Sołowiecki, liczący w chwili powstania ledwie 2,5 tys. więźniów, zaczął się szybko rozrastać, tworząc filie w Karelii, na Uralu i Półwyspie Kolskim. Sołówki podlegały Zjednoczonemu Państwowemu Zarządowi Politycznemu (Objedinionnoje Gosudarstwiennnoje Politiczeskoje Uprawlenije – OGPU), czyli trzeciemu już (po Czece i GPU) „wcieleniu” sowieckiej policji politycznej.

Także obywatele Rzeczypospolitej trafiali na słynne Sołówki. W 1929 r. gazeta „Głos Prawdy” opublikowała artykuł o jednym z takich przypadków, zatytułowany *Pięć lat na wyspach sołowieckich przebył polski policjant. Oto jego treść:*

„Do Polski przybył przed kilku dniami jeden z nielicznych skazańców politycznych, który zdołał wytrzymać pięcioletni pobyt na strasznych wyspach Sołowieckich. Jest to szeregowiec polskiej policji, Joachim Biłas. Dnia 18 czerwca 1923 r. szeregowiec Biłas, pełniąc służbę na pograniczu nieświeskim, znalazł się w ciemną noc po stronie sowieckiej. Posterunkowy Biłas zbłądził wśród trzęsawisk i nie mogąc znaleźć wyjścia zaczął wołać o pomoc. Nadbiegli ukryci żołnierze sowieckiej straży granicznej, którzy aresztowali Biłasa. Nie pomogły wyjaśnienia, że Biłas znalazł się na terytorium sowieckim wskutek przypadku; został on oskarżony o nielegalne przekroczenie granicy i skazany przez GPU na okrutną karę zesłania na 5 lat na wyspy Sołowieckie. Biłas usiłował uciec z tego piekła, ale bezskutecznie. Odsiedział więc karę i wrócił do Polski schorowany i rozbity.

Obecnie ofiara GPU przebywa w Nowogródku, gdzie nim zaopiekowali się koledzy posterunkowi”.

Rzeczywistość była skrajnie odległa od idealistycznych wyobrażeń o obozach, patronujących dekretowi z maja 1919 r. Lata dwudzieste to okres głodu i niedostatku; dramatycznie brakowało środków na utrzymanie łągrows, a trzymani za ich drutami ludzie umierali z niedożywienia. Sowiecki system obozowy w końcu lat dwudziestych wykazywał ekonomiczną niesprawność – nie finansował sam siebie, praca więźniów była mało produktywna, w rezultacie czego polityka penitencjarna państwa zaczęła zmierzać nawet ku redukcji liczby więźniów – drogą skazywania ich na prace przymusowe bez pozbawiania wolności. W tym czasie pracę w obozach traktowano zresztą bardziej jako dodatkową uciążliwość kary pozbawienia wolności.

Jednak już w połowie lat dwudziestych, w zacisku gabinetów bolszewickiej władzy, pojawiła się myśl wykorzystania pracy więźniów na znacznie szerszą skalę. Myślenie to wykraczało poza statyczną i pasywną – jeśli tak można powiedzieć – zasadę samofinansowania się obozów. Łagry, a właściwie ich więźniowie – mieli stać się narzędziem, umożliwiającym pozyskanie cennych surowców w północnych, niegościnnych rejonach Związku Sowieckiego i generalnie ułatwić ich zagospodarowanie. Pod uwagę brano przede wszystkim okolice Norylska i Sachalin, gdzie znajdowały się bogate złoża niklu, kobaltu i platyny, a także Kazachstan, gdzie można było rozwijać na wielką skalę rolnictwo i gdzie zalegały ogromne pokłady węgla kamiennego.

Idea wprzęgnięcia więźniów pozbawionych prawa decydowania o sobie (a więc np. łatwych do przerzucania z miejsca na miejsce) w proces industrializacji i kolonizacji kraju była wprost idealna dla dyrektywno-nakazowej gospodarki sowieckiej. Z drugiej strony diametralnie zmieniała ona postrzeganie samych skazanych, w których zaczęto widzieć teraz przede wszystkim siłę roboczą. Choć idea ta nie wyszła z kręgów sowieckiej policji politycznej, ta szybko się nią zainteresowała i już nie wypuściła ze swych rąk. W 1929 r. władze państwowe przeszły do działania, przyjmując niezwyklej wagi dokument – *Regulację o poprawczych obozach pracy*.

Można powiedzieć, że z tą chwilą zostały położone fundamenty pod przyszłe obozowe „imperium” ZSRS. Wspomniany dokument wprowadzał generalną zasadę, że wszyscy skazani na kary powyżej trzech lat pozbawienia wolności mieli być kierowani do obozów, które podporządkowano OGPU i przemianowano na poprawcze obozy pracy. Na podstawie decyzji administracyjnej OGPU miały tam być kierowane też inne osoby. Cel tych postanowień był oczywisty – sprawić, by główna masa skazanych trafiła do łagrów i tam „budowała komunizm”. Szybko przystąpiono do rozbudowy sieci obozów, m.in. w bogatych w ropę naftową okolicach miejscowości Uchta w Republice Komi. Dokument, mówiący o tworzeniu łagrów w okolicach Uchty, wskazuje wyraźnie na zmianę charakteru obozów, które stały się instrumentami planowej gospodarki sowieckiej. Czytamy w nim m.in.: „OGPU w celu przyjęcia tych więźniów [chodzi o więźniów przejmowanych z obozów NKWD] rozszerzy istniejące i zorganizuje nowe poprawcze obozy pracy (na terytorium Uchty i innych oddalonych terenów) w celu kolonizacji tych rejonów i eksploatacji bogactw naturalnych drogą wykorzystania pracy pozbawionych wolności”.

Rozporządzenie nakazywało, aby wszelkimi sposobami zatrzymywać na miejscu więźniów, którzy odbyli karę, a więc przydzielać im ziemię, pomagać w zagospodarowaniu się itd. Cytowany dokument dowodzi, że obozów nie lokowano w okolicach „obojętnych” albo korzystnych dla skazanych z takich czy innych względów. O ich lokalizacji przesądzało gospodarce znaczenie danego terenu.

W celu zarządzania poprawczymi obozami pracy w 1930 r. utworzono Zarząd Obozów, jeszcze w tym samym roku przekształcony w Główny Zarząd Obozów OGPU (GUŁag). Już w następnym roku GUŁag przejął zarząd nad specprzesiedleńcami (zesłańcami), a w jego składzie utworzono Wydział do spraw Specjalnych Przesiedleńców. W 1933 r., w związku z rozszerzeniem zakresu działania, Główny Zarząd Obozów OGPU przemianowano na Główny Zarząd Obozów i Osiedli Pracy OGPU.

Regulacje z 1929 r. spowodowały lawinowy rozrost sieci obozów i zwiększenie liczby więźniów: w 1929 r. w obozach OGPU było ich ok. 22 tys., a w 1934 r. – już ponad pół miliona. Dochodziła do tego blisko dwumilionowa rzesza zesłańców, kierowanych do miejsc zesłania w latach 1930–1932 w ramach procesu „rozkułaczania” wsi. Wraz z rozrastaniem się obozowego imperium OGPU, przystąpiło ono do nowych, gigantycznych inwestycji.

Pierwszą była budowa kanału łączącego Morze Białe z Morzem Bałtyckim. Rozpoczęto ją w 1931 r. i prowadzono w szaleńczym tempie, bez analiz geologicznych i ekonomicznych, przygotowanego frontu robót, dojazdów itd. Budowa, na którą „rzucono” 170 tys. więźniów, była szczytem technologicznego prymitywizmu. Wszystkie prace wykonywano ręcznie, za pomocą tak „wyrafinowanych” narzędzi, jak kilofy, taczki, piły czy oskardy. Kiedy ogląda się fotografie przedstawiające kanał w trakcie powstawania, z trudem przychodzi uwierzyć, że mamy do czynienia z dwudziestowieczną inwestycją. Rojące się tłumy wynędzniałych ludzi i zupełny brak maszyn przywodzą na myśl raczej czasy niewolnictwa.

Według oficjalnych danych, budowa, zakończona po dwu latach, była sukcesem. Szacowano, że wybudowanie kanału będzie kosztować 400 mln rubli, tymczasem rzeczywiście poniesione nakłady zamknęły się sumą 100 mln rubli. Jednak „oszczędności” nie sprawiły, że Kanał Białomorsko-Bałtycki przestał być ekonomicznym nonsensem, co wynikało m.in. z tego, że – jak na potrzeby żeglugi – okazał się zbyt płytki. Nie była to zresztą jedyna inwestycja GUŁagu, która nikomu – poza oderwanymi od rzeczywistości bolszewickim decydentom – nie była potrzebna i popadła w ruinę.

W 1931 r. utworzono przedsiębiorstwo Dalstroj, którego zadaniem było zagospodarowanie dorzecza Kołomy, a głównie wydobywanie tam złota. W następnym roku do „obsługi” Dalstroju powołano specjalny obóz: Siewwostłag (Północno-Wschodni Poprawczy Obóz Pracy). Jego utworzenie jeszcze dobitniej wskazuje na prymat gospodarki nad zadaniem reedukacji więźniów. Dokument powołujący do życia ten obóz podkreślał, że w uzgodnieniu z Dalstrojem należy: „[...] wydzielić dla nowo organizowanego Siewwostłagu 16 000 całkowicie zdrowych więźniów z odpowiednią liczbą personelu administracyjno-gospodarczego i ochrony spośród więźniów”.

Niedługo potem „sypnęły się” kolejne inwestycje, stymulujące chorobliwy rozrost systemu łagrowego: Bajkalsko-Amurska Magistrala (w celu jej „obsługi” utworzono Bajkalsko-Amurski Poprawczy Obóz Pracy liczący w końcu lat trzydziestych blisko 300 tys. więźniów), kanał Moskwa-Wołga („obsługiwany” przez Dmitrowski Poprawczy Obóz Pracy), Zjednoczenie Uchtyjsko-Peczorskie i inne. Jak z tego wynika, od początku lat trzydziestych obozy zaczęły stawać się ważnym elementem gospodarki, zapewniając siłę roboczą dla „sztandarowych” inwestycji „Kraju Rad”. Obok więźniów, równie istotną rolę w sowieckiej ekonomii odgrywali także specprzesiedleńcy, których kierowano na Syberię z zadaniem jej kolonizacji z jednej strony, a pozyskania znajdujących się tam bogactw naturalnych z drugiej. Chodziło przede wszystkim o zdobycie drewna – cennego surowca eksportowego – i rozbudowę przemysłu.

Kolejną zmianę w systemie sowieckich obozów pracy poprawczej przyniosło zlikwidowanie OGPU i utworzenie w lipcu 1934 r. Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych ZSRS (NKWD SSSR). Pod tą nazwą ukrywała się wciąż ewoluująca sowiecka policja polityczna. Do zarządzania obozami w Komisariacie powołano Główny Zarząd Obozów i Osiedli Roboczych NKWD (w 1939 r. nastąpiła zmiana nazwy na Główny Zarząd Poprawczych Obozów Pracy i Kolonii Pracy). Wyjaśnijmy od razu, że w koloniach pracy osadzano osoby skazane na karę od roku do trzech lat ograniczenia wolności.

W 1934 r. utworzono Osoboje Sowieszczanije NKWD (Narada Specjalna przy NKWD; OSO NKWD). Organ ten miał prawo skazywania w trybie pozasądowym na pobyt w poprawczych obozach pracy – początkowo do ośmiu, potem do dziesięciu lat (po wybuchu wojny z Niemcami kompetencje OSO jeszcze wzrosły). W ten sposób powstał swego rodzaju „system zamknięty”, gwarantujący sprawne dostarczanie skazanych do łagrow. To NKWD przeprowadzało aresztowania, skazywało, osadzało w obozach i nadzorowało umieszczonych tam więźniów – bez żadnej lub praktycznie żadnej ingerencji z zewnątrz (jednak tworzenie nowych łagrow było zastrzeżone do decyzji sowieckiego rządu). Narada Specjalna przy NKWD była bardzo sprawną „maszynką” do sądenia ludzi. Kilka osób, które wchodziło w jej skład, wydawało wyroki przeciętnie na kilkaset, a bywało, że i tysiąc osób w czasie jednego tylko posiedzenia. Nie bez powodu można przypuszczać, że procedura „skazywania” sprowadzała się do pospiesznego składania podpisów na długich listach oskarżonych. Praktycznie wszyscy więźniowie obozów w latach trzydziestych byli skazani przez OSO NKWD.

Utworzenie NKWD nic nie zmieniło w filozofii funkcjonowania sowieckich łagrów. Powstawały one nadal przede wszystkim jako obozy o charakterze gospodarczym. Przekonuje o tym np. wydany w 1935 r. rozkaz szefa NKWD, Henryka Jagody, nakazujący utworzenie „Norylskiego poprawczego obozu pracy”. Obóz, położony 2,3 tys. km na północ od Krasnojarska (z którym miał połączenie wodne rzeką Jenisej), na terenie o skrajnie trudnych warunkach atmosferycznych, miał wybudować kombinat zajmujący się eksploatacją złóż niklu oraz zagospodarowaniem okolicznych terenów.

Koniec lat trzydziestych przyniósł niebywały rozwój łagrów zajmujących się eksploatacją lasów. Powstały wtedy takie obozy, jak: Iwdieląg, Kargopoląg, Tajszetąg czy Ustwymąg. Do „leśnych” łagrów trafili przede wszystkim ludzie, którzy wpadli w sieci sowieckiej policji politycznej w czasie Wielkiej Czystki (nawiasem mówiąc to właśnie Wielka Czystka dała GUŁagowi największy „zastrzyk” więźniów w całej jego historii).

W 1940 r. GUŁąg tworzył już olbrzymią strukturę, złożoną z 33 obozów z tysiącami łagpunktów, 425 kolonii pracy oraz 50 kolonii dla niepełnoletnich. Obozowe imperium wchodziło wówczas w okres rozkwitu i liczyło wówczas 1,5 mln ludzi, pilnowanych przez 150 tys. strażników. Dla orientacji podaję poniżej kilka nazw obozów, wraz z podaniem siedzib Zarządów, a także wyrywkowe dane o zatrudnieniu więźniów:

Workutąg: Zarząd w Workucie
 Iwdieląg: Zarząd w Iwdielu
 Karąg: Zarząd w Karagandzie
 Noriląg: Zarząd w Norylsku
 Unząg: Zarząd w Suchobezwodnoje
 Uchtiżemąg: Zarząd w Uchcie

Budowa linii kolejowych	500 tys. więźniów
Eksploatacja lasów	320 tys.
Przemysł	310 tys.
Budowa dróg, szos i lotnisk	170 tys. itd.

Kim byli więźniowie obozów w latach trzydziestych? Popularny, acz niewiele mający wspólnego z rzeczywistością stereotyp głosi, że w sowieckich obozach przebywali polityczni przeciwnicy władzy sowieckiej. W tym stereotypie jest zresztą trochę prawdy, bo niewiele trzeba było, by zostać uznanym przez bolszewicki reżim za przeciwnika politycznego. Obłąkańcza penalizacja życia sprawiała bowiem, że tysiące ludzi, którzy w normalnym, demokratycznym systemie nawet nie otarliby się o wymiar sprawiedliwości, w systemie sowieckim lądowali w łagrach. Wystarczyła najdrobniejsza wypowiedź krytyczna pod adresem władz, np. dotycząca braków w zaopatrzeniu, by zostać skazanym z paragrafu o anty-sowieckiej agitacji i znaleźć się w obozach jako więzień polityczny.

Ocenia się, że takich, w gruncie rzeczy niezbyt „politycznych” więźniów (tzn. skazanych za przestępstwa „kontrrewolucyjne” z paragrafu 58 kodeksu karnego RFSRS i odpowiednich paragrafów republikańskich kodeksów karnych) było w sowieckich łagrach od 15 do 30 proc. Pozostali byli skazani za przestępstwa „pospolite”, choć w systemie sowieckim także to pojęcie należy uznać za mocno umowne. Wystarczy wspomnieć, że sowieckie regulacje prawne (dekret z 26 czerwca 1940 r.) przewidywały karę prac przymusowych za trzykrotne spóźnienie się do pracy albo nieusprawiedliwioną nieobecność, by zdać sobie sprawę,

jak skutecznie i na masową skalę sam system generował więźniów GUŁagu (jak wynika z dokumentów sowieckich, tylko do końca 1940 r. z dekretu czerwcowego skierowano do poprawczych kolonii pracy ponad 50 tys. osób).

W liczbach bezwzględnych przedstawiało się to następująco (według danych z 1939 r.): na 1,3 mln więźniów GUŁagu 450 tys. zostało skazanych za przestępstwa „kontrrewolucyjne”: sabotaż, dywersję, zdradę ojczyzny czy trockizm; reszta, czyli zdecydowana większość, za przestępstwa kryminalne: chuligaństwo, bandytyzm, złodziejstwo, przestępstwa gospodarcze itd.

Łatwo było trafić do łagru z oskarżenia o przestępstwo „polityczne”. Jeden z polskich więźniów zapytał siedzącego razem z nim Rosjanina o przyczynę osadzenia w obozie: „Odpowiedział – za to, że powiedziałem, że biegnę przepić Lenina. – Jak to, przepić Lenina? – zapytałem. – Dostałem *czerwońca* [papierowy banknot sowiecki o nominale jednego rubla – S.K.], a na nim jest wydrukowany Lenin. Sąsiad pyta mnie – gdzie biegniesz?, a więc powiedziałem, że biegnę przepić Lenina, czyli *czerwońca*, on doniósł NKWD i za to dostałem 5 lat obozu pracy”.

Obok tych pseudokryminalnych więźniów byli też autentyczni kryminaliści, zwani *worami*, czyli złodziejami. Z reguły (choć nie zawsze) nienawidzili oni więźniów politycznych i terroryzowali ich – kiedy tylko nadarzała się okazja. Zorganizowani w gangi zabierali im lepszą odzież, obuwie, żywność i wszelkie inne cenne przedmioty. *Wory* byli ludźmi zdziżczałymi, zawodowymi przestępcami, którzy nierzadko większość życia spędzali w obozach (stąd ich powiedzenie: *lagier, dom rodnoj* – obóz, dom rodzinny). Zabicie więźnia, niebędącego członkiem ich klanu, nie przedstawiało dla *worów* żadnego problemu. Często dla rozrywki grali w karty o ludzkie życie. Przegrany zabijał więźnia, którego życie było przedmiotem zakładu. Swoistą przeciwwagą dla *worów*, zwanych także *urkami*, stanowili *pridurki*. *Pridurki* to były *wory*, które się „zszczyły”, czyli poszły na kolaborację z administracją obozową. Obie te grupy szczerze się nienawidziły i zjadale zwalczały; między ich członkami dochodziło do krwawych walk i morderstw.

Więźniów GUŁagu można dzielić, stosując najrozmaitsze kryteria. I tak, np. biorąc pod uwagę kryterium przydatność do pracy, łagiernicy dzielili się na:

- zdolnych do ciężkiej pracy fizycznej,
- zdolnych do średniej pracy fizycznej,
- zdolnych do lekkiej pracy fizycznej,
- inwalidów pracujących,
- inwalidów niepracujących.

Ze względu na wysokość kary i rodzaj popełnionego „przestępstwa” podział więźniów przedstawiał się następująco: skazani na poniżej i powyżej pięciu lat oraz skazani za przestępstwa kontrrewolucyjne. Ci ostatni podlegali najbardziej ścisłemu reżimowi – mogli być wykorzystywani tylko do prac fizycznych, nie mogli wychodzić bez pozwolenia z baraków itd.

Wyżywienie w obozach – zawsze zależne od wykonania normy pracy – przedstawiało się w różnych okresach rozmaicie; w latach trzydziestych, o których teraz piszemy, wyrabiający normę otrzymywali 1200 g chleba dziennie (ale w latach powojennych już tylko 700 g). Stachanowcy, tj. więźniowie stale przekraczający normę: o 200 g chleba więcej. Niewyra-

biającym normy wydawano 600 g chleba, a odmawiającym pracy – 400 g. Podane normy to najczęściej czysta teoria, głód był nieodstępnym towarzyszem łagrowego życia. Brało się to stąd, że wykonanie wyśrubowanych ponad ludzkie możliwości norm pracy było po prostu praktycznie niemożliwe. Większość więźniów wyrabiała zatem zaledwie część obowiązującej normy, co skutkowało zmniejszonym przydziałem pożywienia. To, obok głodu, prowadziło – szczególnie w przypadku więźniów słabszych lub starszych – do wycieńczenia i śmierci.

W omawianym okresie więźniom przysługiwały: raz na rok para butów i raz na dwa lata buszlat, czapka i walonki.

Według oficjalnych statystyk w latach trzydziestych śmiertelność w obozach kształtowała się na poziomie kilku procent. Do dramatycznie wysokiego poziomu podskoczyła dopiero później – w latach II wojny światowej (w obozach zmarło wówczas 800 tys. więźniów).

Rozwój GUŁagu spowodował zmianę jego struktury; w latach 1940–1941 w jego ramach powstały wyspecjalizowane Zarządy kierujące określonym typem obozów, np. zajmujących się eksploatacją lasów (Zarząd Obozów Przemysłu Leśnego) czy budową kolei (Zarząd Obozów Budownictwa Kolejowego). Ta „restrukturyzacja” była widomą oznaką tego, że GUŁag stał się czymś w rodzaju przedsiębiorstwa, którego wewnętrzną organizację określają zadania gospodarcze, niemające nic wspólnego z reedukacją więźniów.

Często w dyskusjach pojawia się pytanie: dlaczego w Sowietach nie powstały obozy zagłady, analogiczne do tych, które tworzyli naziści? Dostępne dokumenty nie dają wprost odpowiedzi na to pytanie. Mimo to można pokusić się o próbę wyjaśnienia tego zjawiska. Wydaje się – a wskazują na to zarówno wyżej wskazane motywy przyświecające idei rozbudowy sieci obozowej, jak i postępująca „ekonomizacja” GUŁagu – że w stalinowskiej Rosji więźniowie traktowani byli jako siła robocza niezbędna komunistycznej gospodarce, a skoro tak, to jej wyniszczanie nie było rzeczą celową. Zacytujmy fragment dokumentu OGPU z 1930 r., w którym dość jednoznacznie nakreślono cele stawiane przed obozami. Wynika z niego jednoznacznie, że w więźniach widziano pewną wartość, upatrując w nich użytecznych robotników i kolonizatorów: „W działalności tych obozów ogromne znaczenie ma i ta okoliczność, że uczestnicząc w najważniejszych przedsięwzięciach gospodarczych kraju, uwalniają miejscowe władze państwowe od złożonego, kosztownego i często wprost niedającego się urzeczywistnić zadania werbunku i przemieszczenia siły roboczej, której w peryferyjnych rejonach kraju brakuje, przygotowując jednocześnie kolonizację kraju”. Oczywiście, ludzi w Rosji także mordowano, i to na masową skalę (szczególnie w okresie Wielkiej Czystki), ale stosowano tu inną metodę – rozstrzelanie.

Wojna z Niemcami miała ogromny wpływ na losy całego Związku Sowieckiego, także na GUŁag. Więźniów z zagrożonych obozów, łącznie 750 tys., ewakuowano na wschód. Łagiernicy, podobnie jak inni „ludzie sowieccy”, pracowali „dla zwycięstwa”, wyrabiając amunicję (15 proc. całej wojennej produkcji amunicji było dziełem rąk więźniów obozów), szyjąc mundury, wytwarzając maski przeciwgazowe i wyroby ze skóry. Ponad milion więźniów, skazanych na niskie kary (czyli niepolitycznych i nierecydywistów), zwolniono z łagrów i wcielono do Armii Czerwonej. Sukcesywne aresztowania sprawiły jednak, że liczebność GUŁagu w latach wojny utrzymywała się na względnie równym poziomie.

W 1943 r. utworzono obozy katorżne, przeznaczone dla „niemiecko-faszystowskich złooczyńców, szpiegów, zdrajców ojczyzny i ich współpracowników”. Te nowego typu łagry zostały zorganizowane w Norylsku, Workucie, na Kołymie i w Karłagu.

Najdłużej urzędującym spośród dwunastu Naczelników GUŁagu był Wiktor Grigorjewicz Nasiedkin. Sowieckimi obozami rządził ponad sześć lat (1941–1947). Z Polaków zetknął się z nim osobiście Józef Czapski, poszukujący informacji o „zaginionych” oficerach z Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa. Tak opisuje to spotkanie:

„Gen. Nasiedkin mocno wypasiony, w mundurze z dobrego sukna, przyjmuje mnie z uprzejmym uśmiechem na gładkiej, wygolonej twarzy. [...] Nad generałem wisi wielka mapa Rosji, na którą łączywie i możliwie nieznacznie rzucam okiem. Wrysowane są na niej wszystkie punkty, gdzie znajdują się obozy więźniów, największe skupiska są oznaczone wielkimi gwiazdami, inne mniejszymi, poza tym jeszcze są kółka i kółeczka. Zdażyłem skonstatować, że największe konstelacje są na półwyspie Kola, w Komi i na Kołymie. Poza tym gwiazda jeszcze największej wielkości była w okolicach Jakucka i Wierchojańska. [...] Wielkość gwiazdy w Wierchojańsku była równa gwieździe ustawionej w Magadanie. O Magadanie zaś wiedziałem, że jest największym portem wyładunkowym dla Kołymy”.

Ich pojawienie się część historyków uważa za nieprzypadkowe – oto w tym właśnie roku ZSRS przystąpił do prac nad własną bombą atomową. Do jej produkcji potrzebne były uran i rad, a co za tym idzie – specjalna, ściśle strzeżona i poddana specjalnym rygorom grupa więźniów, która z narażeniem zdrowia i życia miała te promieniotwórcze pierwiastki wydobywać. Katorżnicy byli izolowani od innych więźniów; mieszkali w oddzielnych zonach (tj. strefach) w obozach i w barakach z zakratowanymi oknami. Nosili numery, byli pozbawieni prawa korespondencji, pracowali wyłącznie przy najcięższych pracach – i to o godzinę dłużej niż inni skazańcy, byli też pilnowani przez wzmocnioną straż. Liczba katorżników szybko rosła; w 1944 r. było ich 6 tys., a w 1947 r. już dziesięć razy więcej (60 tys.).

Praca w łagrach miała zróżnicowany charakter. Jednak trzeba zwrócić uwagę na fakt, że była to prawie wyłącznie praca fizyczna. Wykonywano ją najprymitywniejszymi narzędziami: łopatami, motykami, kilofami, piłami ręcznymi i siekierami. Stąd pojęcie „niewolnictwa” użyte w tytule niniejszego artykułu, przez które rozumiemy nie tylko sprowadzanie ludzi do roli siły roboczej i zmuszanie ich do morderczego wysiłku, ale także wykonywanie przymusowej pracy na najprymitywniejszym technologicznie poziomie. GUŁagowskich „niewolników” zmuszano do pracy po 11–12 godz. dziennie (często w skrajnych warunkach klimatycznych, np. mrozy na Kołymie dochodziły do 60 stopni), bijąc, głodząc i osadzając w karcerze. Czy praca ta mogła być wydajna? Oczywiście nie, i więźniowie znajdowali liczne sposoby, by fałszować jej wyniki – np. układali sęgi drewna puste w środku. Ale i sama administracja obozowa była zainteresowana procederem fałszowania, różne plany były wykonywane często wyłącznie na papierze. W pracy zwracano uwagę jedynie na normy; a więc, przykładowo, trzeba było ułożyć dziennie określoną liczbę cegieł, ale nikogo nie obchodziło, jak to zostało zrobione.

Życie za drutami sowieckich obozów było doświadczeniem ekstremalnym. Więźniowie mieszkali w zapluskwionych, przeciekających i źle ogrzewanych barakach. Spali na przyczach, najczęściej – z powodu zimna – nawet się nie rozbiegając. Wyganiano ich do pracy bez względu na warunki atmosferyczne, fatalnie karmiono. Opieka medyczna nad skazanymi miała z reguły iluzoryczny charakter, notorycznie bowiem brakowało lekarstw. Więźniowie zapadali najczęściej na tyfus, szkorbut, awitaminozę i biegunkę. Prawdziwą plagą były

odmrożenia. Mordercza praca prowadziła do wyniszczenia organizmu, a proces starzenia się przebiegał w łagrach w przyspieszonym tempie. Najbardziej wyniszczonych więźniów nazywano *dochodiagami*, ponieważ zbliżali się oni, „dochodzili” do śmierci.

Łagry, jak każda, nawet najczarniejsza rzeczywistość, miały także swoją jasną stronę. Więźni w nich ludzie – obok podłości, zdziczenia i okrucieństwa – pokazywali też swoją wielkość: tworzyli literaturę (np. polski poeta, Zdzisław Broncel, napisał w obozach *Sonetu uralskie*), rzeźbili, przyjaźnili się, wcale nierzadkie były związki kobiet z mężczyznami o głębszym charakterze.

Z drugiej strony kobiety, o ile nie były *worowkami*, czyli złodziejkami (które poziomem demoralizacji niczym nie różniły się od swych męskich odpowiedników), miały w łagrach ciężkie życie: były narażone na gwałty ze strony innych więźniów, szczególnie brygadystów i *worów*. Patologiom tego typu sprzyjała znaczna dysproporcja między mężczyznami i kobietami; te ostatnie były po prostu w znacznej mniejszości.

W tekście o GUŁagu, pisanym przez polskiego historyka, nie może zabraknąć choćby krótkiego fragmentu o obywatelach Rzeczypospolitej, którym los nie oszczędził zetknięcia się z „białym piekłem” sowieckich obozów pracy przymusowej.

W czasie sowieckiej okupacji Kresów Wschodnich w latach 1939–1941 miały miejsce aresztowania, które uderzyły przede wszystkim w funkcjonariuszy państwowych (w szczególności oficerów Wojska Polskiego, policjantów i urzędników), a także działaczy różnych partii politycznych i organizacji społecznych oraz w członków antysowieckich organizacji konspiracyjnych. Łącznie uwięziono ponad 100 tys. osób, z czego do łagrów trafiła niecała połowa: ponad 40 tys.

Można zadać pytanie: dlaczego „tylko” tyle? Przecież w państwie, w którym obowiązywała zasada: „dajcie człowieka, a paragraf się znajdzie”, można było sobie oszczędzić czasochłonnych procedur związanych ze skazywaniem. Tak jednak nie było. Wobec obywateli polskich stwarzano fikcję „wymiaru sprawiedliwości” – składały się na nią: śledztwa (w których koronnym „materiałem dowodowym” było przyznanie się oskarżonego do winy, niemal zawsze wymuszane biciem i znęcaniem się) oraz wydawanie wyroków, ferowanych zresztą niemal wyłącznie w trybie zaocznym przez znane nam OSO NKWD. Z reguły śledztwo i skazanie trwało około pół roku, co oczywiście spowalniało wysyłkę aresztowanych do łagrów.

Przedwojenna Polska była państwem wielonarodowościowym, taki też był skład obywateli Rzeczypospolitej wywiezionych do obozów pracy poprawczej. Wśród osadzonych w łagrach zdecydowanie dominowali jednak Polacy, których znalazło się tam nie mniej niż 26 tys.; Żydów, represjonowanych zresztą głównie za próbę „nielegalnego przekroczenia granicy państwowej”, trafiło za obozowe druty ok. 7 tys. Więźniami sowieckich łagrów stało się także 4 tys. Białorusinów i kilka tysięcy Ukraińców. Obywateli polskich wywożono najczęściej do Republiki Komi (łącznie trafiło ich tam ponad 30 tys.) i kierowano z reguły do wyrębu lasu; rzadziej trafiali oni do Kazachstanu, gdzie znajdowały się łagry o charakterze rolniczym, na Ural czy osławioną Kołymę.

W obozach znalazło się wielu wybitnych przedstawicieli społeczeństwa II Rzeczypospolitej – polityków, artystów, pisarzy. Można tu wymienić, tylko przykładowo: prof. Stanisława Grabskiego, gen. Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza, Eugeniusza Bodo (zmarł z wyczerpania w łagrze w 1943 r.), prof. Stanisława Swianiewicza czy prof. Mojżesza Schorra (zmarł w obozie w 1941 r.). Pobyt w obozach zrodził odrębny nurt w polskiej literaturze pięknej, nazywany „literaturą łagrową”, w którym za sztandarowe dzieło uważa się *Inny świat* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego.

W lipcu 1941 r. zostały wznowione stosunki polsko-sowieckie (podpisanie układu Sikorski-Majski), a w następnym miesiącu władze ZSRS ogłosiły „amnestię” dla obywateli polskich, która oczywiście objęła także więźniów obozów. Ilu ich zwolniono, ilu zaś zatrzymano – dokładnie nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że początkowo obywatele polskich zwalniano bez specjalnego zwracania uwagi na narodowość. Po kilku miesiącach władze sowieckie ograniczyły zwolnienia do osób narodowości polskiej, uznając obywateli polskich innych narodowości za obywateli ZSRS, których dekret „amnestyjny” nie obejmuje.

Z raportu naczelnika GUŁagu, Wiktora Grigorijewicza Nasiedkina, dla szefa NKWD, Ławrientija Berii, *O pracy GUŁagu w latach wojny (1941–1944)*:

„W l.[atach] 1941–[19]42, zgodnie z Dekretem Prezydium Rady Najwyższej ZSRR i postanowieniem Państwowego Komitetu Obrony, zwolniono 43 tys. obywateli polskich i do 10 tys. obywateli czechosłowackich, z których większość skierowano do tworzących się oddziałów narodowych”.

Trzeba tu zresztą powiedzieć, że także po tzw. amnestii obywatele polscy przebywający na sowieckim terytorium trafiali do łagrów za różne, rzekomo popełnione „przestępstwa”. Najwięcej znalazło się ich tam w 1943 r., kiedy to władze ZSRS przeprowadziły akcję ponownego narzucenia obywatelstwa sowieckiego obywatelom polskim narodowości polskiej, i ponad 1,5 tys. opornych – tych, którzy odmówili przyjęcia sowieckiego paszportu – osadzili w obozach.

Jednak nowy, prawdziwie wielki „potok” obywateli polskich zaczął płynąć do łagrów z chwilą, gdy w styczniu 1944 r. Sowieci ponownie wkroczyli na tereny Kresów Wschodnich. Nastąpiła wtedy powtórka wydarzeń z lat 1939–1941, z tym, że teraz ofiarą aresztowań NKWD padali przede wszystkim żołnierze Armii Krajowej. Szacuje się, że łącznie z terenu Kresów wywieziono do obozów 25–30 tys. Polaków. Trafili oni do Workuty, Norylska, Kazachstanu, na Kołymę i do innych, rozsianych po całym terytorium sowieckim łagrów. Wywózki do poprawczych obozów pracy zastosowano jako instrument represji przede wszystkim wobec Polaków – mieszkańców ziem kresowych. Wobec zamieszkujących tereny „nowej” Polski zastosowano zasadniczo inny rodzaj represji – deportacje do obozów kontrolno-filtracyjnych i jenieckich, które nie podlegały GUŁagowi.

Koniec II wojny światowej i lata powojenne przyniosły apogeum potęgi sowieckiego imperium obozowego. Obok „polskiego”, do łagrów wlewały się inne „potoki” – „litewski”, „estoński” czy „ukraiński”, będące efektem działania sowieckiej maszyny represyjnej, która bez pardonu dławiła wszelkie tendencje wolnościowe narodów Europy Środkowo-Wschodniej.

Ale i dalsze zaostrzenie polityki karnej w samym Związku Sowieckim po wojnie sprzyjało rozwojowi GUŁagu. Wprowadzono wówczas m.in. dekret, który przewidywał kary do 25 lat obozów za zabór mienia państwowego. Egzekwowany był z niezwykłą surowością; przykładowo – za kradzież kilku kilogramów ziemniaków z kołchozu dostawało się sześć lat łagrów, podobnie kończyło się przywłaszczenie sobie kilku papierosów w fabryce. Inny, również restrykcyjny dekret wprowadzał odpowiedzialność karną za ujawnienie tajemnicy państwowej, przy czym tajemnicą tą mogło być praktycznie wszystko.

W rezultacie tych wszystkich zjawisk liczebność GUŁagu na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych wzrosła do nienotowanej dotąd liczby 2,5 mln więźniów. Rozrostowi

„Archipelagu” towarzyszyły zmiany w jego strukturze wewnętrznej. W 1948 r. został stworzony nowy rodzaj obozów, obozy specjalne. Wzorowano je na obozach katorżnych, a przeznaczone były one dla „szczególnie niebezpiecznych przestępców państwowych: szpiegów, dywersantów, terrorystów, nacjonalistów i członków rozmaitych antysowieckich organizacji”. W *specłagrach* nie było więźniów kryminalnych. Znaleźli się w nich (nie, jak w okresie przedwojennym, bardziej wykreowani przez system niż autentyczni) przeciwnicy władzy sowieckiej, ale jej rzeczywisti wrogowie – zahartowani w ogniu II wojny światowej członkowie rozmaitych formacji zbrojnych, aresztowani przez NKWD na terenie Europy Środkowo-Wschodniej.

Władza sowiecka zdawała sobie zresztą sprawę, że do łagrów napłynął nowy, groźny, różny od dotychczasowego „kontyngent” więźniów. Dlatego też więźniowie obozów specjalnych zostali poddani wyjątkowo ostremu reżimowi, na który składały się: zakratowane baraki, numery na ubraniach, jedenastogodzinny dzień pracy (wyłącznie najcięższej) i rozbudowany system kar. Więźniom zabraniano zbliżać się do strażników bliżej niż na dziesięć metrów, korespondencję ograniczono do jednego listu na kwartał. *Specłagry* powstały m.in. w okolicach Norylska, Workuty, Karagandy, na Kołymie. Łączna liczba osadzonych w tych obozach osiągnęła (w 1952 r.) 250 tys.

Jeszcze przed śmiercią Stalina, która nastąpiła w roku 1953, w *specłagrach* wystąpiły zjawiska z punktu widzenia władz wybitnie niepożądane. Chodzi tu głównie o proces samoorganizacji więźniów, której celem było przede wszystkim zwalczanie donosicieli będących prawdziwą plagą. Jak wynika ze statystyk, w 1949 r. (podajemy ten rok na zasadzie przykładu) było ich łącznie ok. 70 tys. Z chwilą gdy więźniowie stworzyli wspólny front przeciw obozowym informatorom, skończyła się ich bezkarność – wielu z nich zostało po prostu zabitych. Oczywiście, następstwem rozprawy z donosicielami było osłabienie nadzoru nad więźniami obozów specjalnych.

Nie najlepiej działało się także w „zwykłych” łagrach, które w latach powojennych weszły w stadium pewnego rodzaju zanarchizowania. Podstawową tego przyczyną było zniesienie w 1947 r. w Sowietach kary śmierci. To teoretycznie humanitarne posunięcie rozzuchwaliło do tego stopnia więźniów kryminalnych, że w dużej mierze zawładnęli oni życiem wewnętrznym obozów. Coraz częściej atakowali innych więźniów, powodując ofiary śmiertelne i zranienia. Kilka przykładów i liczb da wyobrażenie o skali i brutalności tych akcji. W 1952 r. w Norylsku kryminaliści napadli na więźniów politycznych, zabijając nieznaną ich liczbę; z obozu wywieziono dwie ciężarówki rannych. Łącznie w tym roku w łagrach z rąk kryminalistów zginęło ponad stu więźniów. W roku następnym w jednym z obozów Wiatłagu więźniowie kryminalni zabili dziewięciu więźniów, którzy nie chcieli oddać im pieniędzy.

W takiej oto napiętej i niezdrowej sytuacji nastąpiła śmierć Józefa Stalina, co naruszyło stabilność całego systemu, opartego na jego nieograniczonej władzy. Wśród więźniów obozów specjalnych zgon tyrana wywołał oczekiwanie na złagodzenie reżimu (szczególną nienawiść budziły numery na ubraniach, kraty w barakach, jedenastogodzinny dzień pracy) i ogólną poprawę warunków życia. Jednak ogłoszona w marcu 1953 r. amnestia zawiodła te nadzieje, objęła bowiem wyłącznie więźniów kryminalnych (było ich blisko milion). Wzbudziło to nastroje rozgoryczenia wśród pozostałych skazańców, którzy musieli pozostać za drutami obozów. Wystarczyła iskra, by nastąpił wybuch.

Do eksplozji doszło latem 1953 r. w Norylsku, a ową iskrawą stało się zastrzelenie przez konwój więźnia bez żadnego powodu i ranienie kilku innych. Być może, w innej sytuacji więźniowie daliby się sterroryzować. Ale nie tym razem. Ogłoszono strajk (w którym uczestniczyło 16 tys. uwięzionych), doszło do przyjazdu komisji z Moskwy, jednak jej pertraktacje

ze strajkującymi – którzy zażądali przeglądu spraw karnych, zdjęcia numerów z ubrań i krat z baraków oraz skrócenia czasu pracy – nie doprowadziły do ugody. Ostatecznie władze sięgnęły po rozwiązanie siłowe i na teren zbuntowanych obozów w Norylsku wprowadzono uzbrojone formacje Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. W czasie brutalnej rozprawy z protestującymi zabiły one ponad 100 więźniów, raniły ponad 250.

Nieco później, ale też latem 1953 r., doszło do buntu w łagrach Workuty. Przebywało tam 35 tys. więźniów, w tym ok. 600 Polaków, głównie żołnierzy Armii Krajowej z Kresów Wschodnich. W ogarniętej płomieniem buntu Workucie zażądano m.in. amnestii. W poszczególnych łagrach powstały komitety, których celem było reprezentowanie więźniów w rozmowach z władzami. Na czele komitetów w dwóch obozach stanęli Polacy: kpt. Feliks Kędziński i Edward Buca (żołnierz AK z Sambora). Protest podjęło 15 tys. więźniów. Tu również przybyła na rozmowy komisja z Moskwy, ale finał był identyczny jak w Norylsku – atak uzbrojonych wojsk MWD. Ofiar było o połowę mniej.

Niewątpliwie najbardziej znany jest trzeci z wielkich buntów, który miał miejsce w następnym roku w obozie Kengir w Stieplągu (Kazachstan). Wszystko zaczęło się w połowie maja 1954 r. od zamieszek wywołanych przez grupę więźniów kryminalnych, których wcześniej przywieziono do obozu z zadaniem spacyfikowania więźniów politycznych. Z zadania tego – będąc w mniejszości – kryminaliści się nie wywiązali, podjęli natomiast próbę dostania się do zony kobiecej, potem gospodarczej, co zakończyło się zastrzeleniem osiemnastu więźniów i ranieniem kilkudziesięciu. Doszło do strajku, wysunięcia rozlicznych postulatów dotyczących złagodzenia reżimu, skrócenia czasu pracy i poprawy warunków bytowania. I znów przyjechała z Moskwy wysoka komisja, ale spełniła tylko część postulatów protestujących. Więźniowie opanowali obóz, wystawili warty, zbudowali przy wejściach do niego barykady. W obozowych warsztatach wyrabiano narzędzia samoobrony: piki, noże itd. W odpowiedzi władze zastosowały swego rodzaju „oblężenie” obozu, które miało osłabić wolę więźniów i skłonić ich do poddania się. Rachuby na wyczerpanie strajkujących okazały się jednak próżne, wobec czego postanowiono po raz kolejny zastosować wariant siłowy.

O wpół do czwartej nad ranem 26 czerwca 1954 r. na zbuntowany obóz uderzyły uzbrojone formacje MWD, w których składzie było pięć czołgów. Miały one jedynie ślepą amunicję, ich zadaniem było zresztą głównie rozbicie barykad i umocnień oraz wywarcie porażającego efektu psychologicznego. Więźniowie stawili heroiczny opór, ale został on złamany. W trakcie pacyfikacji obozu zabito 37 więźniów, drugie tyle raniono. Mimo ofiar protest więźniów nie poszedł na marne – jeszcze w 1954 r. obozy specjalne zostały zlikwidowane (przeniesiono je na status „zwykłych” poprawczych obozów pracy). Inne efekty protestu to przegląd spraw karnych, w wyniku którego dokonano rewizji wyroków i zwolniono znaczącą liczbę więźniów politycznych, a także kolejna, ogłoszona w 1955 r., amnestia, która przede wszystkim ich właśnie objęła.

Na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych władze zajęły się sprawą efektywności gospodarczej GUŁagu. Przeprowadzone badania o charakterze studyjnym dowiodły, że po pierwsze – instytucja jest niewydolna ekonomicznie i znajduje się właściwie na garnuszku budżetu państwowego, po drugie – GUŁag przekształcił się w przedsiębiorstwo gospodarcze, traktując więźniów jako siłę roboczą, przy całkowitym zaniedbaniu sprawy reedukacji więźniów, od których wymagano wypełnienia norm pracy – i praktycznie niczego więcej. Wychodząc z tej diagnozy, uznano za niecelowe przedłużanie istnienia struktury, która okazała się niewydolna pod każdym względem, i w 1957 r. Główny Zarząd Obozów i Poprawczych Kolonii Pracy uległ likwidacji.

OBOZY NIEMIECKIE NA OKUPOWANYCH TERENACH POLSKICH

Hitlerowskie Niemcy założyły 24 obozy koncentracyjne, z setkami podobozów i oddziałów roboczych. Utworzyły dziesiątki obozów przesiedleńczych i tysiące obozów pracy. Obozy stanowiły podstawowy instrument terroru i eksterminacji.

Ujęte osoby osadzano w obozach na podstawie decyzji administracyjnych wydawanych przez organa władzy: policję bezpieczeństwa, urzędy przesiedleńcze i urzędy pracy. Wyjątek stanowiły obozy karne, do których kierowano na podstawie wyroków sądowych. Te same władze, które kierowały do obozów, także w obozach dysponowały osadzonymi ludźmi.

Status osób osadzonych w obozach zależał od typu obozu, a ten był uzależniony od władzy, której dany obóz podlegał. Osoby osadzone w obozach policji bezpieczeństwa okupant określał mianem *Haftlinge* (więźniowie), podczas gdy osadzonych w obozach administracji cywilnej określano jako *Insassen* (osadzeni).

Niemieckie obozy na ziemiach polskich i ich podległość

Władze sądowe	Organa administracji			
	RSHA ¹	Miejscowe placówki policji	Urzędy przesiedleńcze	Urzędy pracy
Obozy karne	Obozy koncentracyjne	Obozy przejściowe	Przejściowe obozy przesiedleńcze	Przejściowe obozy pracy
		Wychowawcze obozy pracy		Obozy pracy
		Obozy pracy dla Żydów		

W okupowanej Polsce Niemcy utworzyli ponad 6 tys. obozów dla ludności cywilnej, o różnym charakterze. Stworzono setki obozów podległych policji bezpieczeństwa oraz tysiące obozów podległych cywilnym organom władzy.

Pierwszymi obozami, które zostały utworzone na ziemiach polskich przez okupanta, były obozy przejściowe, w których gromadzono ludzi wyrwanych z dotychczasowych miejsc zamieszkania i dokonywano ich selekcji (każda władza innymi metodami), a następnie prze-

¹ RSHA – pełna nazwa Reichssicherheitshauptamt, czyli Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy; w jego skład wchodziły Sicherheitspolizei – policja bezpieczeństwa i Sicherheitsdienst – służba bezpieczeństwa SS.

kazywano zgodnie z celem władzy. Stąd też obozy przejściowe często były określane jako *Sammellager* – obozy zbiorcze. Istniały dwa typy tych obozów: przejściowe obozy policji bezpieczeństwa (zwane obozami internowania lub obozami dla ujętych jeńców cywilnych) oraz przejściowe obozy przesiedleńcze. Oba typy obozów powstały już jesienią 1939 r., głównie na ziemiach zachodnich i północnych Polski włączonych do III Rzeszy.

Przejściowe obozy policji bezpieczeństwa (*Durchgangslager für Zivilgefangene, Gefangenenlager, Internierungslager, Übergangslager*), utworzyły operacyjne grupy policji bezpieczeństwa (*Einsatzgruppen der Sicherheitspolizei*), które weszły do Polski za Wehrmachtem w celu przeprowadzenia operacji *politische Flurbereinigung* (politycznego oczyszczenia terenu), określanej przez hitlerowskich dygnitarzy akcją „Inteligencja” (*Intelligenzaktion*). Obozy te utworzono zgodnie z decyzją podjętą w pierwszych dniach września 1939 r. w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy, aby wkraczająca do Polski niemiecka policja organizowała „prowizoryczne obozy koncentracyjne”, w których będzie mogła umieszczać internowanych Polaków, gdy miejscowe więzienia i areszty okażą się przepełnione.

Obóz, którego nazwa brzmiała początkowo Konzentrationslager-Posen, a następnie Übergangslager Fort VII utworzono w Poznaniu w Forcie VII, starej warowni, stanowiącej część systemu umocnień obronnych Poznania. Podobnie „obóz koncentracyjny Radogoszcz” utworzono w Łodzi na Radogoszczu, w grudniu 1939 r. zmieniono jego nazwę na Gefangenenlager Radogosch.

Przejściowe obozy dla internowanych Polaków zorganizowały wkraczające grupy policji bezpieczeństwa także na Pomorzu. Należał do nich utworzony już 2 września 1939 r. przez SS-Wachsturmbann Eimann obóz dla jeńców cywilnych Stutthof (*Zivilgefangenenlager Stutthof*). W tym przypadku na obóz wybrano zalesiony teren tuż przy Mierzei Wiślanej, otoczony Zatoką Gdańską i Zalewem Wiślanym. W pierwszych dniach września policja utworzyła obozy przejściowe także w gmachu szkoły Victoria w Gdańsku oraz w Nowym Porcie, na terenie tamtejszych koszar. W Bydgoszczy, obóz dla internowanych Polaków (*Internierungslager*) ulokowano w pomieszczeniach dawnej zbrojowni i w stajniach koszar.

W obozach internowania na ziemiach Polski przyłączonych do Rzeszy, które miały być „oczyszczone z Polaków”, policja osadzała osoby uznane za „szczególnie niebezpiecznych obrońców polskość”. Ich nazwiska zostały już przed wojną wpisane na listy proskrypcyjne niemieckiej policji bezpieczeństwa.

Obozy dla osób internowanych, które powstawały dla celów operacji „Inteligencja”, po jej zakończeniu wiosną 1940 r., likwidowano lub przekształcano. W ciągu kilku miesięcy istnienia osadzono w nich kilkadziesiąt tysięcy Polaków. Po przesłuchaniach, połączonych z niezwykle okrucieństwem, zostali oni rozstrzelani w miejscach masowych straceń, m.in. w Lasach Piaśnickich k. Wejherowa, Lasach Szpegawskich k. Starogardu Gdańskiego, w Dolinie Fordonu i Trzyszcynie k. Bydgoszczy, w Lesie „Barbarka” k. Torunia, Mniszku k. Świecia, w Lesie „Olszyna” k. Rogoźna Wielkopolskiego, w Lasach Łagiewnickich i Lasach Lućmierskich, w lasach Dopiewca i Dębienka k. Poznania. Część osób internowanych została wiosną 1940 r. deportowana do obozów koncentracyjnych na terenie Rzeszy.

Przejściowe obozy przesiedleńcze tworzone równocześnie z przejściowymi obozami dla internowanych jesienią 1939 r. Zakładanie obozów przesiedleńczych wiązało się z planami szybkiej germanizacji przyłączonych do Rzeszy polskich ziem: Pomorza, Kujaw, części Mazowsza, Wielkopolski, Śląska, ziemi łódzkiej i Suwalszczyzny. Tereny te, zamieszkałe przez ponad 9 mln Polaków (ludność niemiecka liczyła ok. 600 tys. mieszkańców, również ok. 600 tys. liczyła ludność żydowska), miały stać się, według słów Reichsführera

SS Heinricha Himmlera, Komisarza Rzeszy do spraw Umacniania Niemczyzny, „germańskimi, jasnowłosymi prowincjami Niemiec, prowincjami narodowosocjalistycznymi”. Himmler kierował kolonizacją ziem podbitej Polski.

Nakaz realizacji wysiedleń dał Hitler w rozporządzeniu z 7 października 1939 r. Wysiedleń dokonywał utworzony w tym celu aparat przesiedleńczy, do którego należało sporządzanie list i kartotek oraz przygotowanie obozów przejściowych lub punktów zbiorczych. W początkowym okresie realizowania wysiedleń, do połowy 1940 r., obozy przesiedleńcze zakładano często przy obozach internowania.

Wysiedleni musieli pozostawić domy i gospodarstwa z całym inwentarzem i urządzeniem, nienaruszone mieszkania, miejsca pracy, np. warsztaty rzemieślnicze, gabinety lekarskie, dzieła sztuki, biżuterię, księgozbiory, futra itp. Wszystko ulegało konfiskacie i było przejmowane przez skarb Rzeszy. Wolno im było zabrać jedynie bagaż ręczny, z którym byli osadzani w obozach lub punktach zbiorczych, podległych urzędowi przesiedleńczym. Ich pobyt w obozach trwał od kilku dni do kilku tygodni, do chwili sformowania transportu, którym byli przewożeni do Generalnego Gubernatorstwa. Sam transport był straszliwym doświadczeniem, zwłaszcza podczas ostrej zimy 1939–1940 r. Dzieci umierały, a dorośli chorowali z powodu zimna, głodu i wycieńczenia.

W Poznaniu obóz przesiedleńczy założono w starych barakach po magazynach wojskowych. Pierwszą grupę wysiedlonych, liczącą ponad dwieście osób, osadzono w obozie 5 listopada 1939 r. Następną, także ponad dwieście osób, 7 listopada. Kolejne grupy wysiedlonych osadzane w obozie liczyły już ponad tysiąc osób. Obóz przejściowy w Działdowie utworzono na terenie byłych koszar. Przetrzymano w nim Polaków wysiedlanych z powiatów ciechanowskiego i płockiego, które wcielono do Rzeszy jako rejencję ciechanowską. Dla Polaków wysiedlanych ze Śląska tworzono *Polenlagry*. Obozy przesiedleńcze utworzone w Łodzi i Konstantynowie Łódzkim przeznaczone były dla ludności wysiedlanej z województwa łódzkiego, a także z innych ziem włączonych do Rzeszy, m.in. z Pomorza i Kujaw.

Wiosną 1941 r., po zamknięciu granicy między Rzeszą i Generalnym Gubernatorstwem, sytuacja osób wysiedlonych i osadzonych w przejściowych obozach przesiedleńczych uległa zmianie. Od tego czasu osadzonymi w obozach dysponowały miejscowe urzędy pracy, które kierowały wysiedleńców do robót przymusowych w Rzeszy (*Altreich*). W obozach pozostawali ludzie sędziwi i chorzy, niezdolni do pracy oraz dzieci rozłączone z rodzicami (pozostawione bez opieki bardzo często chorowały i umierały). Przejściowe obozy przesiedleńcze funkcjonowały do zakończenia akcji wysiedleń Polaków – niektóre do grudnia 1944 r.

Obozy koncentracyjne – skupiające w latach wojny wiele milionów więźniów wszystkich okupowanych narodów Europy – tworzono na terenie III Rzeszy od 1933 r. Podstawą ich organizowania było „wyjątkowe rozporządzenie o ochronie narodu i państwa” z 28 lutego 1933 r., upoważniające policję bezpieczeństwa do zwalczania wszelkimi środkami „wrogów III Rzeszy”.

Na terenach okupowanej Polski pierwszy obóz koncentracyjny – KL Auschwitz – założono na przełomie kwietnia i maja 1940 r. na Śląsku, w Oświęcimiu. Utworzenie obozu motywowano potrzebą nowych miejsc odosobnienia dla masowo aresztowanych w związku ze wzrastającym ruchem oporu, który obejmował coraz szersze kręgi ludności polskiej, mimo przeprowadzonej przez policję eksterminacyjnej akcji „Inteligencja”. Na siedzibę obozu wykorzystano kompleks budynków byłych koszar wojskowych, znajdujących się za rzeką Sołą, wyłączonych ze zwartej zabudowy miasta. Mieszkańców dzielnicy Zasole oraz okolicznych wsi wysiedlono, a domy zburzono. Wyludniony teren, liczący ok. 40 kmkw.,

należał do tzw. obszaru interesów obozu. Pierwszy transport więźniów przywieziono do KL Auschwitz z Niemieckiego Zakładu Karnego w Tarnowie 14 czerwca 1940 r. Liczył on 728 polskich więźniów politycznych, aresztowanych w ramach „nadzwyczajnej akcji uspokajającej”, przeprowadzanej w GG od maja 1940 r.

W październiku 1941 r. uruchomiono na ziemiach polskich kolejny obóz koncentracyjny (KL Lublin), zwany potocznie obozem na Majdanku, od dzielnicy Lublina, w której został usytuowany. W styczniu 1942 r. przekształcono dawny obóz policji bezpieczeństwa dla jeńców cywilnych (Zivilgefangenenlager Stutthof) w obóz koncentracyjny KL Stutthof.

Zasady funkcjonowania obozów koncentracyjnych różniły je zasadniczo od innych obozów tworzonych przez policję bezpieczeństwa. Obozy podlegały Głównemu Urzędowi Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA), Głównemu Urzędowi Gospodarki i Administracji SS (WVHASS) oraz Inspektorowi Obozów Koncentracyjnych.

Deportacje do obozów koncentracyjnych odbywały się zawsze na podstawie tzw. *Schutzhaft* – polecenia zastosowania środka zabezpieczającego (tzw. aresztu ochronnego), wystawionego przez Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy, podczas gdy podstawą deportacji do innych obozów policji bezpieczeństwa było *Einweisung* (skierowanie). Ten rodzaj aresztu tworzył kategorię więźniów obozów koncentracyjnych tzw. *Schutzhaftlinge* i oznaczał bezterminowe, prewencyjne zesłanie w celu „ochrony społeczeństwa” przed jednostką naruszającą porządek prawny. Zwolnienia z obozów koncentracyjnych miały charakter wyjątkowy.

W obozach koncentracyjnych, utworzonych na okupowanych ziemiach polskich, do 1942 r. przeważali więźniowie polityczni narodowości polskiej. W stosunku do tych więźniów działały tzw. sądy doraźne (*Standgericht*), które przyjeżdżały do obozów raz w miesiącu. Na podstawie podjętych przez nie decyzji, w obozach dokonywano egzekucji więźniów pod tzw. ścianą śmierci. Poza zagładą bezpośrednią, więźniów wyniszczano, zmuszając ich do wykonywania niewolniczej pracy przy głodowych racjach żywieniowych, do wielogodzinnego stania na apelach na mrozie...

Podczas wojny i okupacji władze III Rzeszy rozszerzały zadania obozów koncentracyjnych. Poza rolę ośrodków przymusowej izolacji, podjęto tam eksperymenty pseudomedyczne. W KL Auschwitz prowadzono doświadczenia pseudomedyczne na dzieciach oraz w zakresie sterylizacji, ropowicy i duru plamistego.

W obozach koncentracyjnych realizowano także program zagłady. Ludzie skierowani do obozów koncentracyjnych na zagładę stanowili inną kategorię więźniów. Nie byli deportowani do obozów jako *Schutzhaftlinge*, lecz w ramach *Sonderbehandlung* (specjalnego traktowania). Obie kategorie więźniów były ściśle od siebie izolowane.

Pierwszą grupę skierowaną w celu zagłady do obozu koncentracyjnego stanowili jeńcy sowieccy, których przywieziono z Łambinowic w końcu 1941 r. Zostali zamordowani głodem w KL Auschwitz. Po pół roku z 10 tys. osadzonych jeńców pozostało kilkuset. To wśród nich szerzyło się ludożerstwo. Zabijali się nawzajem, żeby wyrwać kawałek chleba. Później, w celu zagłady, zwożono do KL Auschwitz Romów z całej Europy. Nie stosowano wobec nich selekcji, tylko wydzielono dla nich część obozu – tzw. obóz rodzinny – i tam umieszczono całe rodziny. Romowie zostali zamordowani gazem.

Od 1942 r., kiedy przystąpiono do realizacji programu *Endlösung der Judenfrage* (ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej), do obozów koncentracyjnych, utworzonych podczas okupacji na ziemiach polskich, zaczęto zwozić masowo, także z całej Europy, ludność żydowską. Zastosowano wobec niej cyklon B i gazy spalinowe. Zdarzało się, że w ciągu doby zagazowano i spalono 9 tys. osób.

W lutym 1943 r. Himmler wydał rozkaz o tworzeniu obozów koncentracyjnych w gettach wtórnych lub szczytkowych. Rozkaz ten stał się podstawą do utworzenia obozu koncentracyjnego w Warszawie – KL Warschau, a w styczniu 1944 r. – w Płaszowie pod Krakowem.

Program zagłady realizowano także w ośrodkach natychmiastowej zagłady, które Niemcy określali zgodnie z jednostką realizującą ten cel, np. SS – Sonderkommando Schultze na ośrodek masowej zagłady w Chełmie. Określenie „obóz zagłady” pojawiło się dopiero w wyroku Międzynarodowego Trybunału w Norymberdze.

Obozy pracy stanowiły najliczniejszą i najbardziej zróżnicowaną pod względem charakteru grupę obozów.

Na przełomie 1939 i 1940 r. powstawały obozy pracy przymusowej dla Żydów (*Zwangsarbeitslager für Juden, Judenarbeitslager, Julag*). Podstawą do tworzenia tych obozów stało się zarządzenie generalnego gubernatora z października 1939 r., wprowadzające w Generalnym Gubernatorstwie przymus pracy dla Żydów oraz wydane w grudniu 1939 r. postanowienie wykonawcze wyższego dowódcy SS i policji. W tym drugim postanowieniu zawarto decyzję, że ludność żydowską, podlegającą przymusowi pracy, należy umieścić w obozach. Okres pobytu w obozie określono na dwa lata.

Obozy pracy przymusowej dla Żydów należały do najliczniejszych w GG. Były organizowane przez administrację GG oraz policję i SS dla potrzeb różnych wydziałów rządu GG, dla Wehrmachtu, kolei, SS i policji oraz dla przemysłu. *Julagi* powstawały przy cegielniach, cementowniach, hutach szkła, fabrykach zbrojeniowych. Największy żydowski obóz pracy, jaki powstał w pierwszym okresie okupacji, został założony w Skarżysku-Kamiennej, w dystrykcie radomskim, przy tamtejszej fabryce amunicji Hasag (Hugo Schneider Aktiengesellschaft). W fabryce tej zatrudniono ponad 7 tys. polskich robotników w tzw. trybie wolnonajemnym. Brakującą siłę roboczą uzupełniano przez zatrudnienie robotników żydowskich, osadzonych w trzech *Julagach*, łącznie 8–9 tys. osób. Obozy założone na terenie przyfabrycznym były ogrodzone drutem kolczastym i strzeżone przez zakładową straż ochronną, którą stanowili Ukraińcy z formacji pomocniczych. Likwidacja *Julagów* następowała sukcesywnie w latach 1942–1944, w okresie realizacji zagłady ludności żydowskiej.

Dla Polaków organizowano odrębne obozy pracy (*Arbeitslager*). Choć Polacy i Żydzi często pracowali w tych samych miejscach, to z reguły nie byli osadzani w tych samych obozach pracy. Wyjątek stanowiły osoby popełniające drobne wykroczenia natury administracyjnej, które w pierwszym okresie okupacji, do momentu powstania tzw. obozów pracy wychowawczej, były osadzane w trybie karnym w żydowskich obozach pracy. Okupant utworzył następujące obozy pracy dla Polaków:

– Obozy Służby Budowlanej (*Baudienst*) były masową organizacją pracy przymusowej. Ci polscy więźniowie stanowili „ruchomą armię pracy” zmuszaną do szybkiego wykonywania rozkazów administracji. Obozy zostały powołane w dystryktach Generalnego Gubernatorstwa zarządzeniem generalnego gubernatora w grudniu 1940 r. Służbą Budowlaną nie objęto tylko dystryktu warszawskiego, gdzie – ze względu na rozwijający się tu ruch oporu – obawiano się skupisk młodych ludzi.

Pobór do Służby Budowlanej młodych mężczyzn, w wieku od 18 do 30 lat, prowadziły początkowo urzędy pracy. Od 1942 r. rekrutację przejęły powiatowe placówki Służby Budowlanej. Praca w ramach Służby Budowlanej, która trwała siedem miesięcy, była nieodpłatna. Junacy mieszkali i pracowali w systemie obozowym, podzieleni na oddziały, liczące od 100 do 180 osób, którymi kierowali dowódcy oddziałów. W obozach panował rygor wojskowy. Junakom nie wolno było samowolnie opuszczać obozu i oddziału, który wykonywał pracę poza obozem.

Uchylających się od pracy osadzano w obozach karnych Służby Budowlanej, które założono po jednym w każdym dystrykcie. Obóz karny *Baudienst* dla dystryktu krakowskiego, zwany Libanem, mieścił się w Krakowie; dla dystryktu radomskiego – w Solcu nad Wisłą; a dla dystryktu lubelskiego – w Lublinie. Dla dystryktu Galicja obóz karny *Baudienst* utworzono w Świętosławiu k. Stryja. W obozach karnych junaków osadzano na okres od miesiąca do dwóch lat. Wobec osadzonych stosowano zwiększoną normę pracy, obniżoną rację żywnościową, a nawet zakuwano ich w kajdany.

– Obozy Organizacji Todta; Organizacja Todta (Organisation Todt – OT) została powołana w celu rozbudowy, na terenach okupowanych oraz w III Rzeszy, obiektów służących wojsku, takich jak: drogi, lotniska, mosty i linie kolejowe. Zatrudniała robotników dobrowolnych i stosunkowo dobrze im płaciła. Robotnicy ci byli skoszarowani i umundurowani.

Na potrzeby Organizacji Todta pracowali także robotnicy przymusowi, osadzeni w obozach pracy przymusowej. Niejednokrotnie byli to robotnicy przenoszeni z innych obozów. Pracowali w ubraniach obozowych i nie otrzymywali wynagrodzenia za swoją pracę. Obozy OT dla robotników przymusowych były obozami o charakterze etapowym, które przenoszono z miejsca na miejsce po wykonaniu określonych robót.

– Obozy pracy przymusowej dla rolników organizowano w celu wymuszenia od rolników terminowego odstawienia kontyngentów. Osadzano w nich chłopów, którzy nie wywiązali się z dostaw płodów rolnych. Byli oni aresztowani przez policję porządkową (Orpo) i zsyłani do obozów na podstawie decyzji administracyjnej kierownika Oddziału Wyżywienia i Rolnictwa w urzędzie szefa dystryktu. Początkowo pobyt w obozie trwał do sześciu miesięcy. Od 1942 r. rolnicy byli przetrzymywani w obozach tak długo, dopóki rodzina nie dostarczyła wyznaczonego kontyngentu. Osadzano ich w obozach gospodarki wodnej, którą kierował Wydział Wyżywienia i Rolnictwa rządu GG, gdzie pracowali przy obwałowaniach i robotach regulacyjno-melioracyjnych. Były to obozy etapowe. Gdy praca została wykonana, obóz przenoszono w inne miejsce, co miało wpływ na tymczasowość pomieszczeń, które bywały bardzo prymitywne (stodoły, szopy, obory). Część rolników osadzano w obozach pracy związanych z remontami, modernizacją i budową dróg oraz w obozach rolnych na terenie wielkich majątków ziemskich. Obozy były strzeżone przez funkcjonariuszy policji porządkowej (*Sonderdienst*) i żandarmerii. Od 1942 r. funkcje strażników przejęli wartownicy z ukraińskiej formacji *Wachmannschaften*.

– Obozy fortyfikacyjne (*Einsatzlager*) – ich rozwój przypada na 1944 r. i wiąże się z ofensywą Armii Czerwonej. Roboty fortyfikacyjne prowadzono na linii Bugu i Sanu, od rzeki Białej do Pilicy, nad Popradem, Dunajcem i Nidą oraz nad Wartą. Utworzono tam blisko sto obozów, w których osadzono ponad 30 tys. robotników przymusowych. Dostarczaniem siły roboczej do robót fortyfikacyjnych zajmowali się sołtysi, wójtowie, burmistrzowie i starostwie powiatowi, którzy czuwali nad terminową realizacją wyznaczonych kontyngentów.



Zwłoki więźniów w Dachau

Osadzeni w obozach fortyfikacyjnych pochodzili z imiennego naboru i z łapanek. Pobyt w obozie fortyfikacyjnym trwał przeciętnie około dwóch miesięcy. Osadzonych umieszczano w barakach dostarczanych przez Wehrmacht. Prace fortyfikacyjne i wykonujących je robotników nadzorowały formacje wchodzące w skład dywizyjnych sztabów do zadań specjalnych (*Div. Stab zur besonderen Verwendung*) pod Dowództwem Obszaru Tyłowego (*Kommandant der ruckwärtigen Armeegebiets* – Koruck). Załogę wartowniczą obozów stanowili najczęściej żandarmi, żołnierze oraz członkowie paramilitarnych organizacji.

Urzędem pracy podlegały także obozy przejściowe dla robotników przymusowych. Służyły one zgrupowaniu ludzi zatrzymanych przeważnie w łapanek, przeprowadzeniu badań przez komisję lekarską i wywiezieniu nadających się na roboty przymusowe do III Rzeszy. Pobyt w przejściowym obozie pracy wynosił około dziesięciu dni.

Urzędy pracy nadzorowały też obozy typu mieszkalnego (*Gemeinschaftslager*). Robotnicy byli kierowani do pracy zgodnie z zapotrzebowaniem gospodarki wojennej, bardzo często w rejony oddalone od miejsca zamieszkania. Tam musieli korzystać ze skoszarowanego zamieszkania w obozach. Obozy typu *Gemeinschaftslager* uważano za zwykłe czasowe mieszkanie, a robotników mieszkających w nich za wolnonajemnych, tzn. zatrudnionych zgodnie z rozporządzeniem o obowiązku pracy. Robotnicy umieszczeni w *Gemeinschaftslager* mieli swobodę poruszania się poza obozem po zakończonej pracy.

– Obozy pracy wychowawczej (*Arbeitserziehungslager* – AEL) były obozami typu karnego, tworzonymi przez policję bezpieczeństwa, na mocy rozporządzeń z maja i grudnia 1941 r., dla robotników zrywających umowy o pracę, to znaczy zbiegłych z miejsca pracy oraz dla tzw. niechętnych pracy (*arbeitsscheu*), a także dla osób popełniających drobne wykroczenia natury administracyjnej. W pierwszym okresie okupacji (do momentu powstania obozów pracy wychowawczej) osoby te były osadzane w trybie karnym w żydowskich obozach pracy. Czas pobytu w AEL wynosił 56 dni. Po odbyciu kary więzienia odstawiano na miejsce pracy, z którego uciekł. Robotnicy, którzy próbowali ucieczki po raz wtóry, byli umieszczani w obozach koncentracyjnych. Obozy pracy wychowawczej na obszarze działalności placówki gestapo w Poznaniu (*Staatspolizeileitstelle Posen*) założono w Forcie VII, w Żabikowie, w Łodzi na Sikawie, w Ostrowie Wielkopolskim i Inowrocławiu. Na terenie rejencji ciechanowskiej istniało siedemnaście obozów wychowawczych, m.in. w Działdowie, Ciechanowie, Drobinie, Serocku, Przasnyszu, Mławie, Nasielsku, Ostrołęce i Makowie Mazowieckim. W obozach tych była duża śmiertelność spowodowana głodem, chorobami i znęcaniem się. Na więźniach dokonywano także egzekucji.

Obozy karne (*Straflager*) tworzone do 1942 r., jako ośrodki odbywania kary, która była połączona z wykonywaniem pracy. W początkach okupacji kary odbywano w więzieniach sądowych; od 1942 r. także w karnych obozach pracy. Skazanie na karę ciężkiego więzienia, tzn. powyżej trzech lat, połączonego z ciężką pracą, oznaczało dla więźnia, że po odbyciu kary nie wróci do domu, lecz zostanie przekazany policji bezpieczeństwa.

Niemieckie obozy utworzone na okupowanych ziemiach polskich były ośrodkami uwięzienia i odosobnienia, pracy niewolniczej i masowej zagłady. Spełniały też funkcję ośrodków systematycznego terroryzowania mieszkańców okupowanych ziem. Wszystkie, bez względu na ich charakter i zróżnicowane nazwy, maksymalnie eksploatowały siłę roboczą osadzonych tam osób, powiększając potencjał gospodarczy III Rzeszy. Niewolnicza praca ponad siły, przy głodowych racjach żywnościowych i stałym terrorze stanowiła zarazem środek wyniszczania podbitych narodów. Niemieckie obozy stały się miejscami męczeństwa i śmierci setek tysięcy deportowanych tam mieszkańców Polski.

LAGER DER BLUTRACHE – OBÓZ KRWAWEJ ZEMSTY

Fort VII w Poznaniu to największa katownia Polaków w tzw. Warthegau. Już sama jego nazwa wywołuje tam dreszcz lęku. Groza i milczenie śmierci wieje z tych kazamat, posępną tajemniczością spowite to miejsce. Wytracono tu największy może odsetek inteligencji wielkopolskiej.

Fragment książki *Z pierwszej linii frontu*, poświęconej męczeństwu i walce Wielkopolan, wydanej staraniem Delegatury Rządu na Kraj wiosną 1943 r.

Obóz i jego załoga

Decyzja o utworzeniu w Poznaniu obozu koncentracyjnego zapadła w ostatnich dniach września 1939 r., a już 10 października na terenie dziewiętnastowiecznej warowni pruskiej, zwanej Fortem VII, powstał Konzentrationslager-Posen, podlegający Einsatzgruppe VI (grupie operacyjnej niemieckiej policji bezpieczeństwa). W listopadzie 1939 r. zmieniono jego nazwę na Geheime Staatspolizei Übergangslager (obóz przejściowy gestapo) Fort VII, a w połowie 1941 r. na Polizeigeftaengnis der Sicherheitspolizei und Arbeitserziehungslager (więzienie policji bezpieczeństwa i obóz pracy). Mimo pierwotnej nazwy, Fort VII nie miał nigdy charakteru obozu koncentracyjnego. Był obozem przejściowym, w którym więźniowie przebywali do czasu decyzji gestapo co do ich dalszego losu – oddania pod sąd, wywózki do obozu koncentracyjnych bądź stracenia na miejscu. Pełnił więc także funkcję eksterminacyjną.

Teren forteczny – opasany wałami, na których ciągnęło się wysokie ogrodzenie z drutu kolczastego, otoczony szeroką i głęboką fosą, osłonięty gęstym pasem zieleni – był miejscem trudno dostępnym i łatwym do strzeżenia.

Komendant obozu podlegał kierownikowi poznańskiego gestapo. Załoga wartownicza obozu (SS-Wachkommando) liczyła od pięćdziesięciu do osiemdziesięciu funkcjonariuszy. W pierwszym okresie składała się z folksdojców, głównie członków policji pomocniczej (Hilfspolizei), wywodzących się z Wielkopolski, dobrze znających język polski i stosunki panujące w polskim społeczeństwie. Ci, przeważnie bardzo młodzi ludzie, zasłynęli z wyjątkowo okrutnego, wręcz sadystycznego znęcania się nad więźniami. Prawdopodobnie już wtedy Niemcy zaczęli nazywać Fort VII „obozem krwawej zemsty”.

„Zgaszono światła i w celi zapanowała głucha cisza. Coraz wyraźniej słychać było ryki i śpiewy pijanych gestapowców, uczujących w kantine [...], ryki zdawały się coraz bardziej zbliżać. [...] Tumult, skrzywienie otwieranych drzwi do cel, słowa komendy, wyzwiska, przekleństwa, głuche trzaski bicia, jęki katowanych, śmiechy gestapowców, strzały rewolwerowe [...]. Czuliśmy, że noc dzisiejsza będzie okropna. W chwilę potem światło zabłysło w celi. [...] Porwaliśmy się z legowisk i jak szaleni, zderzając się z sobą i potracając wzajem, stawiliśmy w dwuszeregu. [...] wywołano z szeregu od razu pierwszego z brzegu. [...] zaczęto go bić trzciniową laską. Kazano mu głośno liczyć uderzenia. Gdy się pomylił lub jęknął, zaczynało od nowa. Brano jednego po drugim. Gdy jeden z oprawców się zmęczył biciem,

zastępował go następny. Zresztą inni, widocznie znecierpliwieni długim trwaniem egzekucji, sami zaczęli nas grzmocić, gdzie popadło. W rezultacie jednemu z nas złamano szczękę. Nie mógł biedak później ani mówić, ani jeść. Gdy przy katowaniu przewrócił się, zaczęto go kopać [...]. A 60-letni ksiądz dziekan M. dwukrotnie zemdleł i dostał 45 kijów”¹.

Na porządku dziennym były kradzieże depozytów więźniów, skonfiskowanych na rzecz SS. To spowodowało, że już w grudniu 1939 r. komendant Fortu VII domagał się od szefa poznańskiej placówki gestapo sprowadzenia esesmanów z Rzeszy². Dopiero jednak wiosną 1941 r. załogę zasilili nieco starsi wiekiem, bardziej doświadczeni Wachmanni z Rzeszy. Nie zmieniło to sytuacji więźniów. Zdawało się, że poszczególni esesmani wręcz rywalizowali w okrucieństwie i bestialskim traktowaniu więźniów. Obok przemocy fizycznej i tortur, na porządku dziennym były wyzwiska, ubliżanie, poniżanie uczuć patriotycznych i religijnych.

„[W sierpniu 1942 r.] odizolowano wszystkie polityczne więźniarki w ostatniej na naszej kondygnacji celi nr 29. Była ona najmniejsza i najbardziej ponura [...]. Nie wychodziłyśmy z celi, nie pracowałyśmy, roztoczono natomiast nad nami szczególnie ostry nadzór [...]. Niejednokrotnie o godz. 4 lub 5 rano wpadali pijani gestapowcy, a każde ich pojawienie się związane było ze zrywaniem się z prycz i ustawianiem w szeregu. Drwiny gestapowców wobec nas stawały się nie do zniesienia. Szczególnie często naigrywano się z szóstki kobiet z grupy dra Witaszka”³.

Do ulubionych „rozrywek” strażników należało „polskie powstanie”. Wypędzano więźniów na strome nasypy ziemne tworzące Fort i zmuszano do wielogodzinnych „ćwiczeń” typu „padnij-powstań”, a także do skakania pod górę skarpy w półprzysiadzie. W ramach „spacerów zdrowotnych” więźniowie musieli biegiem pokonywać strome zbocza oraz wykonywać różne polecenia strażników, np. tarzać się w błocie. Zimą urządzano z kolei „wycieczkę w Karpaty”. Ośnieżone stoki polewano wodą, po czym kazano pozbawionym ciepłej odzieży więźniom wdrapywać się po lodzie na górę, a następnie zjeżdżać głową w dół na brzuchu lub plecach. „Wycieczka”, trwająca nieraz parę godzin, prowadziła do ciężkich odmrożeń, poważnych urazów ciała, chorób. Wszystkim tym „zabawom” towarzyszyło bicie, naigrawanie się, różnego rodzaju maltretowanie, zwłaszcza słabszych i starszych osób.

„Przy każdym wyjściu z celi musiałyśmy ustawiać się twarzą do ściany. Kto odwrócił głowę został w dotkliwy sposób pobity. Pewnego razu strażnik tak silnie uderzył jedną z więźniarek w głowę, że uderzyła ona o ścianę i wytrysnął mózg [...]. Zaledwie kilka razy wypuszczono nas na świeże powietrze, które nas odurzało. Trzykrotnie podczas tych spacerów padał z wału Fortu głośny rozkaz posterunków »Natychmiast padać twarzą na ziemię!«. Wtedy nikomu nie wolno było podnieść się lub odwrócić głowy, gdyż posterunki strzelały bez ostrzeżenia”⁴.

Niezależnie od straży obozowej, w Forcie VII istniała placówka służby bezpieczeństwa (Sicherheitsdienst), do której obowiązków należało przesłuchiwanie więźniów na miejscu oraz wykonywanie egzekucji z wyroków Policyjnego Sądu Doraźnego.

¹ Oprac. zbior., *Z pierwszej linii frontu*, Warszawa 1943, s. 101–102.

² M. Olszewski, *Fort VII w Poznaniu*, Poznań 1971, s. 25.

³ H. Ryffert, *Sila przeżyć, które odżyły*, [w:] *Pamiętniki ocalonych. Wspomnienia więźniów hitlerowskich miejsc kaźni w Wielkopolsce*, W. Jamrozik, M. Olszewski, oprac. Poznań 1983, s. 429.

⁴ W. Popek, *Fort VII*, [w:] L. Gomolec, S. Kubiak, *Terror hitlerowski w Wielkopolsce 1939–1945*, Poznań, 1962, s. 71–75.

Warunki

Cele, w których przetrzymywani byli więźniowie, przypominały katakumby – nisko sklepione pomieszczenia bez okien, bez dostępu świeżego powietrza. Prowadziły do nich okratowane, na noc zamykane dodatkowymi odrzwiami wejścia z długiego, mrocznego korytarza. Cele były w większości nieogrzewane i słabo oświetlone. Miały kamienne odrapane ściany, po których często sączyła się cuchnąca woda podskórna. W zimie ściany pokrywały się lodem. W celach panowała wilgoć i okropny zaduch z powodu stałego przepełnienia oraz stojącego wiadra, do których więźniowie załatwiali swoje potrzeby fizjologiczne. Wewnątrz nie było żadnych sprzętów (prycz, stołów, taboretów itp.). Więźniowie spali pokotem na betonowej posadzce, na którą rzucono nieco słomy, rzadko potem wymienianej. Zdarzało się, że z powodu przepełnienia więźniowie musieli spać na zmianę.

„Codziennie doprowadzano do Fortu VII nowych aresztowanych Polaków. Cele więzienne szybko się zagęszczały. Przeciętnie w każdej celi przebywało 55–65 ludzi. Leżeliśmy na barłogu tak ściśnięci, że nie można było się obrócić. Rano i wieczorem kolejno celami wypuszczano aresztowanych do ustępu. Ustawieni w dwuszeregu SS-mani bili nas. Dla załatwiania potrzeb stało w celi jedno wiadro bez nakrycia. Cuchnęło z niego okropnie. Było ono zawsze tak pełne, że nie można było go wynieść bez rozlania. To, co się po drodze rozlało, trzeba było językami zlizywać. Nie obywało się przy tym bez bicia i kopania. [...] Raz po raz zapędzano nas do męczących i poniżających ćwiczeń gimnastycznych [...]. Podczas ćwiczeń wypuszczano psy, które niejednego w straszny sposób pogryzły. Każdy SS-man był panem życia i śmierci”⁵.

Nieco lepiej wyglądały trzy cele przeznaczone dla kobiet. Umieszczone w przyziemi Fortu, miały małe okienka wychodzące na dno fosy. Wyposażone były także w prycze i ławę do siedzenia.

„Umieszczono mnie w jednej z piwnicznych cel. Panował w niej półmrok, czuć było wilgoć. W celi było ok. 20 kobiet. Ponieważ cela była bardzo mała, było w niej bardzo duszno. Na ławie siadywało się na zmianę, ponieważ prycz nie wolno było zajmować. [...] Karano za cokolwiek, jak na przykład za nieporządek na pryczach, za śpiew, za rozmowy. Najczęściej jednak nie wiedziałyśmy w ogóle, za co jesteśmy karane”⁶.

Specjalnymi pomieszczeniami były karcery. Wtrącano do nich więźniów, którzy w jakiś sposób podpadli strażnikom. Były to klatki pod schodami o wysokości ok. 1,8 m przy wyjściu i 0,5 m w głębi. Zwykle stała w nich woda. Więźniowie przebywali w karcerze kilka dni, podczas których zazwyczaj nie otrzymywali żadnego pożywienia.

„[Wsadzono mnie] do karca mikroskopijnego, gdzie nie było pryczy ani krzesła. Po ścianach ściekała cuchnąca woda, która sięgała prawie do kolan. Przez trzy dni stałam w tej wodzie, nie mogąc podeprzeć się o ociekającą wilgocią ścianę. Nogi uginające się w kolanach z utraty siły brzmiały mi”⁷.

Warunki sanitarne panujące w obozie przedstawiały się tragicznie. Czynna była tylko jedna ubikacja (pięć ustępów) i jedna umywalnia. Rankiem pędzono celę za celą, pozostawiając zaledwie kilka minut, by kilkudziesięciu więźniów mogło się umyć i załatwić potrzeby fizjologiczne. Nie było natrysków ani łaźni, więc więźniowie nie mogli korzystać

⁵ Z. Kuchowicz, *Droga więźnia*, [w:] L. Gomolec, S. Kubiak, *op.cit.*, s. 55–56.

⁶ W. Serwańska, *Wspomnienia z pobytu w obozach koncentracyjnych*, Instytut Zachodni w Poznaniu, Dok. III–63.

⁷ K. Dolniak, *Wspomnienia*, Biblioteka Uniwersytetu Warszawskiego, Rękopisy 2252.

z kąpieli. Zresztą pozbawieni byli mydła, ręczników. Nie było czasu ani możliwości ogolenia się bądź przeprania brudnej bielizny. W takich warunkach powszechny był brud, panoszyło się robactwo i choroby, zwłaszcza świerzb i flegmona. Stan higieniczny więźniów był tak opłakany, że wywołał nawet ostrą reakcję ze strony kierownictwa zakładów karnych, do których byli wysyłani więźniowie⁸. Trzeba przy tym pamiętać, że wielu więźniów – poranionych i zmaltretowanych – wracało na Fort po wielodniowych przesłuchaniach na gestapo. Nie było możliwości obmycia ran, zrobienia opatrunku.

Głodzenie więźniów należało, podobnie jak w innych obozach i więzieniach, do najszerzej stosowanych metod eksterminacji. Rano otrzymywali oni kubek kawy i porcję suchego chleba, w południe około pół litra wodnistej zupy, czasem trochę kaszy, brukwi czy innej rozgotowanej jarzyny. Na kolację była wyłącznie kawa. Problem stanowił brak naczyń. Od 1941 r. więźniowie otrzymywali już tylko dwa posiłki dziennie. Pozbawione były one zupełnie tłuszczu, mięsa i cukru.

„[...] pląga był głód. Od sierpnia [1943 r.] byliśmy skazane wyłącznie na wikt więzienny. [...] Byłyśmy tak wyголоdzone, że zupy dzieliłyśmy w celi łyżkami, aby nikomu nie stała się krzywda. W celi naszej jedna z koleżanek była w ciąży. Pomimo to nie otrzymywała ona żadnych dodatkowych porcji. Pomagałyśmy jej w ten sposób, że dzieliłyśmy się z nią naszymi porcjami. Morzenie głodem było najpowszechniej stosowaną karą...”⁹.

W tych warunkach jedynym ratunkiem były z rzadka otrzymywane paczki żywnościowe od rodzin. Przechodziły one jednak surową kontrolę, podczas której zazwyczaj wszystkie bardziej wartościowe produkty padały łupem strażników.

„Co do żywności, dochodziło ok. 10–15 proc. tego, co było wysłane, jeżeli chodzi o produkty kartkowe dla Polaków. W tych warunkach zima 1941/1942 była szczególnie ciężka, tym bardziej że od początku grudnia Fort VII był zamknięty z powodu tyfusu płamistego. [...] Ponieważ nie wysyłano prania, rodziny nie wiedziały, kto paczki odbierał, a kto już nie. Korespondencji nie było. Zniesiono kwarantannę dopiero w marcu 1942 r.”¹⁰

Zmaltretowani, wyголоdni, przebywający w wielkim zagęszczeniu i fatalnych warunkach ludzie często chorowali. Zdarzały się także epidemie, zwłaszcza tyfusu i biegunki. Na Forcie nie było żadnej pomocy lekarskiej, nie było leków ani środków opatrunkowych. Znajdujący się wśród więźniów lekarze starali się w miarę swoich możliwości ratować chorych i skatowanych towarzyszy niedoli.

„Krankenzelle – cela chorych – [pomieszczenie] bez okna, o powierzchni osiem metrów kwadratowych. Pod względem higienicznym to najgorsza cela. [...] Wpędzano tam wszystkich, którzy byli chorzy. Obojętnie na co. [...] Wpychano ich tam i właściwie najmniej się interesowano później tą celą. Najwyżej jeśli ktoś umarł, to wynoszono zwłoki”¹¹. „W okresie oczekiwania na wyjazd do obozu koncentracyjnego, wybuchła w Forcie VII w kobiecych celach szkarlatyna. Dr Celina [Choynacka] samorzutnie zgłosiła się do opieki tymczasowo odizolowanych kobiet. Zamknięta z nimi w celi pielęgnowała chore, wynosiła ciężkie wia-

⁸ Cz. Łuczak (oprac.), *Położenie ludności polskiej w tzw. Kraju Warty w okresie hitlerowskiej okupacji*, Poznań 1990, s. 26–27.

⁹ W. Serwańska, *op.cit.*, Dok. III-63.

¹⁰ M. Grabska, relacja, 1964 r., kopia w zbiorach autorki.

¹¹ Oprac. zbior., *Z pierwszej linii frontu...*, s. 102–103.

dra z odchodami, aż wreszcie sama się zaraziła. Mimo gorączki pracowała przy chorych nadal i od tego czasu zaczęła także chorować na serce¹².

W ciągu dnia więźniowie, jeżeli nie byli zabierani na przesłuchania do siedziby gestapo lub nie byli „ćwiczeni” przez spragnionych rozrywki strażników, przeważnie siedzieli na podłodze bądź chodzili w kółko po celi. Dni upływały w atmosferze lęku i beznadziejnej monotonii. Z małymi wyjątkami nie pracowali, bardzo rzadko byli wyprowadzani na spacer. Raz w miesiącu mogli otrzymać list od rodziny i sami napisać parę słów na standardowym formularzu. Ponieważ ich pobyt w Forcie traktowany był jako przejściowy, nie otrzymywali oni więziennego odzienia, lecz chodzili cały czas w tych ubraniach, w których zostali aresztowani. Co jakiś czas rodziny (przede wszystkim więźniów pochodzących z Poznania) mogły w określonym dniu tygodnia dostarczyć do Fortu świeżą bieliznę i zabrać do prania brudną. Dla wielu więźniów była to okazja dla wysłania grypsów, umieszczanych zwykle w szwach ubrania.

Więźniowie

Pierwszymi więźniami Fortu VII były ofiary masowych aresztowań dokonywanych w różnych miejscowościach Wielkopolski przez posuwające się tuż za frontem grupy specjalne policji bezpieczeństwa. Odbywały się one na podstawie przygotowanych już przed wojną, a następnie uzupełnianych spisów osób wrogich Niemcom i szczególnie niebezpiecznych dla ustanawiania nowego porządku na zajmowanych terenach. Akcja ta, określana mianem *Politischeflurbereinigung* (politycznego oczyszczania gruntu) bądź też, ze względu na grupę społeczną, w którą w przeważającej mierze była wymierzona – *Intelligenzaktion* – trwała do połowy 1940 r. W Forcie VII znaleźli się działacze niepodległościowi, powstańcy wielkopolscy i śląscy, członkowie ugrupowań politycznych, przede wszystkim Stronnictwa Narodowego, a z organizacji społecznych zwłaszcza Polskiego Związku Zachodniego, urzędnicy administracji państwowej i samorządowej, nauczyciele, profesorowie wyższych uczelni, księża, przedstawiciele wolnych zawodów, kupcy i przemysłowcy, ziemianie. Więźniów tych nie poddawano śledztwu ani dochodzeniom. Traktowano ich tak, jakby ich przewinienia były oczywiste.

W ciągu pierwszego półrocza wojny więźniowie Fortu VII ginęli w masowych egzekucjach w nieodległych od Poznania lasach Zakrzewa, Pałędzia, Dąbrówki, Dębienka, Mosiny, Obornik i innych. Zniszczenie akt obozowych nie pozwala na ustalenie nawet przybliżonej liczby ofiar, a tym bardziej ich nazwisk. W końcowym okresie wojny masowe groby były rozkopywane, a zwłoki palone, by zatrzeć wszelkie ślady. Pozostały jednak zarysy tych „dołów śmierci” i tylko po ich rozmiarach i głębokości można wznosić, że pochowano w nich w sumie kilka tysięcy osób.

Lepiej znane są fakty mordowania więźniów na terenie samego Fortu. Tylko nieliczni zginęli na podstawie wydawanych przez sądy doraźne wyroków śmierci. Wśród tej grupy więźniów był m.in. dr Celestyn Rydlewski, uczestnik konferencji pokojowej w Paryżu w 1919 r. Wielu padło ofiarą okrutnego pastwienia się ze strony strażników. W dokumentach Urzędu Stanu Cywilnego z tego okresu starano się zakamuflować faktyczne przyczyny śmierci. I tak adwokat Jan Stark, przewodniczący klubu narodowego w Radzie Miasta Poznania, został ponoć zastrzelony przy próbie ucieczki. Podobną informację podano w stosunku do niektórych zastrzelonych 6 stycznia 1940 r. więźniów jednej z cel – inż. Stefana Cybichowskiego,

¹² M. Przychodzki, *Dr Celina Choynacka*, „Przegląd Lekarski” 1978, nr 1, s. 207.



Cela, w której 6 stycznia 1940 r. strażnicy dokonali masakry przedstawicieli elity wielkopolskiej, zabijając m.in. prof. Stanisława Pawłowskiego, prof. Romualda Paczkowskiego, Leona Prauzińskiego, Nikodema Pajzderskiego, ks. Kazimierza Szrejbrowskiego) – widok obecny



Od lewej: ks. Gustaw Manitius, zamęczony w Forcie VII 1 lutego 1940 r.; por. Tadeusz Janowski „Wojnar”, p.o. szefa Wydziału III Komendy Okręgu Poznańskiego ZWZ, stracony 8 stycznia 1943; Jan Wojkiewicz, „Jacek Pogoda”, komendant X Okręgu BCh, zmarł w Forcie VII 18 stycznia 1942 w wyniku zadanych mu tortur



Siostra Maria Wiśniewska, łączniczka Okręgu Poznańskiego ZWZ, prowadziła też akcję pomocy społecznej i medycznej oraz tajne nauczanie, zamordowana w Forcie VII 19 listopada 1943 r.

profesorów Uniwersytetu Poznańskiego Romualda Paczkowskiego i Stanisława Pawłowskiego oraz artysty malarza Leona Prauzińskiego. Z niektórych innych osób zastrzelonych wtedy przez gestapowców – prokurator Tadeusz Kuczma miał umrzeć na serce, ks. kanonik Kazimierz Szrejbrowski na zwapnienie żył, a dyrektor Muzeum Wielkopolskiego Nikodem Pajzdowski miał popełnić samobójstwo. Śmiercią samobójczą zginęli rzekomo m.in.: Antoni Czubiński, starosta międzychodzki; dr Roman Konkiewicz, prezes Zarządu Wojewódzkiego PZZ czy ks. Czesław Michałowicz, sekretarz generalny Związku Katolickich Robotników Polskich. Osłabienie obiegu krwi miało być przyczyną śmierci prof. Stanisława Kalandyka; ks. seniora Kościoła ewangelickiego Gustawa Manitusa czy Aleksandry Bukowieckiej, ziemianki, jednej z organizatorek Powstania Wielkopolskiego. Wielu wypadków śmierci więźniów nie odnotowano w dokumentach, np. prof. Edwarda Klicha czy wybitnego krytyka muzycznego, Witolda Noskowskiego.

Fort VII był miejscem pierwszych na ziemiach polskich eksperymentów z masowym gazowaniem ludzi. W osobno znajdującym się bunkrze, którego drzwi starannie zaklejano gliną, zagazowano w listopadzie 1939 r. kilka grup osób psychicznie chorych ze szpitala w Owińskach pod Poznaniem oraz pacjentów oddziału psychiatrycznego przy ul. Grobla. Zastosowano tlenek węgla, doprowadzany do wnętrza bunkra rurami ze specjalnych butli. Wykonawcami „eksperymentu” byli członkowie Sonderkommando Lange, którzy potem brali udział w akcji eksterminacji Żydów w Chełmnie nad Nerem.

Od wiosny 1940 r., gdy akcja skierowana przeciw potencjalnym warstwom przywódczym powoli dobiegała końca, Fort VII stał się miejscem kaźni członków działających na terenie Wielkopolski organizacji konspiracyjnych.

Pierwsze większe aresztowania miały miejsce w kwietniu 1940 r. i trwały przez lato i jesień tego roku. Ich ofiarami padli przede wszystkim członkowie Polskiej Organizacji Wojskowej oraz Wojskowej Organizacji Ziemi Zachodnich, z Marianem Winiewiczem i kpt. Leonem Kmiotkiem na czele. Wśród osadzonych w Forcie VII było wielu poznańskich gimnazjalistów, którzy przeżyli w Forcie prawdziwą gehennę. Jedną z aresztowanych była redaktorka podziemnej gazetki Irena Bobowska, dziewczyna sparaliżowana od pasa w dół po przebytej w dzieciństwie chorobie Heinego-Medina. Zginęła jesienią roku następnego, ścięta w więzieniu w Berlinie. Pozostały grypsy, przemycone rysunki oraz wiersze, wśród których zwłaszcza jeden, „Bo ja się uczę największej sztuki życia – uśmiechać się zawsze i wszędzie”, krążył anonimowo po więzieniach i obozach koncentracyjnych, przekazywany z ust do ust, krzepił i budził nadzieję.

Od jesieni 1940 r. trwały niemal ciągłe aresztowania członków największej wtedy w Wielkopolsce podziemnej organizacji – Narodowej Organizacji Bojowej. Przez Fort przeszli wszyscy jej przywódcy, m.in. Antoni Wolniewicz, dr Stefan Piotrowski, Bolesław Koterbas, mec. Hieronim Szybowski, ojciec franciszkanin Julian Mirochna.

W maju 1941 r. osadzono w Forcie VII ks. infułata Józefa Prądzyńskiego, współorganizatora Polskiego Państwa Podziemnego w Wielkopolsce (zginął w komorze gazowej w zamku Hartheim). Wkrótce potem w obozie znalazł się Główny Delegat Rządu RP dla ziem wcielonych do Rzeszy Adolf hr. Bniński i jego najbliżsi współpracownicy, m.in. Adam Pospziński, Edward Piszcz, Stanisław Smoczkiwicz. Wszyscy oni zostali rozstrzelani w podpoznańskich lasach w lipcu 1942 r.

Od wczesniej jesieni 1941 r. praktycznie przez cały czas okupacji trwały aresztowania działaczy ZWZ-AK oraz organizacji z nią scalonych. Wśród więźniów Fortu byli oficerowie sztabu Okręgu Poznańskiego ZWZ-AK, z komendantem Okręgu płk. Henrykiem Kowa-

łówką. Byli szefowie sztabu – ppłk Stefan Łukowicz, mjr Jan Kamiński; szefowie Wydziału Organizacyjnego – por. Stefan Adam Schmidt, por. Leopold Marciniak, por. Zbigniew Krzekotowski; Wydziału II – mjr Jerzy Kurpisz; Wydziału Łączności – Maria Marszałkowska, Zbysław Krajna, Donat Wyderkowski; Wydziału VI – Konrad Latanowicz; inspektorzy rejonowi – kpt. Wawrzyniec Mazany, ppłk Jan Namysł, kpt. Sylwester Pniewski, por. Alfred Furmański; komendanci obwodów i służb oraz zwykli szeregowi żołnierze i łączniczki. W Forcie VII więzieni byli członkowie komendy Chorągwi Poznańskiej Szarych Szeregów – Jan Skrzypczak, Adam Pluciński, Alojzy Kozłowski.

Wielu wybitnych działaczy niepodległościowych zginęło w Forcie, często w wyniku obrażeń, jakich doznali w trakcie bestialskiego śledztwa. Byli wśród nich m.in. przywódca wielkopolskich ludowców i pierwszy komendant X Okręgu Batalionów Chłopskich, przewodniczący Porozumienia Stronnictw Politycznych w Wielkopolsce Jan Wojtkiewicz; pełniący obowiązki Głównego Delegata Rządu po Bnińskim członek Stronnictwa Pracy Leon Mikołajczak; jego zastępca mec. Włodzimierz Krzyżankiewicz ze Stronnictwa Narodowego; mec. Aleksander Dębski, członek konspiracyjnych władz Stronnictwa Narodowego; Marian Frankowski, szef Wydziału Propagandy NOB; Henryk Petermann, działacz NOB; mjr Władysław Marmurowicz, szef Wydziału IV sztabu komendy Okręgu Poznańskiego AK; członek Wydziału Zachodniego Głównej Kwatery Szarych Szeregów Zygryd Linda; łączniczka ZWZ, siostra zakonna Maria Wiśniewska. „Wielokrotnie wożono ją na przesłuchania do siedziby gestapo w b. Domu Żołnierza w Poznaniu. [...] Nie mogła stać o własnych siłach, gdyż połamane miała kości. Mężnie zносиła swe cierpienie, śpiewając pieśni religijne i modląc się nieustannie. Niczego Niemcom nie ujawniła. Gestapowcy podczas przesłuchań nazywali ją Heilige Maria (Święta Maria)”¹³.

W zbiorowej egzekucji 8 stycznia 1943 r. zginęli: pełniący przejściowo obowiązki komendanta Okręgu por. Tadeusz Janowski oraz członkowie wielkopolskiego Związku Odwetu m.in. Zenon Pluciński, dr Franciszek Witaszek, Stanisław Karolczak, Edward Norbecki, a także sześć kobiet łączniczek i laborantek. „Wyrok wykonano ok. godz. 10. Wieszano je kolejno, aby wywołać u reszty większą grozę”¹⁴.

W jednej z ostatnich egzekucji na terenie Fortu VII, 20 marca 1944 r., zginął inspektor rejonowy w Poznaniu por. Lech Nowacki.

Więźniowie Fortu ginęli też w masowych publicznych egzekucjach, np. w Małej Górze 22 maja 1941 r. i w Tuchorzy 9 lipca 1942 r. Ich celem było sterroryzowanie społeczeństwa i odebranie ochoty do walki i oporu.

Od połowy 1941 r., obok więźniów politycznych i karnych (osób skazanych głównie przez sądy powszechne bądź policyjne sądy doraźne, często za przewinienia o charakterze politycznym), pojawiła się trzecia kategoria osadzonych – więźniowie Wychowawczego Obozu Pracy. Były to osoby oskarżone przez niemieckich pracodawców o nieprzykładanie się do pracy. Za pomocą okrucieństwa esesmani oddziaływali na nich „wychowawczo” przez okres mniej więcej od dwóch tygodni do dwóch miesięcy, aby wyrobić zapał do pracy i pełne posłuszeństwo wobec pracodawców.

Olbrzymią większość więźniów stanowili Polacy. Przejściowo w fortecznych celach przetrzymywani byli nieliczni Żydzi (zachowały się relacje o wyjątkowo bestialskim ich

¹³ A. Kosmowska-Kowalska, *Męczennica z Fortu VII*, „Przewodnik Katolicki” 1989, nr 47, s. 20.

¹⁴ K. Jabłeczka, *Egzekucje w Forcie VII*, [w:] L. Gomolec, S. Kubiak, *op.cit.*, s. 76–78.

traktowaniu) oraz Ukraińcy, Jugosłowianie, jeńcy sowieccy, a nawet Niemcy (ci ostatni mieli osobne cele, lepsze wyżywienie i traktowanie).

Opór

Przetrawianie w warunkach fortowych wymagało wielkiego hartu ducha, a przede wszystkim solidarności i wzajemnej pomocy.

„Życie i nastrój w celi zależał w znacznym stopniu od nas samych. Same też starałyśmy się znaleźć dla siebie zajęcie. Wiele śpiewałyśmy, prowadziłyśmy wykłady, uczyłyśmy młodsze, popularna była nauka języków obcych. Najlepszym jednak lekarstwem na zabicie czasu były tzw. robótki. Miałyśmy igły i nici przemycane w paczkach. Musiałyśmy być stale bardzo ostrożne, ażeby nie wpaść czy to ze śpiewem, szyciem. [...] Bezgranicznie wprost łaknęłyśmy jakiegokolwiek kontaktu bezpośredniego z przyrodą. Ponieważ okno nasze znajdowało się na wysokości samego dziedzińca, mogłyśmy obserwować życie trawy. Ale do szczególnych już przeżyć zaliczyć muszę nasz entuzjazm, kiedy pod naszym oknem wyrósł fiołek. [...] Był on dla nas synonimem życia na swobodzie, na wolności, oddechem całej przyrody”¹⁵.

Zachowały się wspomnienia o prowadzonych w celi dyskusjach na temat organizowania w przyszłości polskiego życia państwowego, w których uczestniczyli m.in. Adolf Bniński i Franciszek Witaszek. Dla wielu więźniów pobyt w obozie stanowił też swoiste rekolekcje, spędzone na żarliwej modlitwie.

Niezwykłe poruszającym dokumentem jest przemycony z Fortu, napisany na skrawku koszuli, gryps-rozkaz z 26 października 1943 r., w którym członek Szarych Szeregów Stefan Pospieszynski „Topór” pisał do chłopców ze swojego zastępu:

„Wasze istnienie i praca zastępu pozostała tajemnicą. [...] Zastępcą moim mianuję »Adamka«. Członkowie zastępu winni pogłębiać [wiedzę] z zakresu terenki [terenoznawstwa], sygna[izowania], samaryt[anki] oraz P.W. [przysposobienia wojskowego]. [...] Dh »Brzozie« polecam dalsze staranie o sprzęt bojowy zastępu. Dh. »Dąbrowa« zajmie się apteczką. [...] Pogłębiać należy wiadomości szkolne, zwłaszcza historię i języki. [...] Z funduszków zastępu zamówić na listopad mszę za poległych harcerzy. 11 listopada odbyć uroczysty apel”¹⁶.

Stefan Pospieszynski zginął trzy miesiące później w KL Mauthausen.

Znany jest jedyny wypadek udanej ucieczki z Fortu, 17 lipca 1942 r. Jej bohaterem był członek Związku Odwetu, Marian Schlegel, zatrudniony na świeżym powietrzu przy wyprawianiu skórek królików. Sporządził sobie ukradkiem ze znalezionych kawałków drutu kolczastego i haka linę, po której, wykorzystując nieobecność strażników w czasie pory obiadowej, wydostał się poza teren Fortu. Udało mu się przetrwać wojnę.

Likwidacja więzienia-obozu

Więźniowie Fortu VII kierowani byli decyzją gestapo do więzień i obozów koncentracyjnych, najczęściej do Dachau, Buchenwaldu, Mauthausen-Gusen, Sachsenhausen, Gross-Rosen, Auschwitz, Stutthof, a kobiety do Ravensbrück. Mimo częstych transportów, więzienie w Forcie było stale przepełnione. Dlatego już jesienią 1941 r. władze policyjne snuły plany jego rozbudowy. Ostatecznie jednak, pod wpływem żądań Wehrmachtu zamierzającego zagospodarować pomieszczenia forteczne na potrzeby frontu wschodniego, w połowie 1942 r. postanowiono umieścić więzienie-obóz w innym miejscu. Wybrano podpoznańskie Żabi-

¹⁵ W. Serwańska, *op.cit.*, Dok. III-63.

¹⁶ E. Serwański, *Wielkopolska w cieniu swastyki*, Warszawa 1970, s. 370.

kowo. Przenoszenie więźniów zakończono dopiero wiosną 1944 r. Wtedy też, po usunięciu śladów katowni, w pomieszczeniach Fortu VII uruchomiono pracującą dla wojska fabrykę „Telefunken”.

Największa liczba więźniów znajdowała się w Forcie w pierwszym roku jego istnienia (jednorazowo 700–1200 osób). Od 1941 r. liczba uwięzionych spadła do ok. 400–500 osób, z wyjątkiem okresów nasilonych aresztowań. Ze względu na zniszczenie dokumentów obozowych, nie sposób oszacować, ilu więźniów przewinęło się przez Fort VII, ani nawet w dużym przybliżeniu podać liczbę ofiar, jakie pochłonęły forteczne kazamaty bądź masowe egzekucje w okolicznych lasach. Przyjmuje się, że sięga ona kilkunastu tysięcy.

Hymn forciarek¹⁷

Zamiast zakończenia chciałabym przytoczyć ułożoną w Forcie VII piosenkę, która towarzyszyła więźniom w różnych miejscach kaźni i cierpień, gdzie rzucił ich wyrok wydany „w imieniu narodu niemieckiego” bądź decyzja poznańskiej placówki gestapo. Piosenka-świadectwo niezłomności i nadziei, która podobno umiera ostatnia.

Wszystko będzie dobrze	Wszystko będzie dobrze
Jasne przyjdą dni	Wolności błysnie dzień
Słońce nam zaświeci	Więzienne znikną mury
Otworzą Fortu drzwi	Fortowy zniknie cień
O szczęściu i swobodzie	I radość znów zagości
Gromadka więźniów śni	Wśród śmiechu jasnych śnieg
Wszystko będzie dobrze	Wszystko będzie dobrze
Jasne przyjdą dni	Wolności błysnie dzień.

Bibliografia

- Gomolec L., Kubiak S., *Terror hitlerowski w Wielkopolsce*, Poznań 1962.
- Kaczmarek M., *Eutanazja w tzw. „Kraju Warty”*, „Kronika Wielkopolski” 1985, nr 1, s. 74–76.
- Łuczak A. i Pietrowicz A. (red.), *Ze strachem pod rękę i śmiercią u boku. Wielkopolanki w konspiracji 1939–1945*, Poznań 2006.
- Olszewski M., *Fort VII w Poznaniu*, Poznań 1971.
- Serwański E., *Wielkopolska w cieniu swastyki*, Warszawa 1970.
- Świtoński M., *Zbrodnie gestapo w Wielkopolsce w latach 1939–1945*, „Kronika Wielkopolski” 1985, nr 1, s. 52–58, 65.
- Woźniak M., *Więźniowie więzienia policyjnego poznańskiego gestapo w latach 1943–1945*, „Kronika Wielkopolski” 1985, nr 1, s. 145–171.

¹⁷ Autorstwo przypisuje się Wandzie Serwańskiej lub Walerii Leśnej-Bembnistej. „Nie brakło również chwil wesołych, kiedy starałyśmy się oderwać od rzeczywistości, rozweselić i podtrzymać na duchu, opowiadając ciekawe przeżycia, wspomnienia i różne przepowiednie wyrokujące rychły i sprawiedliwy koniec wojny. Nuciłyśmy różne pieśni kościelne i patriotyczne i codziennie obowiązkowo nasz hymn fortowy [...]” – G. Leńska, *W siatce „S-7”*, [w:] Z. Szymankiewicz (red.), *W konspiracji wielkopolskiej 1939–1945*, Poznań 1993, s. 194.

WIĘZIENIE POLICJI BEZPIECZEŃSTWA I OBÓZ PRACY W ŻABIKOWIE

Więzienie policji bezpieczeństwa i wychowawczy obóz pracy w Żabikowie (Polizeigefängnis der Sicherheitspolizei und Arbeitserziehungslager in Posen-Lenzingen) zostały założone na początku 1943 r. po przyjęciu przez wojsko niemieckie obozu w Forcie VII. Pierwotnie Niemcy zamierzali założyć nowy obóz na Starołęce w Poznaniu, ale zrezygnowali z tego pomysłu, ponieważ przewidywali, że na jego budowę będą musieli wydać 1,4 mln marek. Postanowili więc, że obóz powstanie w Żabikowie, w zabudowaniach cegielni, należącej niegdyś do polskiej rodziny Suwalskich. Do pracy przy budowie obozu zmusili więźniów z Fortu VII.

Miejsce odosobnienia zostało otoczone podwójnym ogrodzeniem z drutu kolczastego pod wysokim napięciem oraz wieżami strażniczymi. Od ulicy obóz odgrodzono wysokim murem. Mieściło się w nim osiem baraków. Powstały dwa oddziały: męski i żeński. Rozdzielono też więźniów politycznych i kryminalnych.

Pierwszych więźniów skierowano do Żabikowa w lutym 1943 r. Dla wielu z nich obóz pod Poznaniem był początkowym etapem tragicznej wędrówki po niemieckich obozach koncentracyjnych. Z Żabikowa wyszło do Auschwitz-Birkenau, Gross-Rosen, Mauthausen, Sachsenhausen i Ravensbrück osiem większych i dwadzieścia mniejszych transportów więźniów.

W obozie żabikowskim przetrzymywano przede wszystkim więźniów politycznych (głównie Polaków), którzy zostali osadzeni na podstawie wyroku Policijnego Sądu Doraznego bądź wobec których toczyły się śledztwa w poznańskim gestapo. Przetrzymywano również więźniów niemieckich, zarówno cywili, jak i dezertersów z Wehrmachtu.

Osobną kategorię stanowili internowani, którzy zostali osadzeni w więzieniu policyjnym na podstawie nakazów kierowników różnych jednostek organizacyjnych gestapo, wydawanych w trybie administracyjnym. Do tej grupy zaliczano również byłych więźniów, których Niemcy nie wypuszczali na wolność po odbyciu kary, ale zatrzymywali do czasu wywiezienia do obozu koncentracyjnego.

Osobną kategorię więźniów stanowili jeńcy sowieccy oraz uciekinierzy z robót przymusowych różnych narodowości, a jeszcze inną – tzw. niedzielniacy (*Sonntagsjäger*), czyli ludzie, których przetrzymywano w obozie od soboty wieczorem do poniedziałku rano za drobne wykroczenia w swoich miejscach pracy. Podczas krótkiego pobytu poddawani byli szczególnie udrękom. „Co sobotę po południu przywożono z Domu Żołnierza w Poznaniu około trzydziestu Polaków zwanych *Sonntagsjäger* – wspomina Joanna Skrzypińska. – Najpierw kazano im klękać na placu, a Walter osobiście wycinał im część włosów. Potem kazano im biegać wokół obozu i co chwilę padać i powstawać, przy czym szczuto ich psami i bito bykownicami. Wśród nich były także kobiety. Niemcy dręczyli ich tak długo, dopóki nie

upadli zemdleni. Następnie dowlekali ich do pomp i polewali wodą aż do ocucenia. Kazano im potem nosić ciężkie skrzynie z piaskiem, bijąc i szczując psami bez przerwy. Trwało to do wieczora. Na noc zaprowadzano ich do stodoły, gdzie musieli obierać ziemniaki do rana. Przez niedzielę zmuszano ich do opróżniania dołów kloacalnych. Najlepiej ubraną kobietę lub mężczyznę wsadzano po szyję do dołu i kazano go opróżnić za pomocą wiader. Ustawieni obok Polacy musieli przez cały dzień biegiem wynosić wiadra w pole poza obóz. [...] na noc z niedzieli na poniedziałek wprowadzano ich do cementowej celi obok łaźni i kazano stać do rana. W końcu każdy z nich otrzymywał kilka razy bykowcem i nieumyty wracał do domu. Wszyscy musieli się jeszcze tego samego rana stawić do pracy. Walter to sprawdzał¹.

Liczbę więźniów, którzy przeszli przez obóz, szacuje się na ponad 21 tys. Z jedyne go ocalałego dziennego raportu wynika, że 11 listopada 1944 r. w obozie przebywało 1063 więźniów.

Więźniów wykorzystywano jako darmową siłę roboczą w obozowych warsztatach, w zakładach Deutsche Waffen und Munitionsfabrike AG (obecnie Zakłady H. Cegielskiego), w hucie szkła w Antoninku i w pracach porządkowych w siedzibie gestapo w tzw. Domu Żołnierza w Poznaniu lub przy robotach ziemnych na lotnisku Ławica.

Wyżywienie więźnia składało się z 2 l kawy (zwanej żołędziową), 1 l zupy i 250 g chleba dziennie.

„Rano stawiałyśmy się na apel, potem odbywało się gromadne mycie w wielkim pośpiechu – wspomina Halina Piechelówna. – Czterdziestu osobom pozostawiono tylko trzy minuty na umycie się w zaledwie kilku umywalniach [...]. Po myciu dawano nam śniadanie złożone z czarnej gorzkiej kawy i kawałka suchego chleba. Na obiad była codziennie brukiew z olejem. Zupa miała posmak sody. Początkowo nie można było jej jeść, z czasem jednak, w miarę zwiększającego się wycieńczenia, jadłyśmy ją nawet z apetytem. [...] W święta, tzn. na Wielkanoc i w Zielone Święta, dawano nam kapuśniak z ziemniakami, w którym było nawet trochę mięsa. Kolacje składały się – podobnie jak śniadania – z kubka czarnej kawy i kawałka chleba. Raz w tygodniu otrzymywałyśmy łyżkę marmolady względnie sera”².

Pierwszym komendantem obozu był SS-Obersturmführer i inspektor policji Reinhold Hans Walter (od 28 czerwca 1943 r. do 4 października 1944 r.), kolejnym SS-Obersturmführer i inspektor policji Hugo Alfred Dietze (od października 1944 r. do likwidacji obozu w styczniu 1945 r.). W skład straży obozowej wchodziło od osiemdziesięciu do stu esesmanów.

Władza komendanta i jego kompetencje były nieograniczone. Rozstrzeliwał, wieszał, topił i kamienował więźniów. „Walter codziennie kogoś zabijał. Widziałam kiedyś z okna, jak pewien więzień, klęcząc, tłukł kamienie na chodniku. W pewnej chwili, gdy ktoś za nim stanął, więzień odwrócił się. Wówczas dopadł do niego Walter i kopał tak długo, dopóki nie powychodziły z niego wnętrzności”³ – wspomina Skrzypińska, podkreślając, że pochwałał on również nieludzkie zachowania swoich podkomendnych. Na przykład zapamiętała taką scenę: „Pewnego mężczyznę, dopiero co przyprowadzonego do obozu, SS-mani obrzucali kamieniami pod moim oknem. Człowiek ten leżał przez cały czas, a SS-mani zabawiali się, konkurując między sobą, który celniej trafi w jego głowę. [...] Innym razem wpędzono pięciu pobitych uprzednio mężczyzn do basenu znajdującego się na placu obozowym. Dwóch

¹ Relacja Joanny Skrzypińskiej, [w:] B. Bojarska, *Obóz w Żabikowie pod Poznaniem*. „Przegląd Zachodni” 1965, nr 2, s. 303–304.

² Relacja Haliny Piechelówny, [w:] B. Bojarska, *op.cit.*, s. 306.

³ Relacja Joanny Skrzypińskiej, [w:] B. Bojarska, *op.cit.*, s. 302.

z nich utonęło w obecności SS-manów, trzech, którzy zdołali utrzymać się na powierzchni, odprowadzono do piwnicy i rozstrzelano”⁴.

A Dionizy Cieślewicz wspomina: „W pewną niedzielę rano jeden ze specjalnie tresowanych psów wywęszył ukrytego w stodole Sonntagsjägers i rozszarpał go. [...] Psy były tak ostre, że wszyscy SS-mani, prócz tresera, uciekali przed nimi z bronią w rękę, gdy zrywały się z łańcucha”⁵.

W oczach swoich przełożonych Walter był niezawodnym człowiekiem od „specjalnych zadań”. Znany jest przypadek Stanisława Wyrembalskiego, żołnierza NOW-AK z Jarocina, który został uniewinniony przez Policyjny Sąd Doraźnego, a tym samym podlegał zwolnieniu z obozu. Walter, pod zarzutem próby przekazania grypsu, polecił wrzucić Wyrembalskiego do basenu przeciwlotniczego ze związanymi nogami. Zwłoki ofiary pozwolono wydobyć z basenu dnia następnego. Wiadomo również, że nakazał sekcję zwłok 45-letniej kobiety, którą zastrzelili sześcioma strzałami, by stwierdzić, dlaczego konała tak długo, skoro strzelał celnie.

Kres działalności Waltera położyło dochodzenie sędziego Gerharda Wiebecka w związku z nadużyciami ujawnionymi w obozie, m.in. samowolnym zabijaniem więźniów bez wyroków sądowych. Wiebeck tak go scharakteryzował: „Jego umysł nie zdradzał nic patologicznego, czasem tylko uśmiechał się, mówiąc o poważniejszych sytuacjach”⁶. Walter został aresztowany 4 października 1944 r.; powiesił się kilka dni później.

Jego następcą rozkazał zamordować ok. 160 więźniów chorych lub niezdolnych do ewakuacji w czasie likwidacji obozu w styczniu 1945 r. Około 80 chorych spalono w jednym z drewnianych baraków. Pozostałych wyprowadzono do KL Sachsenhausen. Dnia 21 stycznia 1945 r. Niemcy rozstrzelali na cmentarzu żabikowskim 33 więźniów przybyłych już po ewakuacji obozu z powiatu makowskiego.

Obóz w Żabikowie był miejscem kaźni członków podziemia antyhitlerowskiego z Kraju Warty, z których wielu było wcześniej torturowanych przez poznańskie gestapo. Wśród tych, którzy zginęli w okresie od czerwca 1944 r. do stycznia 1945 r., byli: kpt. Edward Bączkowski „Tata”, płk Edmund Effert, por. Edmund Trojanowicz „Janusz”, organizator konspiracji w Chodzieży Bronisław Maron, por. Franciszek Hybza „Marian”, por. Stefan Kurzawski, płk Henryk Kowalówka „Zrąb”, kpt. Zbigniew Krzekotowski „Michał”, mjr Jan Kamiński „Rokita”, kpt. Sylwester Pniewski „Bürger”, por. Henryk Kopczyński „Surma” i kilkunastu żołnierzy AK z Inowrocławia, ppor. Mieczysław Kamiński (organizator nieudanego zamachu na komendanta Waltera), ppor. Edmund Baumgard „Tic”, ppor. Brunon Hybiak „Smok”, ppor. Bronisław Bogacz „Biały”, por. Antoni Filipowicz, ppor. Maksymilian Lewandowski. Pełna liczba zamordowanych w Żabikowie nie jest znana.

Komisja Obywatelska przeprowadziła oględziny obozu już 24 marca 1945 r. Starano się odtworzyć wygląd obozu na podstawie zeznań świadków oraz zgliczcz pozostałych po jego spaleniu. Na placu obozowym znaleziono dwa karcery w postaci niskich bunkrów żelaznych, w których Niemcy zamykali po pięć osób i przetrzymywali w pozycji skulonej nieraz

⁴ *Ibidem*.

⁵ Relacja Dionizego Cieślewicza, [w:] B. Bojarska, *op.cit.*, s. 305

⁶ AIPN, Polska Misja Wojskowa, sygn. Bd 64. Opracowania dotyczące działalności niemieckiego aparatu sprawiedliwości na terenach przyłączonych do Rzeszy oraz charakterystyki funkcjonariuszy, sporządzone przez Gerharda Wiebecka, Poznań 1946–1947. Por. K. Płonka, *Martyrologium obozu hitlerowskiego w Żabikowie 1943–1945*, Żabikowo 2004, s. 6.



przez trzy dni. Natrafiono na barak o cementowej posadzce, w którym więziono mężczyzn związanych za szyję pod siatką drucianą o wysokim napięciu elektrycznym. Komisja odnalazła w stodole ślady po kulach pozostawionych po odbywających się tam egzekucjach. W doszczętnie spalonym baraku odkryto zwęglone zwłoki. Dnia 8 kwietnia 1945 r. odbył się na cmentarzu przy pl. Zamkowym w Poznaniu uroczysty pogrzeb ofiar spalonych żywcem w czasie likwidacji obozu.

Od 1976 r. terenami i obiektami, będącymi pozostałością po obozie, oraz gromadzeniem dokumentacji zajmuje się Muzeum Martyrologiczne w Żabikowie.

Bibliografia

- Bojarska B., *Obóz w Żabikowie pod Poznaniem*, „Przegląd Zachodni” 1965, nr 2.
 Gomolec L., Kubiak S., *Terror hitlerowski w Wielkopolsce*, Poznań 1962.
Obozy hitlerowskie na ziemiach polskich 1939–1945. Informator encyklopedyczny, Warszawa 1979.
Pamiętniki ocalonych. Wspomnienia więźniów hitlerowskich miejsc kaźni w Wielkopolsce, Poznań 1983.
 Płonka K., *Martyrologium obozu hitlerowskiego w Żabikowie 1943–1945*, Żabikowo 2004.
 Wietrzykowski A., *Zbrodnie niemieckie w Żabikowie (zeznania – dokumenty)*, Poznań 1946.
 Woźniak M., *Więźniowie więzienia policyjnego poznańskiego gestapo w latach 1943–1945*, „Kronika Wielkopolski” 1985, nr 1.

DACHAU WE WSPOMNIENIACH KSIĘŻY-WIĘŹNIÓW

„Pomimo to, że nie widzimy tutaj żadnych grobów, znajdujemy się na największym na świecie cmentarzu księży. Największą ofiarę ponieśli Polacy. Z 1780 polskich księży, 868 zginęło. Rzeczywistość była gorsza, niż nasze wyobrażenie o tym, co się tutaj wtedy wydarzyło”.

*kard. Friedrich Wetter, arcybiskup monachijski
podczas Mszy św. w Dachau, 30 kwietnia 1995 r.*

Pierwszy obóz koncentracyjny

W prymitywnych kamiennych barakach dawnej fabryki prochu, w pobliżu miasteczka Dachau w Bawarii, piętnaście kilometrów na północny zachód od Monachium, 22 marca 1933 r. z rozkazu Heinricha Himmlera założono pierwszy obóz koncentracyjny w Niemczech. Podstawą jego istnienia – jak i późniejszych obozów koncentracyjnych – było rozporządzenie „o ochronie narodu i państwa” z 28 lutego 1933 r. Powstał na specjalnie w tym celu wybranym bagnistym terenie o niezdrowym, wilgotnym klimacie. Szczególnie dokuczliwe było to jesienią i zimą, gdy więźniowie godzinami musieli stać na placu apelowym.

Od początku obóz w Dachau był budowany z podziałem na część administracyjno-mieszkalną dla SS oraz część dla więźniów otoczoną drutami i wieżyczkami. Po lewej stronie od bramy znajdowały się budynki gospodarcze i administracyjne, po prawej – baraki przeznaczone dla więźniów, ogród, króliczarnia i w późniejszym okresie budynek przeznaczony na dom publiczny; pomiędzy nimi był plac apelowy.

W budynku administracyjnym władz SS na piętrze mieściły się biura komendanta obozu, jego zastępców i oficera do spraw śledczych, a na parterze – biura szefów raportu oraz wartownia.

Do budynków gospodarczych należały obszerne magazyny przeznaczone na przechowywanie prywatnych rzeczy więźniów, duża łaźnia natryskowa mogąca pomieścić jednocześnie ok. 150 osób, dalej kuchnia, pralnia i magazyny odzieżowe. Za budynkami gospodarczymi znajdował się na niedużym placu obiekt służący za areszt, tzw. bunkier, miejsce krwawych przesłuchań i stosowania dotkliwych kar. Do tego budynku prowadziła droga, która znana była z tego, że ustawiano tam więźniów przez wiele godzin na słońcu, mrozie lub śniegu. Na placu przy bunkrze zainstalowano tzw. słupki, na których wykonywano jedną z najdotkliwszych kar i na których odbywały się egzekucje poprzez powieszenie lub rozstrzelanie.

Na placu apelowym przeprowadzano selekcję nagich więźniów do transportów inwalidzkich oraz ranne i wieczorne, czasami wielogodzinne, apele. Wykonywano na nich również karę chłosty.

Z placu apelowego wchodziło się w piękną, obsadzoną drzewami aleję, przy której znajdowały się baraki więźniów. Księża polscy zajmowali baraki nr 28 i 30, położone najbliżej krematorium. Blok 26 przeznaczono dla księży innych narodowości. Mieli oni swoją kaplicę oraz zgodę na odprawianie Mszy św. i praktyki religijne.

Obóz w Dachau Niemcy traktowali jako wzorcowy. To właśnie tutaj kształcono kadry do powstających na terenie Niemiec i krajów Europy obozów koncentracyjnych. W początkowym okresie działania KL Dachau był miejscem odosobnienia dla przeciwników Trzeciej Rzeszy, niemieckich Żydów i komunistów. Od 1940 r. obóz zaludnili więźniowie ze wszystkich podbitych krajów. KL Dachau stał się też centralnym ośrodkiem eksterminacji duchowieństwa z całej okupowanej Europy. W obozie tym uwięziono w sumie 2720 księży katolickich; wśród nich najwięcej Polaków – 1780, z czego zmarło 868, uwolniono 29 kwietnia 1945 r. – 830, zwolniono w czasie istnienia obozu 78, przeniesiono do innych obozów 4¹.

Zniszczenie polskich organizacji kościelnych i polskiego życia religijnego było dla Niemców jednym z warunków realizacji programu wyniszczenia narodu polskiego. Większość aresztowanych i uwięzionych księży pochodziła z terenów wcielonych po wrześniu 1939 r. do Rzeszy: Wielkopolski-Ziem Zachodnich – Reichsgau Wartheland (województwo poznańskie oraz część województwa łódzkiego); Pomorza – Reichsgau Danzig West-Preussen (Gdańsk, część Prus Wschodnich oraz województwo pomorskie); Śląska – Prowinz Shlezien (część województwa krakowskiego i kieleckiego – tzw. rejencja katowicka).

Pierwsze duże transporty księży polskich do Dachau odbyły się w kwietniu i maju 1940 r. Trwały do końca roku. W grudniu 1940 r. zwieziono do Dachau księży z innych obozów koncentracyjnych, takich jak: Sachsenhausen, Mauthausen-Gusen. Pierwszym polskim duchownym przywiezionym do Dachau był ks. Stanisław Werenik².

Wszystko to, co działo się w obozie, było podporządkowane zasadzie: człowiek jest numerem bez wartości. Tu odebrano mu wszystko – nazwisko, ubranie, przedmioty osobiste i prawo do ludzkiego traktowania. Kapłanom polskim nie wolno było odprawiać Mszy św., odmawiać brewiarza, modlić się i mieć przy sobie jakiegokolwiek przedmiotu kultu religijnego. Zakazano im nawet niesienia pomocy duchowej umierającym więźniom. Mimo tych zakazów kapłani zorganizowali ukryte życie religijne. Za pośrednictwem komand wyjazdowych, pracujących w Monachium, postarali się o komunikanty... i w więziennych pasiakach potajemnie odprawiali Msze św.

Biskup Kazimierz Majdański, numer obozowy 22829, więzień, który przeżył Dachau, 29 kwietnia 1991 r., w 46. rocznicę wyzwolenia obozu, zwrócił się do zebranych księży z gorącym apelem, ażeby spisywali wspomnienia obozowe o sobie i o kolegach, ponieważ – jak zaznaczył – „przez długie lata prawda o martyrologii duchowieństwa Polskiego w czasie II wojny światowej była umyślnie przemilczana na podobieństwo prawdy o ofiarach Katynia”³.

W PRL ukazało się wiele publikacji o niemieckich obozach koncentracyjnych, ale świadomie przemilczano w nich prawdę o skali tragedii, jaka dotknęła Kościół katolicki oraz polskie duchowieństwo w czasie II wojny światowej.

Potrzeba przypomnienia przeżyć księży polskich, ofiar obozu w KL Dachau, jest tym bardziej uzasadniona, gdyż dopiero w 2000 r. w Dachau udostępniono zwiedzającym

¹ J. Domagała, *Ci, którzy przeszli przez Dachau*, Warszawa 1957; T. Musioł, *Dachau 1933–1945*, Katowice 1960. Występują pewne niewielkie rozbieżności w źródłowym przekazie nt. danych statystycznych. Przez Dachau przeszło w sumie ok. 250 tys. więźniów, w dniu wyzwolenia było ich ok. 33 tys., w tym ok. 15 tys. stanowili Polacy. Liczba więźniów i ofiar nie jest dokładnie znana, gdyż w spisach obozowych nie uwzględniano osób skierowanych do obozu przez gestapo celem wykonania egzekucji.

² Przeżył obóz i po wyzwoleniu obozu, 3 maja 1945 r., odprawił tam uroczystą Mszę św.

³ Bp K. Majdański, *Wspomnienia*, „Biuletyn Informacyjny dla Księży b. Więźniów Obozu Koncentracyjnego”, Kalisz–Koszalin 1991, nr 18, s. 2.

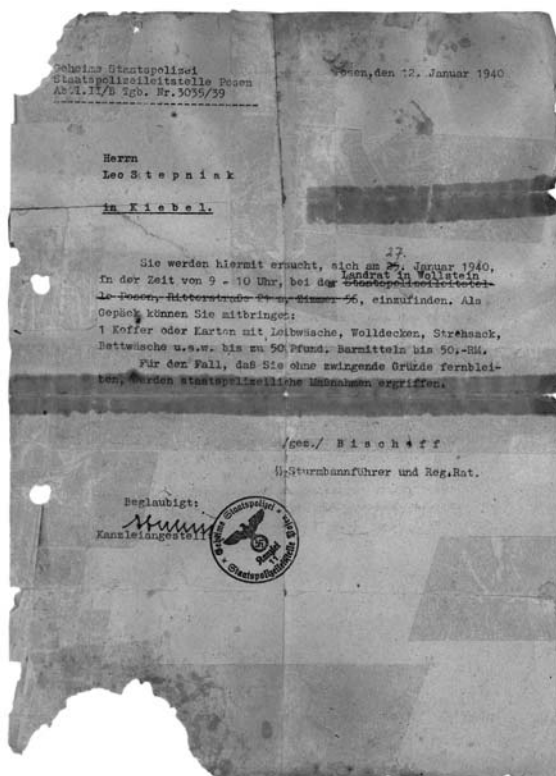
więzienie obozowe, a w 2002 i 2003 r. otwarto ostatnią część Muzeum KL Dachau, ukazującą rozwój obozu od 1933 r. do jego wyzwolenia 29 kwietnia 1945 r. Wiele najcenniejszych materiałów kompromitujących władze obozowe, jak protokoły uśmiercania więźniów czy wymierzania kar dyscyplinarnych (wieszanie na słupku, bicie na koźle, więzienie w bunkrze), zniszczono; dlatego relacje, rysunki i wiersze księży tworzone w warunkach obozowych są cennym źródłem do poznania ich codziennego życia.

Wspomnienia polskich księży katolickich stanowią świadectwo z jednej strony niewyobrażalnych cierpień, głodu, chorób, ciężkiej pracy, wymyślnych kar i tortur, badań pseudomedycznych, a z drugiej – heroizmu więźniów, ich wiary w Boga i człowieka. Przeżyli, by wykonać testament tych, którzy zginęli, a którzy mówili: „Gdy spełni się cud, że wyjdziecie stąd żywi, piszcie i mówcie o tym, co oni z nami robili?”

Ci księży, którzy przeżyli, wybaczyli, ale nie zapomnieli. Założyli Komitet Księży Byłych Więźniów Obozów Koncentracyjnych i każdego roku, w rocznicę wyzwolenia, modlą się za ofiary i za prześladowców. Z każdym rokiem jest coraz mniej świadków, odchodzą od nas. Żyją już tylko nieliczni.

Jednym z ostatnich żyjących księży-więźniów, który przeżył obóz koncentracyjny Dachau, jest dziewięćdziesięciosiedmioletni ks. kanonik Leon Stępiak, numer obozowy w Dachau 11424 (potem, po powrocie z Gusen, nr 22036). Jeszcze na początku lipca 1939 r. pisał do swoich rodziców: „Bardzo szczęśliwie przybyłem na moją pierwszą placówkę pracy duszpasterskiej [wieś Kębłowo, pow. Wolsztyn]. Wioska liczy 1500 mieszkańców, ma drogi brukowane, a nawet własny rynek [...]. Znajduje się trzy kilometry od granicy. Z mojego okna widzę brzeg lasu, który jest granicą polsko-niemiecką. Mimo ogólnego niepokoju ludność tutaj jest bardzo spokojna i nie obawia się wojny, bo wie, że główne natarcie w razie wojny byłoby na Śląsk i Pomorze”⁴.

Niedługo cieszył się pracą duszpasterską. Już 27 stycznia 1940 r. został aresztowany przez gestapo i przewieziony do klasztoru w Lubiniu. Jako jedyny ksiądz katolicki zachował dokument aresztowania z 27 stycznia 1939 r. Potem poprzez Fort VII w Poznaniu został wywiezionym do KL Dachau.

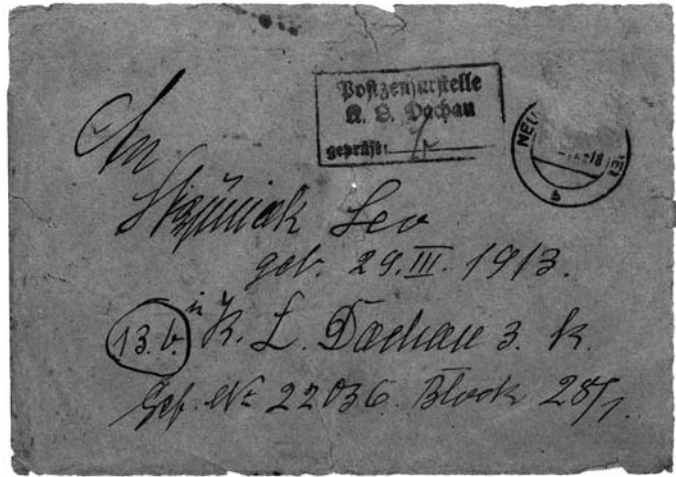


Z arch. ks. L. Stępiaka

Nakaz aresztowania ks. L. Stępiaka

⁴ List ks. Leona Stępiaka do rodziców, Kębłowo, 05 VII 1939 r. (ze zbiorów autorki).

„Z Fortu VII [w Poznaniu] księży załadowano do bydłych wagonów [...]. No i dojechaliśmy do Monachium w nocy. I wtedy starci księży od razu wiedzieli, że jedziemy do Dachau [...]. Na dworzec kolejowy w Dachau pociąg dotarł rankiem [po 38 godzinach podróży] 24 maja 1940 r. Wszystkim kazano ustawić się piątkami, po czym asfaltową drogą biegnącą wzdłuż osiedla esesmańskiego, z bagażami w ręku, jak zbrodniarzy, pędzono nas pod eskortą



List otrzymany w Dachau, z archiwum ks. L. Stępniańskiego

uzbrojonych w karabiny SS-manów do odległego o około trzy kilometry obozu. Na plac obozowy dotarliśmy przez bramę z napisem *Arbeit macht frei* [Praca daje wolność]. Dzień majowy, słońce szalenie świeciło i grzało, a my musieliśmy stać godzinami na placu z odkrytą głową. Nic nie dali do picia, nic do jedzenia, więc gnębiło nas pragnienie i głód. Jasna barwa bloków mieszkalnych w połączeniu z zielonymi trawnikami, biegnącymi wzdłuż szerokiej ulicy obozowej i drózek budowanych z wapnia, już nie robiła na nas miłego wrażenia.

Po sprawdzeniu imiennym obecności zabierano przybyłych więźniów do dużej izby i tam spisano ponownie personalia. Każdy otrzymał swój numer obozowy, ja otrzymałem numer 11424. Od tej chwili byłem więźniem (*Haftling*) nr 11424. W drugiej izbie musieliśmy się rozebrać do naga i oddać wszystko, także rzeczy osobiste oraz przedmioty kultu religijnego; medaliki, różańce, brewiarze, książeczki do nabożeństwa. Bardzo przeżyłem ten moment. Pozostawiono tylko szelki i chusteczki do nosa. Wiele dewocjonaliów udało nam się jednak zatrzymać. Na przykład ks. Marian Szerkowski, po wojnie proboszcz parafii Wszystkich Świętych w Kórniku k. Poznania, zaszył swój medalik Matki Boskiej w rogu chusteczki do nosa, i w ten sposób przechował medalik do końca pobytu w Dachau. Gdy pracowałem w ogrodach na plantacji, pewien SS-man prowadził mnie do lasu po świerkowe gałązki. Kiedy dowiedział się, że jestem księdzem, wyjął z kieszeni różaniec, wręczył mi go, mówiąc, że ma go od matki i gdy będzie na urlopie, to dostanie nowy. Na spodniach w takim miejscu, gdzie najmniej rewidowano, przyszyłem łatkę z tego materiału, co ubranie więzienne i w taką kieszonkę wkładałem różaniec. Porozrywał się, pozostał krzyżyk i kilka paciorków, które przechowuję do dzisiaj. Ten SS-man był synem Niemca z Belgii z rodziny katolickiej. Powołano go do wojska, ubrano w mundur SS-mański. Taki to SS-man na drugi dzień przyniósł mi dwa kawałki chleba posmarowane margaryną i obłożone kiełbasą. Już więcej go nie widziałem. [...]

Później nastąpiło golenie głów, kaleczono nas przy tym dotkliwie. Po kąpieli otrzymaliśmy więzienne, pasiaste łachmany, często za krótkie i za ciasne. Otrzymany czerwony trójkąt [dla więźniów politycznych, do których zaliczano Polaków] z wypisaną literą P oraz numer obozowy należało przyszyć do bluzy pasiaka w wyznaczonym miejscu. Garderobę, w której przyjechaliśmy, należało zapakować do papierowego worka i z wypisanym numerem obozowym zanieść do magazynu. W czasie jednego z nalotów alianckich wszystkie te

worki z odzieżą spaliły się. Na nogi dano płócienne pantofle na drewnianej podeszwie. Zimą przyklejał się do nich śnieg, tworząc wysokie koturny. Rozpoczęła się sześciotygodniowa kwarantanna. Znalazłem się w grupie księży skierowanych do bloku nr 5, czyli »Zugansblocku«. Baraki mieszkalne o stumetrowej długości i dziesięciometrowej szerokości dzieliły się na cztery lokale (*Stube*). Każdy z lokali posiadał pokój mieszkalny oraz sypialnię. Umywalnia i ustęp przedzielały jeden lokal od drugiego. Każda izba przeznaczona była na 45 osób. [Po 1941 r. w całym baraku przebywało od 400–1600 więźniów. To właśnie m.in. z powodu przepełnienia, a w związku z tym braku możliwości przestrzegania higieny osobistej w 1943 r. wybuchła epidemia tyfusu brzuszego i plamistego oraz rozprzestrzenia się gruźlicą]. Tutaj blokowy i izbowy poinformował nas o obowiązującym regulaminie życia obozowego i zwyczajach panujących w obozie. Ważną sprawą była orientacja w szarżach SS-manów, którym trzeba było składać meldunki, prawidłowo określając stopnie, gdyż za każde błędne określenie bito okrutnie lub zmuszano do wykonywania uciążliwych ćwiczeń. Po przydzieleniu łóżek, szafek i miejsc na pantofle rozpoczęła się lekcja siania łóżek »do kantu«. To jedna z szykan szczególnie uciążliwa dla starszych księży. Łóżko musiało być zbudowane jak pudełko, równo wygładzone pod kątem prostym. Po zrobieniu kantów w sienniku ze słomy i wyrównaniu powierzchni specjalnymi deseczkami należało przykryć siennik kocem odpowiednio złożonym, na nim ułożyć poduszkę. Ja dawałem sobie jakoś radę w tym sianiu łóżka. Łóżko źle posłane było rozwalane, a więzień był dotkliwie bity przez blokowego lub izbowego. Często w czasie przerwy obiadowej zamiast tego i tak nędznego posiłku musiał ponownie ścielić łóżko. Paradoks, okazało się, iż w czasie pobytu w kamieniołomach w Gusen, w jednej z 132 filii Dachau, do którego wywieziono mnie z grupą 150 księży, gdy spałem na leżącym na ziemi zarobaczonym, wilgotnym sienniku, tęskniłem za tym łóżkiem w Dachau”⁵.

Od stycznia 1941 r. księża polscy – po wstawiennictwie Watykanu – korzystali ze wspólnej kaplicy otwartej w bloku 26. Mieli możliwość uczestniczenia we Mszy św. i innych nabożeństwach. Wkrótce jednak utracili te przywileje. „Było to dnia 18 września 1941 r., władze obozowe zaproponowały kapłanom polskim w zamian za przywileje obozowe zapisanie się na listę narodowości niemieckiej – wspomina bp Franciszek Korszyński. – Mimo pokusy korzystania z przywilejów niewoli nikt z nas nie zdradził swojego narodu, lecz przeciwnie daliśmy mu nowy wielki dowód swej wierności, swego przywiązania i miłości. Wieść o tym lotem błyskawicy rozeszła się po całym obozie. Wszystkim więźniom zaimponowała nasza postawa, nawet najbardziej nieżyczliwi wyrażali swoje uznanie, o czym mówili nam świeccy koledzy, więźniowie-Polacy. Znając mściwość hitlerowców, spodziewaliśmy się przykrych następstw”⁶.

Nie czekano długo, kilka dni później wszystkich zapędzono do przymusowej pracy. Księży zaczęto dręczyć z niebywałą zawziętością. W czasie mroźnej zimy 1941–1942 z powodu głodu, zimna, chorób, wymierzania kar, bicia oraz wycieńczenia ciężką pracą śmiertelność była zatrważająca. Przed krematorium obozowym codziennie leżało kilkaset trupów czekających na spalenie.

⁵ Niepublikowane wspomnienia ks. Leona Stępniaaka (ze zbiorów autorki). Ks. Stępniaak, ur. 29 marca 1913 r., przebywał w Dachau od 24 maja 1940 r. do 29 kwietnia 1945 r. Mieszka w Kościanie.

⁶ Bp Franciszek Korszyński – przed wojną wykładowca i ojciec duchowny seminarium duchownego we Włocławku; więzień KL Dachau nr 22546; w 1946 r. został biskupem pomocniczym włocławskim. Zmarł w 1962 r. Cytaty jego wspomnień obozowych pochodzą z książki: Ks. bp Franciszek Korszyński, *Jasne promienie w Dachau*, Poznań 1957, s. 44.

Praca

Ciężka praca przy głodowych racjach żywniowych szybko niszczyła siły więźniów i zamieniała ich w ludzkie szkielety. Każdego dnia, po apelu, gdy padał rozkaz: *Arbeitskommando formiert*, wszystkie komanda ruszały do pracy biegiem. W latach 1940–1941 praca



była jednym ze sposobów zabijania. Głodni, chorzy, każdego dnia niezależnie od pogody, wśród krzyków, bicia i kopania, księża polscy byli zmuszani do pracy ponad ludzkie siły. Trwała ona od godz. 6 do 12, a następnie, po krótkiej przerwie obiadowej (obiad należało spożywać na stojąco, nieposłusznym dotkliwie bito), od 13 do 19. Księży polskich wyznaczano do najcięższych robót.

W 1941 r., 2 sierpnia, wysłano do jednej z filii Dachau, do kamieniołomów w Gusen, 150 polskich duchownych. Obóz ten nazywano „ostatecznym rozwiązaniem”, a jedynym wyjściem miał być komin krematorium. Wokół kamienie i tylko kamienie. Z tymi kamieniami na ramieniu więźniowie bici, popychani i kopani musieli biec do budowanego niżej obozu. Wielu padało pod ciężarem kamieni, by nigdy się nie podnieść. Po kilkunastu tygodniach morderczej pracy więzień stawał się głodnym, pożerany przez wszy szkieletem. Szczęśliwi byli ci do noszenia darni, którą wykładano obozowe alejki. Z Gusen do Dachau nie powróciło pięćdziesięciu księży. Zostali oni zamordowani przez Niemców, zmarli z głodu lub wycieńczenia morderczą pracą.

Ksiądz Stępiak wspomina: „W Gusen warunki były straszne. Obóz był dopiero w trakcie budowy. Wyczerpująca praca w kamieniołomach, głód, wszechobecny bród dawał się mocno we znaki. Plagą była ogromna ilość wszy gnieźdzących się nie tylko w siennikach, ale w niezmięnionej tygodniami bieliznie i odzieży. Znalazłem nawet sposób na walkę z robactwem. Półroczny pobyt w tych nieludzkich warunkach wystarczył, by po moim powrocie do Dachau, księża – koledzy obozowi pytali, »Leoś, to Ty?«⁷. W tej samej grupie księży do kamieniołomów w Gusen wywieziony został kleryk, werbista Marian Żelazek. Praca i wzajemne wspieranie w tym okrutnym miejscu zaowocowały przyjaźnią ks. Stępiaka i alumna Żelazka, która przetrwała do 2006 r., do śmierci ojca Mariana, znanego misjonarza pracującego ponad pięćdziesiąt lat w Indiach. Po wojnie, mimo dzielącej ich odległości prowadzili ze sobą ożywioną korespondencję. Ojciec Żelazek nadsyłał też wspomnienia do

⁷ Niepublikowane wspomnienia ks. Leona Stępiaka (ze zbiorów autorki).

„Biuletynu Informacyjnego dla Księży b. Więźniów Obozu Koncentracyjnego w Dachau”. O pobycie w Dachau pisał m.in.: „Za drutami obozu rozpoczął się nasz powtórny nowicjat. Tam dojrzałem, tam zrozumiałem głębiej człowieka i życie”⁸.

W samym Dachau większość więźniów pracowała na tzw. plantagach – plantacjach, polach przylegających do obozu. Uprawiano na nich głównie rośliny lecznicze, zioła oraz warzywa. Każdego dnia, po pracy, na taczkach wieziono umierających lub zmarłych z głodu i wycieńczenia. Właśnie na plantacjach najwięcej księży straciło życie. Bronowali ziemię zaprzężeni do bron, zimą zaprzężeni do dużych wozów wywozili śnieg, nosili na plecach worki z suszonymi ziołami. Do szczęśliwców należeli ci, którzy mieli pracę pod dachem. Księży zatrudniono także przy budowie nowego baraku X, drugiego krematorium.

Ksiądz Stępniaś wspomina: „W obozie w Dachau początkowo, jak większość księży polskich, pracowałem na plantacjach. Były to obszary wielohektarowe pól i łąk. Pracowałem z ojcem Florianem Niedźwiadkiem, kamedulą z Krakowa, i potem z ks. Florianem Stępniakiem, ks. Ferdynandem Schonwalderem. Gdy słońce grzało, praca była znośna, ale gdy padał deszcz i śnieg, było fatalnie. Ojca Floriana Stępnia, kapucyna urodzonego w 1912 r., tak wyczerpała praca na plantacji, że komisja obozowa zapisała go na listę inwalidów. Po pewnym czasie w porządku alfabetycznym wywołano go do Hartheim w Austrii i zagazowano. (Dzisiaj należy do grona 108 kapłanów błogosławionych). Był taki czas, że dzieliliśmy wspólną pryczę. Praca na »plantacjach« była bardzo wyczerpująca. Ginęli przy niej bardzo prędko nawet młodzi księża. Mnie z plantacji z narażeniem życia wyciągnął i przeniósł mój kolega z czasów pierwszych klas gimnazjalnych Bolesław Rex i wciągnął do swojego komanda. Tam uprawiano warzywa i kwiaty. Należały do tego trzy ogrody w lesie, odległe od obozu około dwóch kilometrów. Codziennie do pracy prowadziło nas pod karabinami i pilnowało czterech SS-manów. Tam można było zjeść coś z odpadów, które wyrzucano na kompost. Raz pozwolono nam ugotować zupę z głąbów od kapusty i wyrzuconych marnych główek kapust. Zrobiliśmy to w znalezionym na złomowisku garnku, na ognisku, bez soli, bo głód był najlepszą przyprawą. W jesieni przywożono marchew do mycia w zimnej wodzie. Wtedy tej marchwi można było najeść się do syta. Zdarzało się, iż głodny żołądek nie wytrzymał surowych warzyw. Byłem świadkiem, jak kilku księży po zjedzeniu suro-



Fot. ALPN

Więźniowie Dachau...

⁸ W. Kocięcka, *Misjonarz, sługa ubogich i trędowatych*, „Biuletyn Informacyjny dla Księży b. Więźniów Obozu Koncentracyjnego”, Kalisz–Koszalin 1995, nr 22, s. 70.

Fot. AIPN



...i władcy

wych ogórków zmarło. Początkowo przydzielono mnie do »łopaty« – nawoziłem i kopałem ogród. Potem przydzielono mnie do pracy przy oknach inspektowych. Trzeba było nosić wodę i podlewać 16-litrowymi polewaczkami. Hodowano ogórki tzw. mamuty. Testowano też, jaki wpływ na rozwój roślin mają nawozy chemiczne⁹. Obrazowo opisał pracę książy bp Korszyński: „W naszym obozie nie było zwierząt pociągowych, musieli je więc zastąpić ludzie. Ludzi zaprzęgano do pługa przy usuwaniu śniegu z obozu, do wozów, do bron i pługa przy uprawie roli, a nawet do wału, ugniatającego szosę. Jeszcze dziś żywo mam w pamięci obozowy obrazek przedstawiający budowę szosy. Kilku czy kilkunastu więźniów z wyciągniętymi sztykami, z wygiętymi w pałąk plecami ciągnie olbrzymi ciężki wał, inni więźniowie pchają ten wał, a kapo im przygaduje. Wśród tych niewolników dwudziestego wieku widzę prawie samych księży polskich. Między nimi ksiądz kanonika Józefa Straszewskiego, proboszcza parafii św. Stanisława we Włocławku. Zniszczony to już człowiek, istny szkielet ludzki pokryty skórą; już wyczerpany z sił, ale ciągnie, jak tylko może. Później spotykam się z nim w przerwie obiadowej i pytam, jak się czuje. Z uśmiechem odpowiada mi na to, że czuje się dobrze. Ani słówka szemrania, ani słówka narzekania na swoją dolę. W świetle naszej religii praca jest czymś szlachetnym, wartościowym, wzniosłym, ale kiedy jest ponad siły człowieka lub kiedy wykonywana jest w nieodpowiednich warunkach – jest wielkim cierpieniem. Tak było w Dachau z naszą pracą fizyczną¹⁰.

Do obowiązków kapłanów należało również noszenie trzy razy dziennie posiłków dla całego obozu. Dla wychudzonych oraz starszych księży dźwiganie ciężkich kotłów było

⁹ Niepublikowane wspomnienia ks. Leona Stępnika (ze zbiorów autorki).

¹⁰ Bp F. Korszyński, *op.cit.*, s. 49.



Fot. AIPN

ogromnym wysiłkiem. Kto nie mógł udźwignąć kotła, był bity i kopany. Gdy było to możliwe, młodszy księża wyręczali starszych. Ksiądz Stępniak wspomina: „Tam były kotły po 50 i 100 litrów. Kotły miały po jednej i po drugiej stronie uchwyty. Jeżeli uchwyty były wyrobione, to dłonie dotykały gorącego kotła. Był czas, że my księża musieliśmy nosić jedzenie obiadowe dla wszystkich baraków, a było nas 33 000 więźniów. Każdy kocioł miał wypisany kolejny numer baraku. Trzeba było stanąć obok kotła i jak SS-man krzyknął, to musieliśmy kocioł podnieść i wyjść z nim. W kuchni były dwa stopnie cementowe, zdarzały się potknięcia, szczególnie starszych księży, a wtedy wylana kawa lub zupa nie trafiała do baraków, a więźniowie byli dotkliwie bici, często do nieprzytomności. Wszystkie te czynności należało wykonywać w biegu, przy krzykach i biciu. Zimą, gdy do drewnianych spodów trzewików przyklejał się śnieg, tworząc śniegowe koturny, noszenie kotłów było bardziej uciążliwe. My młodszy księża staraliśmy się pomagać starszym. Pamiętam nieludzkie pobicie przy noszeniu ciężkich kotłów biskupa Michała Kozala, już pozbawionego sił, izbowy Willy powalił na podłogę i skopał”¹¹.

Biskup Kozal, sufragan diecezji włocławskiej, aresztowany przez Niemców 7 listopada 1939 r., do Dachau został przewieziony w lipcu 1941 r. i otrzymał numer 24554. W obozie służył chorym i umierającym. Dla Niemców był jednym z więźniów, nad którym znęcano się w szczególnie wyrafinowany sposób. Chory na tyfus, został dobity śmiertelnie zastrzykiem 26 stycznia 1943 r.¹² Stryjeczny brat biskupa, oblat o. Czesław Kozal, wspominając ostatnie chwile biskupa, dodaje: „Jego przyjaciel i powiernik, ks. Franciszek Korszyński, odprawił potajemnie na bloku Mszę św. i ujawnił tajemnicę, jaką mu powierzył

¹¹ Niepublikowane wspomnienia ks. Leona Stępniaka (ze zbiorów autorki).

¹² Papież Jan Paweł II dokonał beatyfikacji biskupa Michała Kozala 14 VI 1987 r.



Fot. AIPN

jeszcze w Łądzie biskup Michał Kozal: »Złożyłem Bogu w ofierze swoje życie, ażeby przez to odwrócić klęski od Kościoła i Polski«¹³.

Głód

Głód, towarzyszący od rana do wieczora, był jedną z największych udręk, jakie więźniowie przeżywali w Dachau. Na śniadanie dawano czarną, niesłodzoną kawę i kawałek chleba, który wydzielano na całą dobę. Na obiad była zupa z kapusty lub brukwi, czasami przez kilkanaście tygodni z rzędu. Na kolację dawano zupę albo ziemniaki w łupinach lub kawałek chleba z margaryną, czasami z marmoladą. W niedzielę zdarzało się, że dawano plasterki kiełbasy. Rok 1942 był najtragiczniejszy w historii obozu, nawet te głodowe racje były zmniejszone. Śmiertelność wśród księży tego roku była zatrważająca. Wielu więźniów ważyło ok. 40 kg. Niektórzy byli tak opuchnięci z głodu, że nie mogli się poruszać. Inni przerażająco wychudzeni. Nazywano ich „mużułmanami”. Z niedożywienia ludzie zapadali na różne dziwne choroby, ich ciała pokrywały ogromne, ropiejące wrzody, dokuczały choroby skóry. Jedzono wszystko, co znaleziono na terenie obozu, a co miało jadalny wygląd. Jedzono najrozmaitsze trawy, kwiaty, żaby, dżdżownice, jeże. Za zjedzenie marchwi lub ziemniaka w trakcie pracy w ogrodzie lub znalezionych na terenie obozu groziła surowa kara.

Ksiądz kanonik Mieczysław Januszczak, nr obozowy 28151, wspomina: „Głód trwający nie jeden dzień, jeden miesiąc, jeden rok, ale dwa – trzy – cztery i więcej lat. Z głodu nieogojące się rany, dyzenteria, choroby serca i nerek, oddawanie moczu do 17 razy w jedną noc, nieugaszone pragnienie, napoje zaś zabijały [...]. Krew obracała się w wodę, stąd odma,

¹³ Cyt. za o. K.S. Ambrożkiewicz, *Wspomnienia o bp. Michale Kozalu*, „Biuletyn Informacyjny dla Księża b. Więźniów Obozu Koncentracyjnego”, Kalisz–Koszalin 1990, nr 17, s. 53.

puchlina wodna [...]. Kontrola niemieckiego lekarza – ze względu na złamaną rękę przebywałem na rewirze chorych. – Lekarz poklepał mnie po nabrzmiałym brzuchu i rzekł: *Gut für die Arbeit* (dobry do pracy). Izbowy Seep jednak oświadczył, że to nie otyłość, ale odma dochodząca do serca. Na dowód wziął długą igłę, przebił brzuch, a z otworu wytrysnęła ciecz na metr wysoko, opryskując otaczających. Bez tego zabiegu umarłbym za dzień, dwa. I nadal pozostałem na rewirze, i żyję¹⁴.

Biskup Ignacy Jeż po latach uświadamiał sobie, że „opisanie prawdziwego głodu jest właściwie niemożliwe. Wiedzieć, że ani jutro, ani pojutrze, ani za tydzień tego głodu, jaki trawi wnętrze, niczym nie będę mógł zaspokoić, stwarza sytuację beznadziejną¹⁵. Inny duchowny, ks. Kazimierz Hamerszmit, nr obozowy 22575, opisał jeden „posiłek” do syta:

„Raz nawet udało się porządnie najeść. Przez pewien czas pracowaliśmy we dwóch na terenie psiarni. W oddzielnych klatkach były psy-wilczury. Wszedł do nich esesman z dużą miską kaszy, w której były suchary wojskowe... gdy wyszedł, mówię do kolegi: Działajmy, przytrzymaj psa, a ja zabiorę mu żarcie. Wsypałem zawartość miski do czapki. Zamknęliśmy psa i za deskami zjedliśmy to, co było. Całe szczęście, że nie napotkał nas przy tym esesman, bo można było stracić życie¹⁶.

Ojciec Kajetan Stanisław Ambrożkiewicz, nr obozowy 22383, opowiadał o solidarności więźniów: „Wiedzieliśmy z doświadczenia, że człowieka, który umiera z głodu, można uratować od śmierci, albo odsunąć ją, pomnażając przez dwa tygodnie jego głodową porcję żywności o parę ziemniaków lub pół litra zupy. Postanowiliśmy, że w czasie obiadu jeden z naszej grupy obejdzie kubkiem tych współbraci, którzy się jeszcze jakoś trzymają. Każdy z nich włoży do kubka łyżkę czy parę łyżek zupy. Tym kubkiem zupy będziemy wzmocniać co dzień przez dwa tygodnie naszych braci najbardziej osłabionych. Zebranymi łyżkami



Fot. ALPN

¹⁴ „Biuletyn Informacyjny dla Księży b. Więźniów Obozu Koncentracyjnego”, Kalisz–Koszalin 1991, nr 18, s. 26–27.

¹⁵ Bp I. Jeż, *Błogosławcie Pana światło i ciemność*, Katowice 1994, s. 17.

¹⁶ Ks. K. Hamerszmit, *Wspomnienia*, „Biuletyn Informacyjny dla Księży b. Więźniów Obozu Koncentracyjnego”, Kalisz–Koszalin 1990, nr 17, s. 50.



Fot. AIPN

zupy od nie tak głodnych pragnęliśmy ratować głodniejszych. To pozwalało wierzyć, że w tej zwartej gromadzie można przetrwać i najgorsze czasy¹⁷.

Na przełomie 1941–1942 r. władze obozowe pozwoliły na przysyłanie paczek i pieniędzy, zaczęła lepiej funkcjonować obozowa kantyna. Paczki ratowały życie nie tylko księżom, ale i pozostałym więźniom. Dzięki duchownym zaczął działać obozowy „Caritas”. Księża dzielili się paczkami z innymi więźniami. Często też kocioł z zupą przeznaczoną dla swojego baraku zanosili tym, którzy paczek nie otrzymywali.

Kary

Karano za najdrobniejsze przewinienia, za źle posłane łóżko, za siedzenie w trakcie posiłku, za nieprawidłowe lub zbyt powolne zdjęcie nakrycia głowy, karano za istnienie, za bycie księdzem. Do najczęściej stosowanych należała kara chłosty (*Fünfundzwanzig*) oraz godzina słupka (*Eine Stunde Phal*). O rodzaju kary decydował Lagerführer. Kara chłosty wymierzana była przez esesmanów na specjalnym „koźle”, do którego przywiązywano więźnia. Najniższą karą było 25 uderzeń, najwyższą tyle, że więzień umierał. Razy uderzeń musiał liczyć skazany, gdy się pomylił, najczęściej z bólu, uderzenia liczone od nowa. Karę słupka wykonywano najpierw na specjalnym stojaku, na którym wieszano po kilku więźniów. Później przeniesiono ją do łaźni, skazanych wieszano pojedynczo na przymocowanych do sufitu hakach. Karę słupka opisał o. Ambroźkiewicz: „Egzekucje wykonywał kąpielowy w łaźni. Gdy przyszła kolej na nas, zdjęliśmy marynarki, rozpięliśmy koszule i każdy stanął pod wyznaczonym hakiem... Wszedłem na wysoki stołek, który postawił pod moim hakiem kąpielowy. Dłonie,

¹⁷ O. K.S. Ambroźkiewicz, *Wspomnienia*, „Biuletyn Informacyjny dla Księży b. Więźniów Obozu Koncentracyjnego”, Kalisz–Koszalin 1990, nr 17, s. 51.

na które włożyłem wełniane skarpety, mające zabezpieczyć przed skałeczeniem rąk, złożyłem na plecach zewnętrzną stroną do siebie. Gdy kąpielowy skrępowawszy je łańcuchem w nadgarstku, podciągnął ręce do góry, ja z całych sił trzymałem je przy plecach, by mieć potem nieco »luzu«... Kąpielowy zahaczył łańcuch o hak umieszczony w suficie, a ja skoczyłem ze stołka delikatnie przed



siebie. Kto się ociągał, temu wrywano go spod nóg. W zwichniętych stawach barkowych zrodził się ostry ból, który jak ogień przenikał całe górne kończyny. Po chwili jednak człowiek spostrzegał, że to nie ten ogień chodzący po rękach, na których spoczywał cały ciężar ciała, był najgorszy, ale jakieś bolesne, rozsiane po całym ciele uczucie niewygody. Powstaje jakieś nieodparte pragnienie, by znaleźć jakąś lepszą pozycję, by jakoś sobie ulżyć. Mądrość jednak kazała trwać w bezruchu i bólu i czekać, aż się ręce pod wpływem obciążenia same wyciągną i stopy znajdą bliżej posadzki, dając złudzenie jakiegoś oparcia. Czasami obecny przy wymierzaniu kary esesman okręcał wiszącego na łańcuchu, aż do oporu, a potem gwałtownie puszczał. Ból był tak ogromny, iż powieszony wył z bólu i często popadał w omdlenie. Ja miałem wtedy 27 lat, niecałe 60 kg wagi i wiele dumy młodego Polaka, który nie miał ochoty pokazać wrogowi, że go boli... i wtedy esesmani kazali odprawić mi Mszę św. Płynęły spokojnie moje słowa łacińskie. Tylko od czasu do czasu rozpryskiwały się dźwięcznie na posadzce krople potu ściekające z umęczonych czoł i powieszonych ciał. Był dzień 22 maja 1942 r. dzień Wniebowstąpienia Pańskiego¹⁸. Przez tę kaźń przeszedł setki polskich kapłanów. Po jednej godzinie wiszenia więźniń nie władał przez kilka dni lub tygodni dłońmi, a często tracił palce lub dłonie z powodu gangreny.

Stacje doświadczałne

W KL Dachau w 1940 r. w baraku nr 5 utworzono tzw. stacje doświadczałne, w których niemieccy lekarze wykonywali pseudomedyczne eksperymenty na zdrowych więźniach – zarażali malarią, ropowicą [flegmoną], żółtaczką. Dla celów lotniczych przeprowadzali badania w komorach ciśnieniowych. Po doświadczeniach w komorze ciśnieniowej pozostały przerażające zdjęcia, wykonywane w celu uchwycenia reakcji człowieka na gwałtowne zmiany ciśnienia.

W czasie dużych mrozów na drewniane nosze kładziono i przywiązywano nagich więźniów, po kilku jednocześnie. Wynoszono ich na wiele godzin (na ogół nocą) na zewnątrz. Krzyk tych zamrażanych ofiar był najbardziej przejmującym krzykiem, jaki można sobie wyobrazić. Pozostawali tam do utraty przytomności. Potem przystępowano do badania krwi,

¹⁸ *Ibidem*, s. 41–46.

moczu. Czasami usiłowano przywrócić ich do życia, co kilkakrotnie się udało. Przeważnie jednak dokonywano sekcji zwłok. Jeśli więzień nie był przeznaczony do natychmiastowej selekcji, przeprowadzano ogrzewanie ciepłym powietrzem, a w pewnym okresie ciepłem ciała ludzkiego, do czego sprowadzono więźniarki z obozów kobiecych np. Ravensbrück.

Niekiedy usuwano np. zdrowemu człowiekowi nerw przeponowy, by wykazać wytrzymałość organizmu ludzkiego na nadmierny ucisk na płuca. Kto przeżył, zostawał kaleką do końca życia. W czasie doświadczeń z morską wodą nie podawano więźniom przez dwa tygodnie żadnego pokarmu, a jednocześnie zmuszano do picia słonej, morskiej wody. Wszystkie te doświadczenia miały rzekomo służyć III Rzeszy.

Wybuch epidemii tyfusu w 1943 r. był dla wielu więźniów ratunkiem przed wykorzystaniem do badań pseudomedycznych. Można zaryzykować stwierdzenie, że tyfus, choroba, która zabiła wielu, tym, którzy przeżyli, ratowała życie. Ksiądz Stępiak, wyznaczony do badań z wszczepioną malarią, nagle zachorował na tyfus, chorował kilka miesięcy. Dzięki tyfusowi nie został „królikiem doświadczalnym”. Niemieccy funkcjonariusze obozowi, w obawie przed zarażeniem, nie zaglądali do izby chorych na tyfus i godzili się na opiekę nad chorymi ze strony więźniów-kapłanów. Wielu księży niosących pomoc zaraziło się i zmarło, m.in. ks. Stefan Wincenty Frelichowski¹⁹.

Jednym z więźniów poddanych pseudomedycznemu doświadczeniu z ropowicą [flegmony] był abp Majdański, numer obozowy 22829. Młodemu wówczas klerykowi wszczepiono ropowicę. Przeżył dzięki pomocy ze strony tych, którzy nie chcieli pogodzić się z cierpieniem chorych. Tak sam wspomina te doświadczenia: „Po chwili marszu – sala operacyjna i rozkaz położyć się! Pierwszy raz w życiu na stole operacyjnym. Zabieg jest krótki. Młody oficer, SS-mann boleśnie nakłuwa prawe udo. Jakiś potężny zastrzyk. Potem napisano: 3 cm [sześciennę] flegmony (sztuczna ropowica). Po bolesnym zastrzyku nie odczuwam dalszych szczególnych objawów. Wyjaśnienie jednak przychodzi szybko: gdy wchodzimy z powrotem do izby, nie słyhać ani jednego słowa, ale słyhać jęki. Zabieg dokonany na sali operacyjnej działa szybko. Wkrótce odczuję to sam, natychmiast po powrocie do izby położywszy się na długie miesiące na wskazanym łóżku, oznaczonym odtąd stale: 18 B. [...] Osłabłem bardzo. Odczułem to, usiłując wejść do bardzo bliskiego WC. Ten pierwszy wieczór dyżur ma pielęgniarkę – życzliwy Herman. Także i inni okażą się potem życzliwi. Wszyscy byli polityczni, nosili czerwone trójkąty [takie same jak polscy duchowni]. Nie bolało tak, bym musiał jęczeć. Był tylko ogromny ubytek sił, traciłem przytomność. [Heini] był najbardziej współczujący wśród dyżurujących *Pflegrów*. Jakoś wiedział, kiedy ból jest tak dominujący, że trzeba go załagodzić. Usłyszałem od Hermana: Zastrzyk był niebezpieczny. Doświadczenia będą trudne. Żeby przeżyć, trzeba chcieć i wierzyć, że to jest możliwe. Patrz, tam leży komunista, którego ratujemy ze wszystkich sił – na próżno; nie może uwierzyć, że Hitler nie wygra, nie chce żyć. Wysoka komisja z dr. Schützem na czele stwierdziła groźny stan zapalny, widoczny na całym udzie, zdecydowała: Nie stosować incyzji [operacji], zaczekać i obserwować dalszy rozwój w ciągu 8 dni. [...] Po przebudzeniu z narkozy cała noga w [metalowej] szynie, obandażowana stosem ligniny. Nie było można wykonywać żadnych ruchów (leżeć można było tylko na plecach). W czasie pierwszego opatrunku (opatrunki odbywały się najpierw pod wodą) spostrzegłem SS-manów zamykających oczy. Opatrunki były okrutne. Bolało [...], ropowica bardzo była uparta, więc operacje były jeszcze dwie. Nie było rozpaczy, był przecież Bóg. Zapotrzebowanie na modlitwę zawsze, największe przed

¹⁹ Papież Jan Paweł II ogłosił go błogosławionym 7 czerwca 1999 r. w Toruniu.

operacjami. Na stacji doświadczalnej znalazł się krzątający się wśród łóżek kapłan: kochany O. Gitschel. Należał do *Zimmerdienstu* (odpowiednik usług salowych). Spełniał także posługi najwznioślejsze: spowiadał i troszczył się o Ciało Pańskie²⁰.

W tajemnicy pielęgniarz Heini podawał młodemu klerykowi lek Tibatin, który uratował mu życie. Po tygodniach ukrytego leczenia zdjęto szynę.

W 1975 r. w Monachium ocalańcy składali zeznania przed sądem – abp Majdański zeznał całą prawdę, ale zbrodniarzowi Schützwowi (cenionemu w Essen-Bradenej lekarzowi) wobec zdumionych świadków przebaczył. Biskup wspomina: „Dr Schütz nie chciał puścić ze swojej dłoni mojej prawicy, gdy mu na sali sądowej powiedziałem: Przecież możemy spojrzeć sobie w oczy! Szeptał: Musiałem. Ale czyniłem mniej, niż musiałem... Dr Schütz pokornie wyrzekął się swojej przeszłości. [...] Heini – pielęgniarz zasłużył na miano sprawiedliwego”²¹.

* * *

Niedziela, 29 kwietnia 1945 r., była dniem ogromnej radości dla więźniów w Dachau. O godz. 17.25 obóz został zdobyty przez niewielki oddział żołnierzy amerykańskich 7. armii generała Patona. Na powitanie żołnierzy wybiegli wszyscy, którzy mogli się poruszać. Słyszało się niemiłknącą, różnojęzyczną radość, oklaski na cześć żołnierzy amerykańskich. Więźniowie rzucali się sobie w objęcia i całowali wzajemnie. Radość była tym większa, gdyż tego samego dnia wśród więźniów rozeszła się wieść, że w związku z rozkazem Heinricha Himmlera z 14 kwietnia 1945 r. ma być dokonane zniszczenie całego obozu wraz z wszystkimi więźniami. Na zniszczenie obozu wyznaczono termin – 29 kwietnia 1945 r., godz. 21.



Zmarli w transporcie, odnalezieni po wyzwoleniu obozu

²⁰ List bp. Kazimierza Majdańskiego do Jana Pawła II (ze zbiorów ks. L. Stępiaka).

²¹ *Ibidem*.

LEKARZE-WIĘŹNIOWIE W AUSCHWITZ-BIRKENAU

Szacuje się, że podczas wojny i okupacji zginęło co najmniej 5 tys. polskich lekarzy, 2,5 tys. stomatologów i ok. 3 tys. lekarskiego personelu pomocniczego. Lecz, jak pisał Stanisław Kłodziński, „wśród mogił polskich lekarzy rozsianych po całym świecie, największe skupisko spopielonych prochów stanowią bagniste pola obozu koncentracyjnego Auschwitz”¹.

Szpital w „fabryce śmierci”

Z udziałem niemieckich naukowców, w tym lekarzy, opracowano metody masowego unicestwiania ludzi w sposób szybki, ekonomiczny i nie pozostawiający śladów, które były realizowane m.in. w Auschwitz-Birkenau. Służyły temu komory gazowe i krematoria, a wykonawcami byli zdegenerowani funkcjonariusze obozowi. Na obozową rampę przybywały transporty więźniów z różnych stron Europy. Uznani za nieprzydatnych do pracy, szli prosto do komór gazowych, innym darowano odrobinę życia za mordercze warunki lagrowego bytu, aż do osiągnięcia stanu obozowego „zmuzułmanienia”. W końcu i tak opuszczali obóz przez krematoryjny komin.

I właśnie w tej „fabryce śmierci” funkcjonowały obozowe szpitale (rewiry) i przychodnie lekarskie. Były one przede wszystkim miejscami selekcji, skąd bardziej chorych więźniów kierowano na śmiertelną iniekcję fenolu w serce lub do komór gazowych. W placówkach tych przeprowadzano także wyrafinowane doświadczenia pseudolekarskie: eksperymenty sterylizacyjne, kastracje, sztuczne zapłodnienia, oparzenia środkami żrącymi, badania antropologiczne, badania na bliźniętach jednojajowych, sztuczne zakażenia, badania nad rakiem, niepotrzebne operacje itd. Niektóre zwłoki kierowano do muzeów anatomii lub przeznaczano do celów przemysłowych. W obozowym szpitalu w Auschwitz, a potem także w Birkenau, izolowano chorych na choroby zakaźne nie po to, żeby ich leczyć, ale żeby chronić przed nimi obozową załogę.

Wielu przywożonych do obozu więźniów musiało przechodzić tzw. kwarantannę, podczas której słabsi więźniowie zarażali się chorobami i w ten sposób byli poddawani „naturalnej” selekcji. Tych, którzy przeżyli, przenoszono do ogólnej części obozu”². W ambulatorium kwarantanny pracowali więźniowie-lekarze, m.in.: Leon Gelberger, Chaim Krause, Emil Lerner, Eugen Reach, Arnold Rzędowski, Roman Zenkteler.

Szpital obozowy w Auschwitz

Jan Olbrycht, lekarz sądowy z trzydziestopięcioletnią praktyką, pełnił w obozie funkcję aptekarza. Któregoś dnia sanitariusz Josef Klehr polecił mu przygotować się do sekcji

¹ S. Kłodziński, *Wkład polskiej służby zdrowia w ratowanie życia więźniów w obozie koncentracyjnym Oświęcim*, „Przegląd Lekarski” 1961, nr 1a, s. 51.

² I. Strzelecka, *Obóz kwarantanny dla mężczyzn więzionych w Brzezince*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1987, nr 1, s. 102–116.

zwłok więźnia, która miała się odbyć w sali operacyjnej na parterze bloku 28. „Gdy Klehrowi oświadczyłem, że do sekcji wszystko przygotowane, ale nie ma zwłok – pisał Olbrycht – ten ironicznie śmiejąc się, odrzekł: *die Leiche spaziert noch*”. I rzeczywiście, jakiś czas później Olbrycht byłem świadkiem, jak do sali operacyjnej wprowadzono młodego, wyniszczzonego więźnia, któremu Klehr nakazał położyć się na stole, a więźniowi Pańszczykowi polecił wstrzyknąć śmiertelną dawkę fenolu w serce. „Gdy nastąpiła śmierć, zjawił się lager-artz prof. Kremer ze słoikami zawierającymi płyny utrwalające i oświadczył, że zamierza przeprowadzić badania, czy tzw. zanik brunatny (*atrophia fusca*) w narządach powstaje po śmierci. Następnie polecił mi wyjąć ze zwłok wycinki z narządów, między innymi także z tych narządów, w których nigdy zanik brunatny nie występuje. Tak więc Klehr nie czekał na zejście śmiertelne któregoś z muzułmanów, [...] lecz polecił uśmiercić więźnia zastrzykiem z fenolu”³.

Od 1941 r. ambulatorium, laboratorium szpitalne, pracownię rentgenowską, w której pojawiała się dodatkowa możliwość „fałszowania” wyników badań na korzyść chorych, oraz szpital obozowy stopniowo przejmowali polscy lekarze i pielęgniarze. Prawie wszystkie stanowiska zostały obsadzone przez więźniów politycznych, w tym w 90 proc. przez Polaków. Jak wspomina dr Stanisław Kłodziński, prowadzony przez nich „szpital świadomie na każdym kroku starał się łamać plany SS, a zadawane ciosy łagodził, stępiał i umniejszał w skutkach. [...] Istniały pozytywne powiązania szpitala z kuchnią obozową, warsztatami, więźniami z oddziału politycznego, oddziałem zatrudnienia, a nawet blokiem 11. – blokiem śmierci. Powiązania te sięgały dalej – na Brzezinkę z obozem męskim, kobiecym, cygańskim, Buna i na podobozy. [...] Na blokach szpitalnych w sposób nielegalny zainstalowano łącznie z bieżącą ciepłą i zimną wodą. Ustępy blokowe stały się dostępne przez całą dobę. W łózkach chorych zmieniano kilka razy do roku słomę w siennikach. [...] Dzięki systematycznym i skutecznym dezynsekcjom usunięto zawszenie, zapluskwienie i zapchlenie. [...] Apteka szpitalna urosła do pokaźnych rozmiarów, dzięki czemu sposób leczenia mógł być zbliżony do prawidłowego. Znaczna część leków przychodziła konspiracyjną drogą z Krakowa. Tę nielegalną drogę przesyłania leków opracowano niezwykle szczegółowo. Apteka szpitala obozu Oświęcim I stała się nawet punktem rozdzielczym dla obozu kobiecego i podobozów. Precyzja tych machinacji [...] musiała być wielka, bo wykrycie przez SS jakichkolwiek jej śladów skończyłoby się bunkrem i ścianą śmierci”⁴.

W 1944 r. lekarzem obozowym został Władysław Fejkiel, który mógł liczyć na poparcie współwięźniów, miał dobre rozeznanie w strukturze obozowej, dobrał sobie zaufanych współpracowników – lekarzy i pielęgniarzy. Udało mu się doprowadzić do przeniesienia do innego obozu konfidentów i zdemoralizowanych przestępców. Polacy pracujący w szpitalu mogli swobodnie przekazywać wiadomości na zewnątrz obozu. Dzięki współpracy z apteką obozową oraz osobami poza obozem udawało się pozyskiwać potrzebne leki. Z czasem szpital zaczął spełniać swoje właściwe funkcje, czyli leczyć i chronić więźniów. Doszło nawet do tego, że niektórzy funkcyjni SS leczyli się potajemnie u doświadczonych polskich lekarzy. W końcu szpital stał się centralą Oświęcimskiego Ruchu Oporu. Stąd organizowano ucieczki, przekazywano wiadomości na zewnątrz, do radia; alarmowano wolny świat, odsła-

³ J.S. Olbrycht, *Przeżycia medyka sądowego w czasie okupacji hitlerowskiej oraz po wyzwoleniu w sprawach z nią związanych*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1968, nr 1, s. 86.

⁴ *Ibidem*, s. 56.



niając prawdę o obozie. W okresie, kiedy szpital obozowy był w rękach polskiego personelu, zanikły selekcje chorych do gazu i na fenol.

W tej pracy nadzwyczajne zasługi posiada wymieniany już dr Kłodziński⁵, który należąc do obozowej konspiracji, utrzymywał kontakty ze światem zewnętrznym, sprowadzał żywność i leki, wysyłał grypsy. „Jako sanitariusz w rewirze chronił chorych pomysłowymi sposobami, bronił przed selekcjami na śmierć. Był współtwórcą uczynienia z rewiru jednego z nielicznych w KL Auschwitz-Birkenau ośrodków konspiracji; przyczynił się w tym szpitalnym azylu do przetrwania obozu przez pracowników służby zdrowia, ludzi wybitnych dla kultury polskiej itd.”⁶

Chociaż polscy lekarze pomagali chorym i starali się chronić ich w szpitalu, to jednak opinia więźniów o rewirze była niekorzystna. Powszechnie mówiło się, że szpital obozowy jest „wykończalnią” albo przedsionkiem do krematorium. Oto relacja Artura Krzetuskiego⁷: „Unikałem rewiru jak ognia, ponieważ tam najłatwiej można się było wyprowadzić na tamten świat. Mam tu na myśli eksterminacyjne selekcje, gazowanie rekonwalescentów itp. Trzeba jednak podkreślić, że nasi lekarze (więźniowie) robili wszystko, aby ludzi ratować i często robili to z narażeniem własnego życia”.

⁵ E. Opoczyński, *Dr Stanisław Kłodziński*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1991, nr 1, s. 157–161.

⁶ *Ibidem*, s. 158.

⁷ Z. Jagoda, S. Kłodziński, J. Masłowski, *Samolecznictwo więźniów Oświęcimia*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1982, nr 1–3, s. 31.

Od początku było jasne, że szpitale obozowe miały realizować program eutanazji, tj. uśmiercania z „litości” osób uznanych za nieuleczalnie chore, a zatem nieprzydatnych dla III Rzeszy. W połowie 1941 r. eutanazją objęto również więźniów obozów koncentracyjnych. Odtąd cierpiący na choroby zakaźne lub inne, zwłaszcza gdy nie rokowały wyzdrowienia, byli systematycznie uśmierceni. Zagładą objęto w pierwszym rzędzie więźniów przebywających w szpitalach obozowych. Do tego służyły tzw. selekcje. Pierwszą przeprowadziła komisja lekarska pod kierunkiem dr. Horsta Schumanna 28 lipca 1941 r. Ofiarą padło 575 chorych. Zabijanie fenolem, do czasu uruchomienia komór gazowych, było podstawową metodą „oczyszczania” obozu z więźniów nienadających się do pracy. Selekcje powtarzano systematycznie we wszystkich rewirach. Jedną z ostatnich przeprowadzono w październiku 1944 r.⁸

Wobec braku środków leczniczych na wagę złota okazywały się wszelkie gesty wsparcia psychicznego, swoistej obozowej psychoterapii. O takiej postawie personelu szpitalnego zaświadczał więzień Czesław Czerwiński: „Robili więcej niż mogli, niż byli w stanie. Wyczerpali środki pomocy fizycznej i sięgnęli do arsenału środków psychicznych. To były promienie najpiękniejszej części człowieka. Jego dobroci, miłości i ofiarności. Polscy lekarze w obozach jako nasi koledzy współwięźniowie ten trudny egzamin zdali w pełni. Żywią do nich uczucie bałwochwalczego uznania, podziwu i dziękuję im z całego serca za pomoc, jaką od nich otrzymałem”⁹.

Lekarze-więźniowie

W szczególnie złożonej sytuacji byli więźniowie-lekarze zatrudnieni w obozowych rewirach. Wobec ograniczenia możliwości leczniczych, braku leków czy instrumentów, musieli niejednokrotnie decydować o życiu i śmierci swoich podopiecznych. „Lekarze-więźniowie chcieli za wszelką cenę pomóc swym chorym, nawet tym, którym pomóc nie mogli i wbrew swej woli musieli skazać ich na śmierć. Dla lekarzy SS chorzy byli elementem obcym i obojętnym, przeznaczonym szybciej lub później do likwidacji”¹⁰.

Więźniowie-lekarze robili wszystko, aby ratować chorych przed selekcją. Oto świadectwo b. więźnia Auschwitz, Austriaka Franza Danimanna: „Straciłem przytomność, nie wiem na jak długo. Ktoś karmił mnie jak małe dziecko; podano mi basen i butelkę; nie mogłem wstać. Polski lekarz-więzień niepoprawną niemczyzną mówił coś o pneumonii z powikłaniami i kiwał przy tym głową. Najważniejsze jednak, że nie był to dur, który stanowił największy postrach wśród chorób obozowych. Lekarz-więzień we wstrząsający sposób troszczył się o mnie. [...] Szeptał mi do ucha, że w Brzezince w ogóle nie ma szpitala, a tym bardziej oddziału dla ozdrowieńców, natomiast są komory gazowe, dokąd będzie sortował więźniów lekarz obozowy”¹¹.

⁸ Zob. I. Strzelecka, *Eksterminacyjna funkcja szpitali obozowych w KL Auschwitz*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1990, nr 1, s. 103–107; S. Kłodziński, *Pierwsza oświęcimska selekcja do gazu. Transport do „sanatorium Dresden”*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1970, nr 1, s. 39–50; S. Kłodziński, *Fenol w KL Auschwitz-Birkenau*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1963, nr 1, s. 62–65; S. Kłodziński, *Pierwsze zagazowanie więźniów i jeńców radzieckich w obozie oświęcimskim*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1972, nr 1, s. 80–94.

⁹ E. Opoczyński, *op.cit.*, s. 54.

¹⁰ A. Kępiński, *Refleksje oświęcimskie: rampa. Psychopatologia decyzji*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1968, nr 1, s. 27.

¹¹ F. Danimann, *W obozie oświęcimskim*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1968, nr 1, s. 189.

Jakże inaczej postępowali lekarze SS na obozowej rampie podczas selekcji, gdy jednym ruchem palca decydowali o życiu lub śmierci setek i tysięcy ludzkich istnień. Ale nawet i w takiej sytuacji polscy lekarze starali się ratować więźniów. Oto relacja Kazimierza Tokarza: „W roku 1941 zachorowałem na tyfus plamisty. Pewnego dnia zaczęła się selekcja. [...] Nas zdolnych do transportu pozostawiono do następnego dnia, w którym mieliśmy być zgładzeni w komorach gazowych. [...] Dzięki interwencji polskich lekarzy-więźniów esesmani dokonali jeszcze raz przeglądu chorych przeznaczonych do komór gazowych, i z grupy około 600 więźniów uratowałem się, jak i około 40 kolegów”¹².

Piękną kartę w obozowym rewirze zapisał dr Czesław Lutyński, absolwent wydziałów lekarskich w Charkowie i w Poznaniu. Do Auschwitz trafił w sierpniu 1943 r. za działalność polityczną. Po kwarantannie przeszedł do baraku trzydziestego jako sanitariusz. Współpracował z innymi polskimi lekarzami Alfredem Federkiewiczem, Janem Malinowskim, Witoldem Kuleszą¹³, Stanisławem Kapuścińskim. Wielu świadków podkreśla jego odwagę, nawet bohaterstwo w ukrywaniu zagrożonych więźniów. Na przykład przez rok ukrywał na swym bloku na wpół ośleplego mjr. Bronisława Mroza-Długoszewskiego, późniejszego autora opowiadań obozowych *Niepotrzebna tyżka*¹⁴.

Witold Kulesza był więźniem politycznym, pracował w rewirze męskim w Brzezince. Uratował życie wielu więźniów różnej narodowości, w tym dwóch polskich lekarzy, narażając własne.

Tadeusz Gąsiorowski zapisał się tym, że w skrajnie prymitywnych warunkach rewiru przeprowadził operację wyrostka robaczkowego i uratował życie pacjenta¹⁵.

W Auschwitz-Birkenau znaleźli się również lekarze wojskowi, m.in. Rudolf Diem, Czesław Jaworski, Tadeusz Kowalski, Czesław Kozłowski, Edward Nowak, Zbigniew Szawłowski i Jan Maria Suchomel. Praca w stacji rentgenowskiej w bloku 28. dawała doktorowi Suchomelowi duże możliwości pracy konspiracyjnej. Na przykład w kasetach do klisz rentgenowskich wysyłał grypsy do apteki w Brzeszczach¹⁶. Doktor Diem włączył się w konspirację, ryzykował własne życie w ratowaniu innych więźniów. W pozostawionych notatkach napisał: „Cały czas balansowałem na krawędzi ryzyka. [...] Wszedłem na tę drogę i gra o własne życie stawała się z każdym dniem oderwaniem od rzeczywistości i hazardem o własne życie”¹⁷.

Doktor Ignacy Kwarta, ciężko chory na gruźlicę płuc, przeżył dzięki fachowej opiece dr. Władysława Tondosa. Pracujący z nim Józef Mężyk, student medycyny, napisał: „Wśród ciągłych intryg, szantaży, fantastycznego szpiegostwa, groźby, infekcji, oraliśmy ten beznadziejny ugor obydwaj, wychodząc obronną ręką z wszelkich haczyków, pułapek itd.”¹⁸

¹² Z. Ryn, S. Kłodziński, *Śmierć i umieranie w obozie koncentracyjnym*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1982, nr 1–3, s. 70.

¹³ S. Kłodziński, *Dr Witold Kulesza*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1975, nr 1, s. 194–195.

¹⁴ S. Kłodziński, *Dr Czesław Lutyński*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1980, nr 1, s. 200–203.

¹⁵ Zob. S. Kłodziński, *Plk dr Tadeusz Gąsiorowski*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1979, nr 1, s. 199–202.

¹⁶ S. Kłodziński, *Mjr lek. Maria Suchomel*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1979, nr 1, s. 207–210.

¹⁷ R. Diem, *Wspomnienia lekarza więźnia z Oświęcimia*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1988, nr 1, s. 134–147.

¹⁸ S. Kłodziński, *Dr Ignacy Kwarta*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1978, nr 1, s. 195–200.

Doktor Czesław Gawarecki był kierownikiem stacji rentgenowskiej. Odważnie współpracował z dr. Rudolfem Diemem, ukrywając prawdziwe rozpoznania choroby i w ten sposób ratował ich od selekcji. Został rozstrzelany jako więzień polityczny w bloku 11¹⁹.

Pułkownik dr Czesław Wincenty Jaworski przybył do obozu w bardzo złym stanie zdrowia. Awansował od robotnika fizycznego, przez pielęgniarza, aptekarza aż do funkcji lekarza w rewirze. Po uwolnieniu obozu pozostał z 850 chorymi więźniami różnych narodowości, aż do przybycia lekarzy armii radzieckiej²⁰.

Doktor Edward Nowak „był jasnym promieniem w ciemnościach oświęcimskiego obozu, człowiekiem zasad w miejscu odczłowieczenia godności ludzkiej, a sztuki leczenia nie traktował jako zawodu, lecz jako święte posłannictwo w służbie ludzi”²¹. Zmarł później z powodu duru wysypkowego w obozie na Majdanku²².

Rewir w Brzezince

Oboz kobiecy przeniesiono z obozu macierzystego do Brzezinki 6 sierpnia 1942 r. Od kwietnia 1943 r. rewir był jednostką autonomiczną, co umożliwiło podjęcie leczenia chorych na dur wysypkowy i wstrzymano selekcje do komór gazowych więźniów pochodzenia niemieckiego. Na czele rewiru stali lekarze SS (W. Rhode, F. Klein, H. W. König, J. Mengele, H. Thilo, H. Schumann). Wszyscy oni brali udział w selekcjach. Opiekę nad chorymi pełniły lekarki-więźniarki oraz pielęgniarki, wśród nich wiele Polek.

Anna Tytoniak pisała, że pobyt w tym obozie od początku był „najstraszliwszy ze strasznych, to dno brudu i nędzy nie do opisania; tu łamał się najtrwalszy organizm i najtwardszy charakter człowieka. [...] Cuchnące powietrze, brud, błoto, pchły, wszy, szczury, robactwo”.

Do bloku rekonwalescentek nie dostarczano żadnych leków. Medycyna przypominała raczej znachorstwo, bowiem w repertuarze leków była tylko maść ichtiolowa, a poza tym fusy z kawy, surowe ziemniaki, sól, czosnek, cebula, ślina, mocz. Panaceum na sączące rany i czyraki był... mocz. Śmiertelność wahała się od 250 do 300 kobiet dziennie. Nikt się dobrowolnie nie zgłaszał do rewiru, ponieważ szpital oznaczał selekcję i śmierć w komorze gazowej. Wszelkie zabiegi wykonywano w prymitywnych warunkach. Narzędzia „sterylizowano” w wodzie koloru brązowego, na powierzchni tworzył się tłusty kożuch.

Dopiero po objęciu rewiru przez polskich lekarzy (Bolesława Zbozienia, Juliana Kiwałę, Władysława Tondosa) warunki znacznie się poprawiły. Również stanowiska administracyjne objęły z czasem Polki, dzięki czemu mogły odegrać wielką rolę w przyjmowaniu i ratowaniu chorych. Na przykład fałszowały listy imienne transportów do gazu, umieszczając na nich numery zmarłych więźniów. Jednak od czasu do czasu zdarzały się selekcje i masowe egzekucje chorych.

Oto relacja Marii Elżbiety Jezerskiej: „Szpital zmienił oblicze. Stało się to dzięki oparowaniu funkcji przez Polki i wyrugowaniu Niemek-asocjalnych. [...] Jakże inaczej wyglą-

¹⁹ S. Kłodziński, *Dr Czesław Gawarecki*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1978, nr 1, s. 208–211.

²⁰ S. Kłodziński, E. Niedojadło, *Plk dr med. Czesław Wincenty Jaworski*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1977, nr 1, s. 217–220.

²¹ K. Szweda, *Pierwszy okres oddziału chorób zakaźnych w obozie oświęcimskim*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1972, nr 1, s. 98.

²² S. Kłodziński, *Dr Edward Nowak (Więzień obozu oświęcimskiego nr 447)*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1971, nr 1, s. 156–159.

da barak szpitalny [...]. Koło łóżek nieprawdopodobny luksus: nocniki, przy końcu baraku kubły pod pokrywami-sedesami z desek, tak że ani ich porównać do dawnych kubełków, cuchnących na sto mil; do mycia woda, miski, a co najważniejsze, personel z prawdziwego zdarzenia: lekarki, pielęgniarki, nawet »pućerki«... To wszystko skutek starań więźniów, ich przemysłowości... Słowem, rewir zaczął przypominać coś, co można nazwać szpitalem»²³.

Od stycznia 1943 r. w Birkenau przebywała Janina Kowalczykowa, anatomopatolog z Wydziału Lekarskiego UJ. Początkowo pracowała w saunie, potem w bloku 24, gdzie jako lekarka zajmowała się chorymi kobietami. Ratowała pacjentki, zmieniając i fałszując rozpoznania, oraz wypisując je przed rozpoczęciem selekcji. Później przeniesiono ją do Instytutu Higieny SS w Rajsku. Doświadczyła całej obozowej gehenny, będąc w ciąży²⁴.

W historii lecznictwa polskiego złotymi zgłoskami zapisały się takie lekarki-więźniarki, jak: Irena Białówna²⁵, Aglajda Brudkowska, Celina Choynacka²⁶, Jadwiga Havelka, Jadwiga Jasielska, Władysława Jasińska²⁷, Zofia Kączkowska²⁸, Irena Konieczna²⁹, Zofia Kordylewska, Janina Kościuszkowa³⁰, Janina Kowalczykowa, Jadwiga Kobierska, Katarzyna Łaniewska³¹, Ernestyna Michalikowa, Janina Moszyńska, Stefania Perzanowska³², Alina Piotrowska-Przeorska, Alina Przerwa-Tetmajer, Maria Wiktoria Werkenthin, Janina Węgierska, Halina Witaszek³³ i inne. Wszystkie z narażaniem życia zmieniały dokumentację lekarską, fałszowały rozpoznania, zmieniały daty przybycia do obozu i na rewir, przносиły lżej chore z bloku na blok, by w ten sposób zamaskować długi pobyt w szpitalu, a wszystko po to, by chronić więźniarki przed selekcją. Wykazywały przy tym odwagę i pomysłowość.

Nie można nie wspomnieć niezwyklej postaci Stanisławy Leszczyńskiej³⁴. Była położną. Odebrała w obozie ponad 3 tys. porodów. Pomimo przerażających warunków, w jakich się odbywały porody, nie było ani jednego zejścia śmiertelnego. Niestety, do maja 1943 r. wszystkie dzieci urodzone w obozie oświęcimskim, zwłaszcza żydowskie, były topione w beczulce. Zajmowały się tym blokowe Niemki, które utopiły przeszło 1,5 tys. dzieci, a ok. 1 tys. zmarło z zimna i głodu. Przeżyło obóz zaledwie 30 dzieci. Leszczyńska, mimo grożącej jej śmierci, świadomie nie respektowała regulaminu, który zakazywał obcinania i wiązania pępowiny u noworodków żydowskich. Chrzciała noworodki i oddawała matkom.

²³ M.E. Jezierska, *Chorować nie wolno. Wspomnienia z Oświęcimia*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1966, nr 1, s. 197.

²⁴ S. Kłodziński, *Prof. Dr Janina Kowalczykowa*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1980, nr 1, s. 196–200.

²⁵ I. Białówna, *Z historii rewiru w Brzezince*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1979, nr 1, s. 164–175; S. Kłodziński, *Dr Irena Białówna*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1983, nr 1, s. 154–161.

²⁶ M. Przychodźki, *Dr Celina Choynacka*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1978, nr 1, s. 205–208.

²⁷ S. Kłodziński, *Dr Władysława Jasińska*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1969, nr 1, s. 199–201.

²⁸ S. Kłodziński, *Dr Zofia Kączkowska*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1977, nr 1, s. 220–222.

²⁹ I. Konieczna, *Z przeżyć wojenno-okupacyjnych*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1991, nr 1, s. 150–156.

³⁰ S. Kłodziński, *Dr Janina Kościuszkowa*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1983, nr 1, s. 162–168.

³¹ S. Kłodziński, *Dr Katarzyna Łaniewska*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1978, nr 1, s. 200–205.

³² Zob. biogram: S. Kłodziński, *Dr Stefania Perzanowska*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1981, nr 1, s. 189–197.

³³ H. Witaszek, *Z rewiru kobiecego Brzezinki*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1986, nr 1, s. 167–175.

³⁴ S. Kłodziński, *Stanisława Leszczyńska*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1975, nr 1, s. 206–208.

W rewirze obozu cygańskiego

Rewir obozu cygańskiego powstał w marcu 1943 r. Z głównego obozu przeniesiono tu m.in. lekarzy Ludwika Kotulskiego, Witolda Kuleszę, Adama Przybylskiego, Tadeusza Szymańskiego i Tadeusza Śnieszkę. W końcowej fazie jego istnienia na stanowisku tzw. starszego szpitala był dr Diem. Wśród trzydziestu lekarzy było osiemnastu Polaków, nie mówiąc o polskim personelu pomocniczym. To z tego szpitala dr Józef Mengele skierował do komór gazowych ponad tysiąc Cyganów chorujących na dur wysypkowy. Zagazowanie nastąpiło 26 maja 1943 r. Podobny los spotkał pozostałych, tyle że rok później. Możemy sobie wyobrazić poczucie bezsilności personelu lekarskiego. Obóz cygański przestał istnieć. Polscy lekarze zostali skierowani do pracy w karnych kompaniach obozu oświęcimskiego lub do obozów w Niemczech³⁵.

Podobóz w Monowicach

Obóz Buna-Monowice był największym podobozem KL Auschwitz. Od początku działało tam ambulatorium i funkcjonował szpital, którym kierował więzień dr Stefan Budziaszek pochodzący z Oświęcimia. Z polskich lekarzy pracowali tam także więźniowie Tadeusz Rutkowski, Czesław Jaworski i Stanisław Makowski (lekarz I oddziału chorób wewnętrznych). Polacy skonstruowali prosty aparat rentgenowski oraz aparat do elektrowstrząsów, które służyły chorym³⁶.

Lekarze codziennie stawali przed trudnym dylematem etycznym: jak „sprawiedliwie” rozdzielać leki. Czy podawać każdemu choremu niewielkie ilości leku, czy raczej leczyć intensywnie i skutecznie tylko wybranych chorych; a jeśli tak, według jakiego kryterium selekcjonować chorych. „Za poradą innych lekarzy-więźniów – stwierdzał dr Makowski – leczyłem sulfonamidami przede wszystkim ludzi młodych. Po przebyciu ciężkiej choroby mieli oni jeszcze możliwość przeżycia obozu”³⁷. Lekarze, aby chronić najbardziej chorych przed eksterminacją, fałszowali rozpoznanie.

Polscy lekarze-więźniowie byli też zatrudnieni w tzw. rewirze dla jeńców sowieckich. Byli to Józef Żegleń i Kazimierz Hałas. Ich praca polegała jednak głównie na rejestracji jeńców i organizacji przekazywania ich zwłok do dołów w Birkenau³⁸.

³⁵ T. Szymański, D. Szymańska, T. Śniezko, *O „szpitalu” w obozie rodzinnym dla Cyganów w Oświęcimiu-Brzezince*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1965, nr 1, s. 90–99.

³⁶ E. Niedojadło, *„Szpital” obozowy w Bunie*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1965, nr 1, s. 120–122.

³⁷ A. Makowski, *I oddział wewnętrzny szpitala obozu koncentracyjnego Buna-Monowice*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1969, nr 1, s. 73.

³⁸ K. Hałas, *Z pracy w tzw. rewirach dla jeńców radzieckich w Oświęcimiu i w Gross-Rosen*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1980, nr 1, s. 162–171.

ANEKS

Oto w jakich okolicznościach zginęli niektórzy więźniowie-lekarze w obozie Auschwitz-Birkenau:

- dr Gawarecki Czesław, rozstrzelany w bloku 11 jako więzień polityczny
- prof. Marian Gieszczykiewicz, bakteriolog, zastrzelony przez Rapportführera Palitzscha, kiedy profesora przyniesiono ze szpitala obozowego na noszach
- Jan Gadomski, zmarł z wycieńczenia w przebiegu tyfusu
- dr Franciszek Grall, zginął na pięć dni przed zakończeniem wojny na pokładzie zatopionego statku Cap-Arcona podczas ewakuacji z obozu oświęcimskiego
- dr Zofia Kączkowska, zmarła w obozie kobiecym w Birkenau
- dr Jadwiga Kobierska, zmarła po kilku dniach pobytu w obozie
- dr Stefania Kościuszkowa, zmarła z powodu wycieńczenia, biegunki i ropni
- mgr farmacji Franciszek Lechowicz, więzień-aptekarz, zmarł z powodu duru wysypkowego, ciało spalono w krematorium
- dr Ernestyna Michalikowa, zmarła w obozie z powodu gruźlicy i durchfallu
- student medycyny Jerzy Antoni Mysakowski, rozstrzelany pod ścianą śmierci, miał 23 lata
- dr Andrzej Rudolf Nikiel, rozstrzelany wraz z 74 więźniami w wykopie żwirowym w tzw. Kiesgrube
- dr Witold Preiss, zabity strzałem w tył głowy przez esesmana Rumuna, spalony w tzw. małym krematorium
- dr Adam Przybylski, zmarł w obozie dla Cyganów z powodu duru wysypkowego
- dr Rogacki [brak imienia], lekarz w oddziale chorób zakaźnych, zmarł w obozie w niewyjaśnionych okolicznościach
- absolwent medycyny Witold Słota, rozstrzelany w wykopie żwirowym w tzw. Kiesgrube
- dr Wanda Starkowska, zmarła z powodu tyfusu i zapalenia płuc
- dr Wilhelm Turschmiedt, rozstrzelany pod ścianą śmierci bloku 11
- dr Maria Werkenthin, odmówiła współpracy w doświadczeniach na ludziach; zastrzelona, gdy usiłowała popełnić samobójstwo na drutach obozowych
- dr Ludwik Edward Witkowski, chirurg w bloku 21, rozstrzelany wraz z grupą więźniów Żydów
- dr Żabicki Stefan, rozstrzelany w bloku 11 przez Rapportführera Palitzscha razem z kilkudziesięcioma innymi więźniami. Zginął ze słowami „Niech żyje Polska”.

HAŃBA MEDYCyny XX WIEKU

LEKARZE NIEMIECCY W OBOZACH KONCENTRACYJNYCH

Zbrodnie niemieckiej medycyny rozpoczęły się wraz z objęciem władzy przez narodowych socjalistów. Z biegiem czasu niemieccy lekarze coraz bardziej włączali w zbrodnicze działania władz, nie tylko je akceptując, ale również poszerzając o własne zbrodnicze inicjatywy. W III Rzeszy każdy wydział lekarski tworzył katedry i zakłady genetyki człowieka i higieny rasowej, na których uczono ich, że Żydzi należą do zdegenerowanej rasy i nie zasługują na życie. Niezmiernie łatwo niemieccy lekarze, zwłaszcza ci zatrudnieni w hitlerowskich obozach koncentracyjnych, przemieniali się w bezdusznych i bezlitosnych zbrodniarzy.

Lekarze SS rozpoczęli swoje kariery w Niemczech, pomagając uśmiercać chorych i kaleki. Zniszczenie „życia niewartego życia” podniesiono do rangi najwyższego obowiązku medycyny. Na przykład psychiatra Irmfried Eberl, który zabijał psychicznie chorych rodaków w komorach gazowych, później został komendantem obozu śmierci w Treblince. Od stycznia 1940 r. do sierpnia 1941 r. uśmiercono ponad 70 tys. Niemców. Byli to ludzie psychicznie chorzy, ociemniaли, głusi, chorzy na gruźlicę, starcy wymagający opieki oraz inwalidzi.

Lekarze niemieccy dokonywali wszystkich swoich zbrodni w imię nieludzkiej ideologii, która zakładała zagładę europejskich Żydów, wymordowanie ludzi ułomnych fizycznie i psychicznie oraz trwale niezdolnych do pracy, czyli „niewartych życia”, i zniewolenie podbitych narodów.

Kiedy wspomniany Eberl został komendantem obozu w Treblince, koncepcja „życia niewartego życia” została rozszerzona, obejmując – oprócz chorych psychicznie i fizycznie – również Żydów. Próbuąc usprawiedliwić swój udział w uśmiercaniu ludzi, lekarze SS wykorzystali kłamstwo wczesnej propagandy hitlerowskiej, że Żydzi mają niszczący wpływ na społeczeństwo. „Oczywiście, że jestem lekarzem i chcę ratować życie – mówił Fritz Klein, jeden z hitlerowskich lekarzy. – Z szacunku dla ludzkiego życia usunąłbym ropiejący wyrostek robaczkowy z chorego ciała, a Żyd jest ropiejącym wyrostkiem w ciele ludzkości”.

Przypomnieć należy, że w połowie XX w. powstało państwo, które inne narody skazywało na śmierć taką, jakiej nie wolno było gdzie indziej zadać zwierzętom. Szef tego państwa, rząd, gabinet, dowódcy wielkiej armii i policji w metodyczny sposób naradzali się nad sposobem i techniką uśmiercenia olbrzymich grup ludzi, których jedyną winą było to, że należeli do innej rasy, do innego narodu lub zostali uznani za element zagrażający hitlerowskim planom ujarznienia Europy i zdobycia „przestrzeni życiowej”.

Największych zbrodni Niemcy dokonali na terenach okupowanej Polski. Tu wybrano miejsca na budowę pierwszych w historii obozów masowej zagłady, by konsekwentnie realizować plan biologicznego niszczenia narodów i przeprowadzać na ludziach eksperymenty medyczne. Rudolf Höss zapisał w swoich wspomnieniach, że latem 1941 r. został wezwany przez Heinricha Himmlera. Dalej zanotował: „Himmler powiedział mi, że Führer wydał rozkaz ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej. My, SS, musimy ten rozkaz wykonać. Gdyby nie został on wykonany, Żydzi zniszczyliby później naród niemiecki. Ze względu na dobry transport i możliwość izolacji obozu, wybrał on Oświęcim. Mnie przypada wykonanie tego ciężkiego zadania. Trzeba teraz zapamiętać o wszelkich względach ludzkich i myśleć tylko o jego wykonaniu”.

W Auschwitz, ale też w Buchenwaldzie, mordowano więźniów zastrzykami fenolu w serce już w 1941 r., a w Ravensbrück prof. Karl Gebhardt oraz dr Herta Oberheuser i dr Fritz Fischer przeprowadzali na Polkach okrutne doświadczenia. Gebhardt tłumaczył się, że jego ofiary to członkinie polskiego ruchu oporu, a więc i tak zostałyby uśmiercone.

Profesor Gerhard Rose, wybitny badacz i ekspert w zakresie chorób tropikalnych świadomie i aktywnie brał udział w programie doświadczeń nad dudem plamistym w obozach. Próbował swoje czyny usprawiedliwić tym, że „państwo może zarządzić doświadczenia na skazanych na śmierć, niezależnie od odmówienia zgody przez te osoby”.

Brytyjski historyk Lawrence Rees w książce *Auschwitz – naziści i ostateczne rozwiązanie* zauważa: „[...] lekarze SS wzięli udział we wszystkich etapach procesu uśmiercania, od selekcji na rampie wyładowniczej po mordowanie wybranych więźniów. Symbolem ich udziału w zbrodni jest fakt, że cyklon B był przewożony do obozu fałszywym ambulansem ze znakami czerwonego krzyża. Całkowicie podporządkowując się zbrodniczemu rozkazom, lekarze SS wzięli czynny udział w masowym mordowaniu bezbronnych ludzi na skalę nieznaną dotychczas w historii. Kończąc studia medyczne, składali przysięgę Hipokratesa, która wymaga od lekarzy, by zawsze starali się leczyć i ratować chorych”.

Po wprowadzeniu w Auschwitz w 1942 r. systemu selekcji nowo przybyłych więźniów, niemieccy lekarze zaczęli odgrywać istotną rolę w procesie masowego uśmiercania ludzi. To właśnie oni podejmowali w decyzję kluczową dla działania obozu – kto z nowego transportu będzie żył, a kto ma umrzeć. Więźniów „sprzedawano” ponadto jako króliki doświadczalne firmie Bayer, będącej częścią koncernu I.G. Farben, która wykorzystywała ich do testowania nowych leków. W jednym z listów firmy Bayer do władz obozu czytamy: „Transport 150 kobiet przybył w dobrym stanie. Ponieważ jednak w toku doświadczeń zmarły, nie możemy wyciągnąć wiążących wniosków. Zwracamy się więc do panów z prośbą o przysłanie nam następną grupę kobiet, w tej liczbie i po tej samej cenie”. Kobiety, które zmarły w czasie testów eksperymentalnego środka znieczulającego, kosztowały firmę Bayer po 170 marek niemieckich.

Höss, w swoich sprawozdaniach do władz w Berlinie pisał, że lekarze SS mieli do wykonania w Auschwitz następujące zadania:

1. Z przybywających transportów żydowskich musieli wybierać, stosownie do wytycznych naczelnego lekarza SS, zdolnych do pracy Żydów – mężczyzn i kobiet.
2. Podczas akcji uśmiercania mieli być obecni przy komorach gazowych, aby nadzorować zgodne z przepisami użycie gazu trującego – cyklonu B – przez dezynfektorów i sanitariuszy. Do dalszych ich obowiązków należało sprawdzenie po otwarciu komór gazowych, czy wszyscy zostali uśmierceni.
3. Lekarze dentyści poprzez przeprowadzenie wrywkowych prób mieli sprawdzić, czy więźniowie dentyści wyrwali wszystkim zagazowanym złote zęby i wrzucili je do przygotowanych i zabezpieczonych skrzynek. Poza tym mieli oni nadzorować przetapianie złota z zębów i bezpieczne przechowywanie go do chwili odstawienia.
4. Mieli wybierać i kierować na śmierć Żydów, którzy byli niezdolni do pracy i odnośnie do których nie spodziewano się, aby w ciągu czterech tygodni odzyskali zdolność do pracy. Należało również niszczyć Żydów podejrzanych o choroby zakaźne. Obłożnie chorych należało zabijać za pomocą zastrzyków, innych zaś likwidować w krematoriach lub w bunkrze za pomocą gazu. Do zastrzyków używano fenolu, ewipanu i kwasu pruskiego.
5. Mieli przeprowadzać tzw. akcje zamaskowane. Chodziło tutaj o więźniów Polaków, których egzekucja była zarządzona przez władze hitlerowskie w Generalnym Gubernatorstwie.

Ponieważ egzekucji ze względów politycznych lub bezpieczeństwa nie można było ujawniać, jako powód zgonu należało podawać przyjętą w obozie przyczynę. Skazani w tym trybie na śmierć zdrowi więźniowie byli dostarczani przez Wydział Polityczny do aresztu w bloku 11 i tam przez jednego z lekarzy SS likwidowani za pomocą zastrzyków. Chorzy w izbie chorych byli również zabijani zastrzykami w sposób nierzucający się w oczy. Lekarz miał następnie w świadectwie zgonu podać jako przyczynę chorobę powodującą szybką śmierć.

6. Lekarze SS obowiązani byli asystować przy egzekucjach osób skazanych na śmierć przez sądy doraźne w celu stwierdzenia zgonu, jak również przy egzekucjach zarządzanych przez Reichsführera SS lub władze w Generalnym Gubernatorstwie.

7. Przy wnioskach o wymierzenie kary chłosty mieli badać więźniów, którzy mieli być poddani karze, czy nie ma przeciwwskazań do jej wykonania, oraz mieli asystować przy wykonywaniu tej kary.

„Jednym z obozowych obrazów, które obok kominów krematoryjnych i stosów nagich wyniszczonych ciał utkwiają na długi czas w pamięci ludzkości, jest scena selekcji na rampie” – pisał prof. Antoni Kępiński w swoich *Refleksjach oświęcimskich*. – Tłum kobiet, mężczyzn, starców, dzieci, bogatych i biednych, pięknych i brzydkich defilował przed lekarzem SS, stojącym w postawie władcy i sędziego. Nieznaczny ruch ręki tego człowieka decydował, czy stojący przed nim drugi człowiek pójdzie za chwilę do gazu, czy też dana mu będzie możliwość przeżycia kilku dni czy miesięcy. Było w tej scenie coś z sądu ostatecznego; ruch ręki kierował do ognia lub dawał sposobność ocalenia. Ci, co czekali na wyrok, zazwyczaj nie wiedzieli, co ich czeka. Wiedzieli tylko, że ruch ręki jest ważnym znakiem w ich życiu, coś oznacza, ale co, pozostało dla nich nieraz tajemnicą, aż do chwili gdy w otworze sufitu ich rzekomej łaźni ukazywała się głowa w masce gazowej. Gdy więźniowie szli do selekcji i wiedzieli, że idą do gazu, ostatkiem sił starali się wyprostować, maszerować sprężystym krokiem, by zrobić na lekarzu SS dobre wrażenie i znaleźć się po jego prawicy”.

Żadnego z lekarzy nie widziano na rampie tak często jak Josefa Mengelego. „Jedną ręką zawsze przytrzymał kurtkę munduru – mówi naoczny świadek – drugą wskazywał w jedną albo w drugą stronę, tym samym ostatecznie decydując o życiu lub śmierci”. Mengele wziął udział w ponad osiemdziesięciu selekcjach, skierował do uśmiercenia ponad 400 tys. Żydów.

O schizofrenicznej naturze dr. Mengelego opowiada wielu byłych więźniów. Kiedy Mengele stawał przed nimi, ubrany w nieskazitelnie czysty mundur oficera SS, potrafił uśmiechać się i był czarujący albo stawał się straszliwie okrutny. Świadkowie widzieli, jak zastrzelił na rampie kobietę z dzieckiem, kiedy nie dość szybko wykonywali jego rozkazy, natomiast inni pamiętają tylko miłe słowa, które od niego usłyszeli.

Jego „eksperymenty medyczne” nie podlegały żadnym ograniczeniom. Nieskończona była jego zdolność zadawania tortur i uśmiercania ludzi w celu zaspokojenia swej sadystrycznej ciekawości. Eksperymentował nie tylko na bliźniętach, ale również na karłach i więźniach dotkniętych formą gangreny twarzy zwanej noma, częstą wśród mieszkańców obozu cygańskiego w Brzezince ze względu na panujące tam straszliwe warunki. W ramach badań nad bliźniakami Mengele zabijał sam lub polecał zabijanie swych ofiar innym. Potrafił zabierać bliźniaki do swego samochodu, obdarowywać cukierkami, a kiedy w pobliżu krematorium opuszczały samochód, strzałami w tył głowy zabijał je. Pewnego razu zabił zastrzykami z fenolu matkę za to, że broniła swoje dziecko przed zamordowaniem. Uśmiercał noworodki, kiedy tylko przychodziła mu na to ochota. Robił na dzieciach bliźniakach różne próby. A potem, gdy już były nieużyteczne, zabijał je. Poza bliźniakami interesowały go również osoby karłowate. Wybierał je specjalnie z przychodzących do obozu transportów.

Potem fotografował, robił różne pomiary antropologiczne i zabijał. Po śmierci kazał sporządzać z nich szkielety jako preparaty muzealne. W swojej pasji „naukowej” nie miał żadnych zahamowań. Próbował na przykład zmieniać u dzieci kolor tęczówek, wstrzykując im różne barwniki do oczu. Potem zabijał je, a z ich oczu robił preparaty. W jego gabinecie w obozie na ścianie tkwiły oczy jego ofiar umocowane szpilkami jak motyle.

W książce Stanisława Sterkowicza *Nieludzka medycyna – lekarze w służbie nazizmu* czytamy: „Zjawisko przestoczenia się medycznego etosu w profesjonalne zabijanie bezbronnych ofiar ukazuje nam najczarniejszą stronę człowieczeństwa. W tym wypadku nie byli to prymitywni troglodocy ani psychopatyczni mordercy, lecz elita społeczeństwa – profesorowie, doktorzy medycyny, wykształceni lekarze, biolodzy, chemicy, farmaceuci. Okazali się nadszadzanie łatwo przekształcalni w wyrafinowanych oprawców, zdolnych do najokrutniejszych bestialstw”.

Wielu niemieckich nauczycieli akademickich nie tylko współpracowało z lekarzami-oprawcami w obozach koncentracyjnych, ale i z własnej inicjatywy proponowało przywódcom III Rzeszy najbardziej okrutne eksperymenty. Profesor anatomii August Hirt, dyrektor katedry anatomii, histologii i filogenezy na uniwersytecie w Strasburgu, zaproponował w lutym 1942 r. Himmlerowi utworzenie kolekcji żydowsko-bolszewickich czaszek wziętych do niewoli więźniów politycznych dla udowodnienia wyższości rasy nordyckiej nad semicką.

Ernst Klee w książce *Auschwitz – medycyna III Rzeszy i jej ofiary* pisze: „Lekarzem, który w swym sadyzmie przewyższał wszystkich prawie medyków obozowych, jest według świadków dr med. Aribert Heim. [...] zamordował zastrzykami dosercowymi setki Żydów. Ofiary traktował uprzejmie, rozmawiał z nimi, gdy leżały już na stole operacyjnym. Wypytywał o krewnych poza obozem. Do celów ćwiczeń, z nudów albo sadyzmu wycinał więźniom wątroby, jelita, śledziony albo serca. [...] Z jednym z Żydów Heim rozmawiał o jego nienagannym uzębieniu, a potem rozcina mu brzuch i zabija go. Głowa zostaje oddzielona, wygotowana i spreparowana właśnie ze względu na zęby”.

Główni niemieccy zbrodniarze wojenni zostali osądzeni przez Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze. Wśród nich znaleźli się hitlerowscy lekarze. Spośród trzynastu zasądzonych lekarzy siedmiu miało tytuły profesorów uniwersytetu (trzech z nich skazano na karę śmierci, trzech na karę dożywotniego więzienia, jednego na karę piętnastu lat więzienia). „Proces norymberski lekarzy hitlerowskich – słusznie zauważa prof. Józef Bogusz – miał ogromne znaczenie w ujawnieniu całej potworności i upadku hitlerowskiej medycyny m.in. poprzez systematyczne i potajemne wymordowanie w ramach tzw. programu eutanazji setek tysięcy ludzi, nie wyłączając obywateli państw okupowanych przez Niemcy, a więc mordowanie cierpiących na choroby psychiczne lub nieuleczalne, dzieci upośledzonych i osób starych przy użyciu gazu trującego, śmiertelnych zastrzyków oraz innych środków. Te osoby uważano za »bezużytecznych pożeraczy chleba«, wiedli oni »życie niegodne życia«. [...] Hitlerowscy lekarze, w tym liczni profesorowie uniwersytetów III Rzeszy, a wśród nich znakomici przedstawiciele niemieckiej medycyny, pogwałcili i zdeptali najbardziej podstawowe zasady etyki i deontologii lekarskiej” – podkreśla prof. Bogusz. Właściwym przeto określeniem wydaje się „zbrodnicze eksperymenty lekarskie na ludziach”. Sami Niemcy mówią dziś o „medycynie wyzutej z człowieczeństwa”, chociaż zostali ukarani tylko nieliczni spośród tych, którzy taką „medycynę” uprawiali. Niemiecka medycyna nie zmyła hańby, którą się okryła w III Rzeszy i w czasie II wojny światowej.

ROZBICIE OBOZU NKWD

Wkroczenie Sowietów do Polski rozpoczęło brutalne zniewalanie narodu polskiego przez NKWD i UB. Już w 1944 r., ale także w latach późniejszych, aresztowano i osadzono w więzieniach bądź obozach przejściowych – przed wywózką w głąb ZSRS – wielu żołnierzy podziemia niepodległościowego. Jednym z takich obozów był specjalny obóz NKWD nr 10 w Rembertowie, który został rozbitý w nocy z 20 na 21 maja 1945 r. przez oddział ppor. Edwarda Wasilewskiego „Wichury”.

Pomysł uwolnienia Polaków więzionych w rembertowskim obozie¹ zrodził się w komendzie Obwodu Mińsk Mazowiecki AK „Mewa-Kamień”. Dowódca obwodu, kpt. Walenty Suda „Młot”, wspominając po wielu latach tamto wydarzenie, stwierdził: „To ja poleciłem przygotowanie i wykonanie akcji odbicia więźniów z obozu w Rembertowie. Rozpoznanie obozu przeprowadzone było znacznie wcześniej, przed przystąpieniem do planowania akcji”². Przygotowaniami kierowali ppor. Edward Świdorski „Wicher” i ppor. Edward Wasilewski „Wichura”, którzy musieli wziąć pod uwagę m.in. to, jakie są codzienne zachowania Rosjan, ile jest posterunków, jak są zabezpieczone bramy, jak rozstawione baraki i wartownie³. „Dostałem zadanie rozpracowania położenia obozu, rozmieszczenia poszczególnych posterunków, bez wyraźnego określenia celu, w jakim te informacje mam zbierać – mówi jeden z uczestników akcji. – Moje rozpoznanie trwało od [...] drugiej połowy stycznia do drugiej połowy maja. [...] w tym czasie mieszkałem w domu przy ulicy Księdza Botkiewicza. Pod pozorem spacerów z narzeczoną dokonywałem obserwacji terenu”⁴.

Akowcy wiedzieli, że na 25 maja przygotowywany jest transport rembertowskich więźniów do ZSRS. I postanowili ich uwolnić. To był, oczywiście, główny cel akcji. Ponadto sądzili, że w obozie więziony jest b. komendant Obwodu „Mewa-Kamień” Ludwik Wolański „Lubicz”

¹ Obóz został utworzony przez Sowietów najprawdopodobniej na przełomie 1944 i 1945 r. w byłej fabryce amunicji „Pocisk 2” w Rembertowie. Doskonała lokalizacja na skraju lasu oraz infrastruktura fabryki (szczególnie linia kolejowa) pomagała w adaptacji tego terenu na miejsce odosobnienia oraz przetrzymywania do czasu wywozu na Syberię. Mimo że był to obóz przejściowy, warunki w nim panujące były równie trudne jak w innych obozach. Dowodem na to mogą być lakoniczne zapiski w liście do bliskich jednego z więźniów, Stanisława Piątkowskiego, który relacjonuje, że panowała tam „[...] nędza kompletna, brud, wszy i głód straszny”, spowodowany bardzo skromnymi posiłkami. „Wyżywienie składało się z wodnistych zup ze śladami kukurydzy lub kaszy – serwowanych dwa razy dziennie – oraz 100 gramów gliniastego chleba”, wspomina inny więzień Jan Zalewski. Powszechną rzeczą był brak podstawowych środków higieny i leków, co w konsekwencji prowadziło do zwiększenia śmiertelności. Warto zauważyć, że jednym z więźniów rembertowskiego obozu był gen. August Emil Fieldorf „Nil”, który został aresztowany w Milanówku w marcu 1945 r. pod zmienionym nazwiskiem Walenty Gdanicki. Wywieziono go do łagru na Syberii 25 marca.

² Akcja Rembertów, *Z obu stron*, Karta nr 2, Warszawa 1991, s. 94.

³ *Ibidem*, s. 95.

⁴ OKŚZpNP w Warszawie, S 5/00/ZK, Akta śledztwa w sprawie obozu w Rembertowie, Protokół przesłuchania świadka [nazwisko świadka do wiadomości komisji], t. 9, s. 1612.

(okazało się jednak, że został on zamordowany już w grudniu 1944 r.). Tuż przed samą akcją dowódca oddziału – twierdzi jeden z jej uczestników – miał powiedzieć swoim podkomendnym, że muszą rozbić obóz NKWD w Rembertowie, ponieważ jest tam przetrzymywany jego przyjaciel ppor. Stanisław Maciejewski „Kozuszek”⁵, który przed aresztowaniem był komendantem Ośrodka IV Obwodu Mińsk Mazowiecki AK „Mewa-Kamień”. Kapitan Suda wspomina: „Na dzień przed akcją w Rembertowie wysłałem do obozu informację, którą przekazano [...] »Kozuszkowi«, więzionemu w obozie. Informując go o przygotowywanej akcji, prosiłem, by wtajemniczył zaufanych więźniów. Wiem, że informacja doszła do adresata”⁶. Również ci Polacy, do których nie dotarła ta wiadomość, wyczuwali, że coś „wisi w powietrzu”. Jeden z nich, Alfred Grabowski, zapisał w swoich wspomnieniach: „20 maja [...] przed południem na teren apelowy weszło kilku enkawudzystów i kazali nam wejść do swoich pomieszczeń, które zamknęły i zaparły sztabami drzwi. Tak przesiedzieliśmy aż do apelu wieczornego, na który zostaliśmy wypuszczeni. Obiadową zupkę i herbatkę kolacyjną podano nam, otwierając tylko drzwi. Pamiętam, że na apelu komendant wszystkich kompanii meldował stan obozu i podał ilość więźniów ok. 1950”⁷. Jak się bowiem okazało, mjr Kruczkin⁸, zastępca komendanta obozu kpt. Aleksandrowa⁹, został ostrzeżony przez zastępcę wydziału operacyjnego, że Polacy mogą próbować uwolnić więźniów¹⁰. Można jednak sądzić, że Rosjanie nie przywiązywali do tego ostrzeżenia większej wagi, skoro nie tylko ci, ale również inni oficerowie NKWD z rembertowskiego obozu przyjęli od komendanta garnizonu praskiego zaproszenie na bankiet, który został zorganizowany w nocy z 20 na 21 maja 1945 r. w Kawęczynie, oddalonym o 2 km od obozu. A właśnie na tę noc akowcy zaplanowali odbicie więźniów”¹¹.

Oddział ppor. Wasilewskiego „Wichury” wyruszył z Mińska Mazowieckiego w nocy z 17 na 18 maja 1945 r. i dotarł do wsi Zastawie k. Długiej Kościelnej. W nocy z 19 na 20 maja dołączyła do niego grupa dywersyjna ppor. Świderskiego „Wichra”. W tym momencie oddział liczył 44 ludzi. Został on podzielony na trzy grupy: szturmową (dwunastoosobową), wsparcia (trzynastoosobową) i ubezpieczeniową, która składała się z dwóch pododdziałów (siedmio- i dwunastoosobowego). Pierwsza miała wejść do obozu przez bramę główną i otworzyć baraki, druga – opanować wartownię i podjąć walkę z ewentualną odsieczą z zewnątrz, ostatnia zaś – wejść do obozu przez bramę boczną i zająć się więźniami.

W przeddzień akcji, około godz. 22, odbyła się krótka odprawa, na której ppor. Wasilewski „Wichura” powiedział: „[...] idziemy na rozbięcie obozu w Rembertowie i jeżeli można, to trzeba zdobyć obóz bez oddania strzału”¹².

⁵ OKŚZpNP w Warszawie, S 5/00/ZK, Akta śledztwa w sprawie obozu w Rembertowie, Protokół przesłuchania świadka [nazwisko świadka do wiadomości komisji], t. 1, s. 170.

⁶ Akcja Rembertów, *Z obu...*, s. 95.

⁷ Wspomnienia A. Grabowskiego z dnia 31 III 2008 (mps w posiadaniu autora artykułu), s. 5.

⁸ Imię nieustalone przez autora.

⁹ Imię nieustalone przez autora.

¹⁰ OKŚZpNP w Warszawie, S 500/ZK, Akta śledztwa w sprawie obozu w Rembertowie. Dokument pochodzi z Centralnego Państwowego Archiwum Armii Sowieckiej. Rozkaz Ludowego Komisarza Spraw Wewnętrznych ZSRS nr 00606 z dnia 31.05.1945 r. dotyczy wyników dochodzenia w sprawie napadu bandy na obóz specjalny NKWD nr 10 w nocy z 20 na 21.05.1945 r., t. 4, s. 686.

¹¹ Por. A. Chmielarz, *Obóz Specjalny NKWD nr 10 – Rembertów*, „Polska Zbrojna” nr 132 (690), Warszawa 9–11 lipca 1993, s. 11.

¹² OKŚZpNP w Warszawie, S 5/00/ZK, Akta śledztwa w sprawie obozu w Rembertowie, Postanowienie o umorzeniu śledztwa z dnia 31.10.2006, t. 26, s. 5016.

Oczywiście, taki scenariusz nie wchodził w rachubę, skoro podejmowano próbę odbicia ok. 2 tys. więźniów, a „nieopodal na Pradze stacjonowały silne, ok. 3-tysięczne oddziały NKWD (m.in. dwie kompanie na ulicy Szwedzkiej)”¹³.

Akcję rozpoczęto między pierwszą a drugą w nocy. Podejście do bramy głównej dokładnie zrelacjonował jeden z uczestników, Albin Wichrowski „Góral”, pisząc: „Do Rembertowa wjechaliśmy wozami przez przejazd kolejowy przy ulicy Kilińskiego. Dojechaliśmy do ulicy Zwycięstwa i tą drogą dotarliśmy pod obóz. [Dalej] pobiegliśmy w kierunku drogi wawerskiej. [Idąc] wzdłuż ogrodzenia, wyszliśmy na polanę znajdującą się przed bramami [...]”¹⁴. W tym też czasie Sowieci zmieniali wartę z podwójnej na zwykłą, co zarazem zmniejszyło ich czujność.

Rozkaz do ataku wydał „Wichura”. Bez większych problemów i żadnych strat Polacy opanowali bramę główną, likwidując przy tym czterech pilnujących ją Rosjan. Nie zlikwidowali natomiast wszystkich wartowników z posterunków i wież, i dlatego zostali ostrzelani z broni maszynowej i obrzuceni granatami. Podczas tej wymiany ognia ranni zostali dwaj żołnierze z oddziału „Wichury”.

Jednocześnie do ataku ruszyła grupa wsparcia, która po chwili zajęła komendanturę składającą się z dwóch pomieszczeń; w jednym z nich zastano sowieckiego oficera moczącego nogi w misce, które mył mu jeden z więźniów. Enkawudzista nie zdążył nawet sięgnąć po broń – został zastrzelony. Partyzanci zabrali stamtąd klucze do baraków.

Tak w czerwcu 1945 r. relacjonowała przebieg wydarzeń jedna z uwolnionych kobiet: „W nocy wpadli chłopcy z lasu do obozu, odryglowując każdą celę, wypuścili nas, wołając: jesteście wolni, uciekać, spieszyć się, bo mało czasu! Oślaniając ogniem rozpylaczy, wypuścili nas przez otwartą bramę. Część ludzi zabrali samochodami, część przedarła się na drugą stronę Wisły łodzią rybacką, a reszta poszła każdy w swoją stronę. Ja skierowałam się w stronę Warszawy przez Wisłę, niezatrzymana przez nikogo”¹⁵. Należy jednak uściślić przytoczone tu informacje: partyzantom nie udało się uruchomić zdobytych w obozie samochodów ciężarowych i nie wszystkie baraki udało się otworzyć.

Więźniowie zareagowali bardzo różnie: niektórzy spośród tych, którzy nie zostali wcześniej wtajemniczeni, nie wiedzieli, co mają robić; inni – czekali na rozwój wydarzeń; jeszcze inni byli tak osłabieni (często w wyniku ciężkich przesłuchań jeszcze przed przywiezieniem do rembertowskiego obozu), że nie mogli uciekać. Byli również tacy, do których pomoc nie nadeszła – partyzanci nie zdołali dotrzeć do baraku nr 11, w którym przebywał m.in. Stanisław Maciejewski „Kozuszek”.

Ze wspomnień Grabowskiego wynika, że również więźniowie, słysząc strzały i okrzyki nawołujące do opuszczenia baraków, sami próbowali wyważać drzwi: „[...] otwarcie drzwi w czasie akcji, a właściwie ich wyważenie, mimo pomocy z zewnątrz, spowodowało wie-

¹³ Por. A. Chmielarz, *Państwo w państwie – w Rembertowie pod Warszawą NKWD zorganizowało obóz nr 10*, „Przeгляд Tygodniowy” 1989, nr 51 (403), s. 14.

¹⁴ Ze źródeł rosyjskich wynika, że partyzanci przybyli dwoma samochodami studebecker oraz byli ubrani w mundury Wojska Polskiego, jednak większość innych źródeł podaje, że dotarli oni w okolicę obozu na wozach-furmankach. Akcja Rembertów, *Z obu...*, s. 98. Zob. OKŚZpNP w Warszawie, S 5/00/ZK, Akta śledztwa w sprawie obozu w Rembertowie. Dokument pochodzi z Centralnego Państwowego Archiwum Armii Sowieckiej. Rozkaz Ludowego Komisarza Spraw Wewnętrznych ZSRS nr 00606 z dnia 31.05.1945 r. dotyczący wyników dochodzenia..., t. 4, s. 686.

¹⁵ OKŚZpNP w Warszawie, S 5/00/ZK, Akta śledztwa w sprawie obozu w Rembertowie, Protokół przesłuchania świadka [nazwisko świadka do wiadomości komisji], t. 6, s. 1065.

le kłopotów i opóźniło możliwość ucieczki, a właściwie ją uniemożliwiło, ponieważ na teren obozu weszli już enkawudziści. Gdy z kilkoma kolegami, m.in. Jerzym Skorupińskim i Wiesławem Grimem, wybiegliśmy na korytarz, równocześnie na wprost nas wybiegł kapitan NKWD z rewolwerem w rękę i strzelił w naszym kierunku. Kula ugodziła najwyższego z nas W. Grima, roztrzaskując mu łuk brwiowy. Rannego wciągnęliśmy do naszej komnaty i położyliśmy, natychmiast stracił przytomność. Sami też wskoczyliśmy na nasze miejsca do spania na pryczach. Po pewnym czasie do sali weszło kilku enkawudzistów uzbrojonych w pistolety i pepesze, powrzeszczeli, przytknęli drzwi i zakazali wychodzenia z pomieszczeń¹⁶.

Partyzanci rozpoczęli odwrót, gdy przybyły sowieckie posiłki. Sygnałem do zakończenia akcji miała być wystrzelona na rozkaz ppor. „Wichury” zielona rakietka. Omyłkowo wystrzelono raketę koloru czerwonego. A to oznaczało, że grupa szturmowa prosi o wsparcie. Na szczęście pomyłka ta nie miała żadnych negatywnych konsekwencji.

Akowcy kierowali oswobodzonych więźniów na północ i wschód, a zarazem przestrzegali ich przed pójściem w stronę Warszawy. Niestety, nie wszyscy posłuchali partyzantów i wielu więźniów zostało złapanych.

Wycofujący się akowcy dotarli do szosy wawerskiej. Tam doszło do krótkiej walki z Sowietami; jeden z Polaków został ranny w stopę.

O 4.30 w pościg za partyzantami i uciekającymi więźniami wyruszył oddział pod dowództwem mjr. Korzenki¹⁷. W pościgu uczestniczyli również rosyjscy żołnierze z ochrony obozu, komendatury Pragi i z dywizjonu przeciwlotniczego, ponieważ partyzantom nie udało się przeciąć kabli telefonicznych i jednostki te zostały szybko zaalarmowane. Użyto również samolotów Po-2, popularnie zwanych „kukuruźnikami”¹⁸, które miały zlokalizować uciekających Polaków. Pościg miała ułatwić sporządzona przez NKWD lista osób zbiegłych z Rembertowa, na której oprócz imienia i nazwiska poszukiwanego umieszczona była data i miejsce urodzenia oraz powiat, z którego pochodzi¹⁹.

O godz. 6 w obozie zorganizowano apel, na którym komendant wewnętrzny obozu, Ukrainiec Goga, poinformował przybyłego oficera NKWD, że stan więźniów wynosi ok. 1350 osób²⁰. Dzień wcześniej, również podczas porannego apelu, stan osobowy więźniów wynosił ok. 1950 osób; wynika z tego, że oswobodzonych zostało ok. 600 Polaków. Źródła sowieckie informują o 466 uwolnionych. Grabowski wspomina, że udało mu się doliczyć ok. 290 przywiezionych do obozu złapanych więźniów, dodając jednak, że „prawdopodobnie przywieziono jeszcze kilkunastu lub kilkudziesięciu złapanych, których nie zaobserwowałem”²¹.

¹⁶ Wspomnienia A. Grabowskiego..., s. 5.

¹⁷ Imię nieustalone przez autora. W skład oddziału wszedł 3. batalion i grupa manewrowa 2. pułku pogranicznego NKWD.

¹⁸ Por. A. Kulesza, *Obóz specjalny nr 10*, „Nasz Dziennik”, 21–22 maja 2005, s. 19.

¹⁹ Można więc wyciągnąć wniosek, że w obozie prowadzona była ścisła ewidencja przetrzymywanych tam więźniów. Por. OKŚZpNP w Warszawie, S 5/ 00/ZK, Akta śledztwa w sprawie obozu w Rembertowie, Notatka służbowa S. Kalbarczyka na temat dokumentów z zespołu: Oddział VI Sztabu Naczelnego Wodza w Centralnym Archiwum Wojskowym..., t. 11, s. 2069.

²⁰ Mówi o tym A. Grabowski. Cały obóz nazywano umownie batalionem. Dzielił się on na kompanie po 250 osób, zaś kompania na 5 plutonów po 50 osób, a pluton na 3 drużyny, na czele których stawali więźniowie. Komendantem obozu (wewnętrznym) był więzień Goga (imię nieustalone przez autora), potężnej budowy, wysoki, łysy prawie pięćdziesięcioletni mężczyzna.

²¹ Wspomnienia A. Grabowskiego..., s. 6

Wielu uciekinierów zamordowano poza obozem w pobliskim lesie. Potwierdza to Grabowski: „Zapamiętałem doskonale fakt zabicia więźnia tuż po przywiezieniu przez polskich żołnierzy. Kierownik konwoju wszedł na chwilę do komendatury, zaraz wyszedł i powleczono biedaka do zagajnika oddalonego o ok. 50–80 m, gdzie wykonywano wyroki na więźniach. Biedak szarpał się, wrywał, krzyczał, ale to nic nie pomogło, prowadziło go, a właściwie ciągnęło 4 konwojentów. Za chwilę usłyszeliśmy serie z automatu i krzyk ucichł. Po kilku minutach sami konwojenci wrócili do komendatury”²². Później wykorzystywano więźniów do zidentyfikowania pomordowanych ludzi. Jednym z nich był ojciec Grabowskiego, który powiedział mu, że widział ok. 35 ciał.

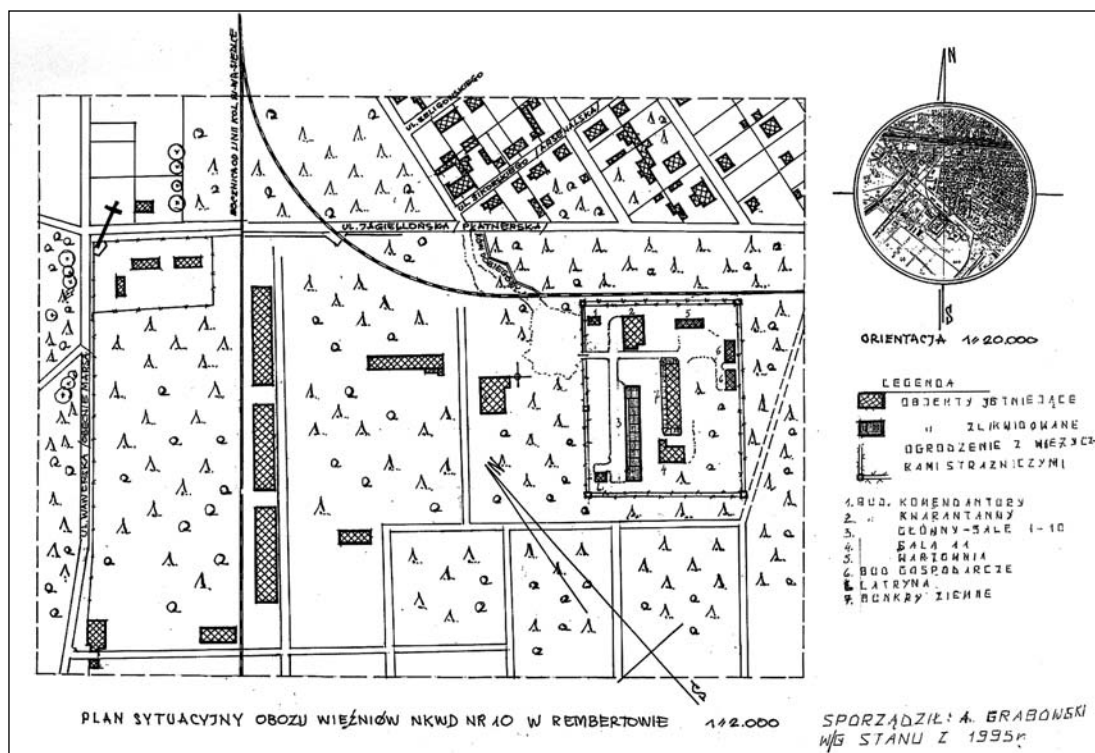
O tym, co działo się w obozie, wiemy m.in. z meldunku (z 1945 r.), który dotarł do kierownictwa Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj. Nieznany nam autor relacji zapisał: „Rano zaczęła się martyrologia tych, którzy zostali złapani z powrotem. Przyprawiano przed sztab ludzi partiami, najpierw 20. Zdarto z nich ubranie. Walono kolbami do tego stopnia, że trzy karabiny połamali w drzazgi na głowach nieszczęsnych. Sześć osób zakatowano na śmierć, jednego zastrzelili *bojecz* w końcu ganku serią naboju. Bili żelazem do nieprzytomności. Jednemu z więźniów skakał po piersiach olbrzymi kucharz, łamiąc mu żebra i odbijając nerki. [...] Przez cztery dni nie mieliśmy dostępu do chorych, dopiero później przekradliśmy się do tzw. izby chorych (ciemny budynek, maleńkie okienka, ściany na zewnątrz posmarowane smołą), umieszczono tam ok. 80 pobitych, z których 3–4 umierało dziennie. Przez trzy dni nie dawano im nic jeść, zdarto z nich wszystko i podzielono między siebie”²³. Leżeli oni, często nieprzytomni, na pryzkach, nie mając opieki medycznej. Sowieci urządzali więźniom również tzw. ścieżki zdrowia. Ustawiano ich w rzędzie, po czym podchodził do każdego z nich strażnik i bił rurką, gdzie popadnie. Później funkcjonariusze więzienni, więźniowie rosyjscy i ukraińscy, uzbrojeni w metalowe rurki i deski z gwoździami, ustawili się w dwóch szeregach. Więźniom kazali po kolei przechodzić między nimi i bili ich do nieprzytomności. Jeden z uczestników tych wydarzeń wspomina: „[...] starałem się przebiec szybko, nic mi to nie dało, bo jeden krzyknął *zwodnyj komandir* i wpadli za mną do pomieszczenia i bili tam aż straciłem przytomność”²⁴. W wyniku bestialskich pobić zmarło ponad dwudziestu więźniów. „Tego dnia, tj. 21 V, zmasakrowano przeszło 100 osób. Widok był makabryczny. Podłoga zalana krwią oraz leżących nieprzytomnych ludzi, których z powodu połamania rąk i nóg trzeba było układać na pryzkach. Po masakrze oficerowie sowieccy kazali iść przed studnie i zmyć krew. Przez trzy dni nikt nie otrzymał żadnego opatrunku, dopiero czwartego dnia przybył sanitariusz sow[iecki] z dwiema sanitariuszkami, którzy tylko ciężko pobitych prymitywnie opatrzyli. Dopiero następnego dnia lekarz więzienny dr Zienkiewicz dokonał solidnych opatrunków oraz poukładał połamane ręce i nogi w »szyny«. Robił to wszystko w miarę dostarczania środków, których wcale nie było dużo [...]. Przez szereg dni nad więźniami wisiała groźba masowego rozstrzelania, lecz później kurs złagodniał”²⁵.

²² *Ibidem*, s. 6–7.

²³ S. Kalbarczyk, *Spotkanie Klubu Grota poświęcone specjalnemu obozowi NKWD nr 10 w Rembertowie w Łodzi*, <http://www.ipn.gov.pl/wai.pl/82/4543>, s. 5.

²⁴ OKŚZpNP w Warszawie, 5/00/ZK, Akta śledztwa w sprawie obozu w Rembertowie, Protokół przesłuchania świadka [nazwisko świadka do wiadomości komisji], t. 2, s. 238.

²⁵ OKŚZpNP w Warszawie, S 5/00/ZK, Akta śledztwa w sprawie obozu w Rembertowie, Notatka służbowa S. Kalbarczyka na temat dokumentów z zespołu: Oddział VI Sztabu Naczelnego Wodza w Centralnym Archiwum Wojskowym..., t. 11, s. 2066–2067.



Kilka dni później przybyła komisja NKWD, która miała zbadać okoliczności rozbicia obozu. Zapowiedziała ona, że mjr Kruczkin i kpt. Aleksandrow zostaną przeniesieni. Rzeczywiście, oni odjechali, a na ich miejsce przyjechał nowy major z własnym personelem²⁶. Szef NKWD Ławrientij Beria w swoim raporcie pokontrolnym stwierdził: „[...] wbrew zaleceniom zastępcy komendanta ds. operacyjnych, major Kruczkin, komendant garnizonu do spraw obrony obozu – porucznik Samochin i zastępca komendanta batalionu 332. specjalnych wojsk konwojowych NKWD – kapitan Drankin – odpowiedzialny za obronę obozu, nie podjęli żadnych działań zmierzających do podwyższenia gotowości bojowej oraz czujności”²⁷.

Udana akcja oddziału „Wichury” skompromitowała NKWD i zapoczątkowała proces stopniowej likwidacji obozu. Jednak w tym końcowym okresie sytuacja była tak dramatyczna, że z głodu i biegunki umierało „ok. 13–15 osób dziennie, których chowano w pobliskim lesie, a na mogiłach sadzono drzewa dla zatarcia śladów zbrodni”²⁸. Pozostałych więźniów,

²⁶ *Ibidem*, s. 2067–2068.

²⁷ OKŚZpNP w Warszawie, S 5/00/ZK, Akta śledztwa w sprawie obozu w Rembertowie, Dokument pochodzi z Centralnego Państwowego Archiwum Armii Sowieckiej. Rozkaz Ludowego Komisarza Spraw Wewnętrznych ZSRS nr 00606 z dnia 31.05.1945 r. dotyczący wyników dochodzenia..., t. 4, s. 686–687.

²⁸ Por. A. Chmielarz, *Państwo w państwie...*, s. 14.

w liczbie ok. 1000, wywieziono 4 lipca 1945 r. do sowieckiego obozu przy ulicy Słonecznej w Poznaniu²⁹. Część z nich przekazano do więzienia we Wronkach, a część do Łodzi, skąd miano ich deportować przez Wilno w głąb Związku Sowieckiego. Prawdopodobnie na początku lipca w obozie NKWD nr 10 w Rembertowie nie było już Polaków, pozostali tam jedynie własowcy i volksdeutsche³⁰.

Edward Wasilewski „Wichura”, rocznik 1923, harcerz z miasteczka Stanisławów w powiecie Mińsk Mazowiecki, uczestnik konspiracji niepodległościowej od grudnia 1939 r., początkowo w szeregach KOP i Szarych Szeregów, następnie w ZWZ-AK. Żołnierz Kedywu i oddziału partyzanckiego Obwodu „Mewa-Kamień”, uczestnik wielu akcji bojowych. Absolwent konspiracyjnego kursu podchorążówki, w końcowym okresie wojny awansowany do stopnia podporucznika. Po rozbrojeniu oddziałów AK przez armię sowiecką wywieziony przez NKWD do obozu na Majdanku, skąd zdołał uciec i powrócił do konspiracji. W lutym 1945 r. na rozkaz komendanta Obwodu Mińsk Mazowiecki, kpt. Walentego Sudy „Młota”, utworzył oddział partyzancki i rozpoczął działania z zakresu samoobrony. Najśłynniejszą jego akcją było rozbitcie obozu NKWD w Rembertowie. Ujawnił się wraz z podkomendnymi przed władzami komunistycznymi 25 IX 1945 r. na koncentracji w lesie pod wsią Wola Rafałowska. Aresztowany przez UB 26 III 1946 r. pod nieprawdziwym zarzutem kontynuowania konspiracji, został po roku – wobec braku jakichkolwiek dowodów „winy” – zwolniony.

Zwerbowany jako agent bezpieczeństwa we wrześniu 1950 r. – w zamian za uzyskanie upragnionej posady dziennikarza w piśmie „Wola Ludu”. Występując pod kolejnymi kryptonimami „Huragan”, „Ramzes”, „Wierny”, „Pewny”, „Znak”, „M” i „A” – Wasilewski wyzbył się początkowych skrupułów, okazując wybitną aktywność w rozpracowywaniu ludzi służących niegdyś w tych samych szeregach co on, wydatnie przyczyniając się do ich likwidacji lub schwywania przez bezpiekę. Za swą pracę pobierał wynagrodzenie pieniężne. Występując jako prowokator – emisariusz rzekomej organizacji konspiracyjnej działającej z ramienia „Londynu” – doprowadził m.in. do likwidacji oddziału Jana Kmiołka oraz jednej z grup partyzanckich na Podlasiu. Uczestniczył w prowokacji „V Komendy WiN” i rozpracowaniu Kazimierza Kamieńskiego „Huzara”. Lista jego „zasług” w służbie MBP jest bardzo długa (teczka pracy – to kilka potężnych tomów donosów). W końcu zaczął się utożsamiać ze swymi mocodawcami, składając doniesienia nawet na dawnych przełożonych i towarzyszy broni z konspiracji i partyzantki w latach okupacji niemieckiej. Po dziesięciu latach intensywnego wykorzystywania przez MBP uległ jednak całkowitemu wyeksploatowaniu – i w związku z nieprzydatnością do dalszej pracy operacyjnej został w kwietniu 1960 r. wyłączony z sieci agenturalnej. W latach sześćdziesiątych pracował w prasie kobiecej, gdzie pod pseudonimem „Ewa” udzielał czytelniczkom różnorodnych życiowych porad.

W pierwszym dniu inwazji wojsk ZSRS i Układu Warszawskiego na Czechosłowację – 22 sierpnia 1968 r. – redaktor Edward Wasilewski poniósł śmierć, wypadając przez okno na warszawski bruk.

²⁹ Por. S. Kalbarczyk, *op.cit.*, s. 5.

³⁰ Por. A. Chmielarz, *Państwo w państwie...*, s. 14.

RZESZOWSKA GOLGOTA

Na mocy porozumienia z 26 lipca 1944 r. między PKWN a rządem ZSRS, na zajmowanych przez Armię Czerwoną ziemiach polskich znajdujących się w strefie działań wojennych, położonych na zachód od tzw. linii Curzona, „władza najwyższa i odpowiedzialność we wszystkich sprawach dotyczących prowadzenia wojny” miała się koncentrować „w ręku wodza naczelnego wojsk sowieckich”, tj. Józefa Stalina. Oznaczało to, że ludność polska na tych terenach – zarówno osoby cywilne, jak i żołnierze AK – podlegała jurysdykcji sowieckich sądów wojskowych¹. W ostatnich dniach lipca 1944 r. wojska sowieckie I Frontu Ukraińskiego wkroczyły na tereny Rzeszowszczyzny.

Z chwilą wkroczenia Armii Czerwonej dowództwo Podokręgu AK Rzeszów przystąpiło do realizacji planu „Burza”. Mimo pomocy, jakiej Armia Krajowa udzieliła Sowietom, przekazując im informacje o rozlokowaniu wojsk niemieckich oraz współdziałając w walce z Niemcami, ujawnieni i zdekonspirowani żołnierze AK bardzo szybko stali się obiektem represyjnych działań sowieckiego kontrwywiadu wojskowego („Smersz”) oraz NKWD. Aresztowani akowcy trafiali m.in. do obozu we wsi Trzebuska nieopodal Sokołowa Małopolskiego².

Na podstawie relacji świadków ustalono, że obóz w Trzebusce funkcjonował od 15 sierpnia do połowy listopada 1944 r. Był to obóz przejściowy, w którym aresztowanych przetrzymywano przez krótki czas. Obóz zlokalizowano na pastwisku gminnym w Trzebusce, a jego załogę stanowili funkcjonariusze NKWD podlegający pod jednostkę stacjonującą przy sztabie I Frontu Ukraińskiego Iwana Koniewa³. Więźniami obozu w Trzebusce byli w przeważającej liczbie Polacy, żołnierze AK – w tym również z terenu Obszaru Lwowskiego oraz osoby cywilne – którzy szli na odsiecz powstańczej Warszawie. Wszyscy oni zostali schwytani w drodze i rozbrojeni. Wśród więźniów obozu byli również dezercerzy z „ludowego” Wojska Polskiego oraz żołnierze sowieccy.

Sąd znajdujący się w obozie orzekał różnie, skazani m.in. byli przymusowo kierowani do armii Berlinga, na wywózki w głąb ZSRS lub otrzymywali karę śmierci⁴. Straceń dokonywano w lasach Turzy, oddalonej od Trzebuski zaledwie 3 km⁵.

Teren pastwiska gromadzkiego o pow. ok. 50 arów, na którym znajdował się były Dom Spółdzielczy, ogrodzono drutem kolczastym. Wykopano tam pięć ziemianek wielkości

¹ P. Ożóg, *Obóz NKWD w Trzebusce*, [w:] „Rocznik Sokołowski”, nr 6, Sokołów Małopolski 2004, s. 39–40; K. Kamiński, *Katyń pod Rzeszowem*, „Wieści” 1990, nr 129, s. 5.

² D. Garbacz, A. Zagórski, *W kleszczach czerwonych*, Brzozów–Rzeszów 1991, s. 12–13, 74–75; G. Ostasz, A. Zagórski, *Akcja „Burza” w Inspektoracie AK Rzeszów*, Kraków 2003, s. 5–6.

³ AIPN Rzeszów, sygn. 16/04/Zk, t. I. Protokół przesłuchania świadka Jana Chorzępy z 6 X 1989 r., s. 25; P. Ożóg, *op.cit.*, s. 50 i in.; J. Klich, *Między mitem a prawdą*, „Nowiny” 1990, nr 129, s. 5.

⁴ W. Szczepański, *Wspomnienia. Lipiec 1944–grudzień 1957*, oprac. i red. nauk. T. Bereza, M. Gliwa, Rzeszów 2008, s. 76.

⁵ J. Klich, *Krzyżujący las*, „Nowiny” 1990, nr 84, s. 3.

6 x 4 m i głębokości 2 m. Ich boczne ściany wyłożono drewnianymi okrągłakami, a stropy, które znajdowały się nieco ponad powierzchnią ziemi, nakryto dachem z desek przysypanych warstwą ziemi. Wejścia do ziemianek prowadziły przez założone w stropach kłapy. Włazy uchylane były do góry i aby wejść lub wyjść, używano drabin, które każdorazowo wpuszczano do środka. Ze stojącego w pobliżu domu została wykwaterowana rodzina Chorzępów. Zamieszkał w nim naczelnik obozu tytułowany „pułkownikiem kompanijnym”. W drugim obejściu mieszkała pięćdziesięcioosobowa grupa żołnierzy stanowiących straż obozu, którego pilnowali w dzień i w nocy, nie pozwalając na jakikolwiek kontakt z uwięzionymi. Pozostali oficerowie NKWD byli zakwaterowani w okolicznych domach. Całość pastwiska, od brzegu okalającej rzeczki, przez podwórze zabudowań rodziny Baków, południową granicę posesji Chorzępów znów ku rzece, opasano dwumetrowej wysokości ogrodzeniem z drutu kolczastego. Nocą obóz był patrolowany przez wartowników z psami. Zadaniem żołnierzy było doprowadzanie więźniów na przesłuchania lub sądy⁶.

Obóz był gotowy w ciągu tygodnia, w tym czasie wysiedlono mieszkańców najbliższej położonych budynków. Jednych gospodarzy usuwano do stajni lub na strych, inni mogli mieszkać w kuchni, z obowiązkiem usługiwania stacjonującym w ich domach oficerom NKWD⁷.

Obozową codziennością był strach, niepewność jutra i brak jakichkolwiek kontaktów ze światem zewnętrznym. W ziemiankach panowała ciemność, zaduch i ciasnota, właz wejściowy był zarazem oknem i wywietrznikiem. Na ziemi rozrzucono siano z dużego stogu stojącego pośrodku obozu. Ziemianki mogły pomieścić około dwudziestu, śpiących jeden obok drugiego, więźniów. Miejsca było tyle, że można było leżeć tylko na jednym boku⁸.

W byłym Domu Spółdzielczym panowały warunki podobne do tych w ziemiankach – okna zabito deskami, dopływ powietrza był niewielki, w drzwiach wycięto wizjery. Wewnątrz budynku znajdowały się z cztery pomieszczenia, m.in. sala boczna, sklep, magazyn i sień. Na betonowych podłogach leżało siano. W budynku tym stale więziono ok. 150–200 osób.

Rotacja w obozie była bardzo duża, pobyt w nim trwał nie dłużej niż miesiąc⁹. Szacuje się, że jednorazowo w obozie trzymano 250 więźniów i że przez obóz przeszło ok. 1700–2500. Zamordowano przypuszczalnie 300 skazańców.

Więźniów wyprowadzano trzy razy dziennie: o świcie i wieczorem na mycie oraz w południe na dwudziestominutowy spacer. Co dziesięć dni osadzonych zabierano do łaźni, a ich rzeczy do prania, przy okazji wszystkim strzyżono głowy i brody¹⁰. W pobliskim potoku zainstalowano pompę, która czerpała wodę do mycia. Nie było, oczywiście, żadnych sanitariatów i latryn, a potrzeby fizjologiczne więźniowie załatwiali czwórkami nad wykopanym uprzednio rowem, nad którym umocowano żerdź. Wyżywienie składało się z gorzkiej herbaty, która była wywarem z żołądźi, gałązek i ziół, kromki chleba oraz rzadkiej zupy z kawałkami ziemniaków i makaronu, nalewanej na blaszane talerze. Kuchnia połowa mieściła się w pobliskich zabudowaniach oddalonych od obozu o ok. 150 m.

⁶ AIPN Rzeszów, sygn. 16/04/Zk, t. I. Protokół przesłuchania świadka Jana Chorzępy z 6 X 1989 r., s. 25–26; S. Socha, *Czerwona śmierć, czyli narodziny PRL*, Stalowa Wola 2000, s. 43.

⁷ K. Kamiński, *Katyń pod Rzeszowem*, „Wieści” 1990, nr 4, s. 1–3.

⁸ AIPN Rzeszów, sygn. 16/04/Zk, t. I. Protokół przesłuchania świadka Jana Chorzępy z 6 X 1989 r., s. 25, oraz Michała Sobienia z 13 II 1990 r., s. 114.

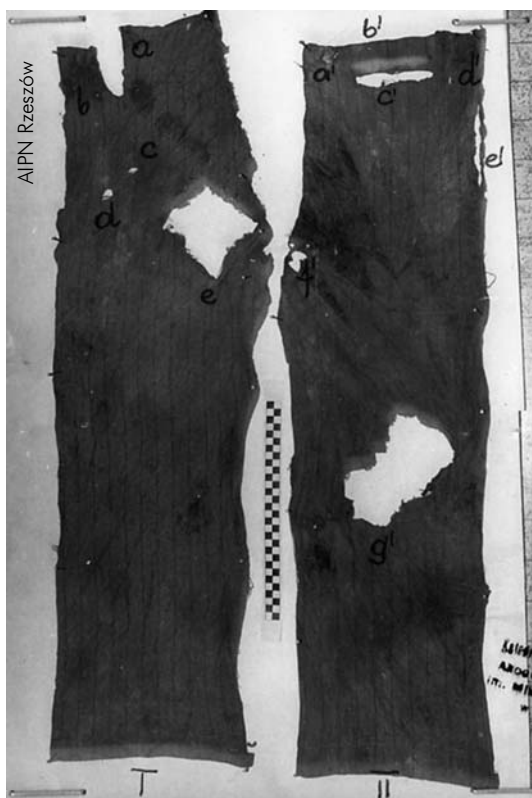
⁹ J. Klich, *Tajemnica Trzebuski i Turzy. Obozowa codzienność*, „Nowiny” 1990, nr 79, s. 3.

¹⁰ M. Sobięń, *Przeżycia akowca od sierpnia 1944 do listopada 1947*, [w:] „Studia Rzeszowskie”, t. I, Rzeszów 1995, s. 145.

Przesłuchania odbywały się w kilku domach we wsi i trwały od kilku do kilkunastu godzin. Przeprowadzali je oficerowie NKWD, zmieniający się co pewien czas¹¹. Niektórzy więźniowie poddawani byli psychicznym torturom – kazano im kopać grób w turzańskim lesie, następnie musieli stanąć nad brzegiem dołu, po czym odczytywano im wyrok śmierci. Strzały, które padały w powietrze ponad ich głowami, miały zastraszyć więźniów i wymusić zeznania¹².

Rozprawy odbywały się w Domu Spółdzielczym, a sędziami byli oficerowie NKWD, którzy mieszkali na miejscu lub dojeżdżali na teren obozu (przeważnie w czwartki)¹³. Więźniowie po wyroku nie wracali do swoich ziemianek. Tych, których skazano na śmierć, przenoszono do ziemianki nr 1, która znajdowała się przy bramie i wartowniach. Pozostałych wywożono do łagrów rozsianych po całym ZSRS. W czwartki, około południa, nad uchyloną klapą ziemianki oficer odczytywał wyroki.

Wywózki skazańców odbywały się wieczorem tego samego dnia, w całkowitych ciemnościach¹⁴. Więźniów ładowano na samochód ciężarowy. Mieli związane do tyłu ręce, byli nadzy lub w niekompletnej bieliźnie. Siedzieli na podłodze ciężarówki, eskortowani przez siedzących po obu stronach samochodu wartowników z pepeszami. Za samochodem ciężarowym podążała w osobowym łaziku asysta – czterech oficerów. Światła łazika oświetlały z tyłu drogę, uniemożliwiając więźniom ewentualną ucieczkę. Pojazdy kierowały się w stronę lasu w Turzy, do Trzebuski nie wracały. Egzekucji dokonywano na miejscu. Ofiary w chwili mordu stały lub klęczały nad brzegiem mogiły. Pozabawiano ich życia strzałem w tył głowy (w jednym przypadku oddano cztery strzały). Ręce ofiar były krępowane kablem telefonicznym, paskiem skórzanym lub sznurem.



Fragmenty nogawek, wydobyte podczas ekshumacji, którymi obwiązywano skazanym szyję (z wyraźnie widocznymi nacięciami)

¹¹ J. Klich, *Droga do Trzebuski. Z Trzebuski na wschód. Adiutant generała wspomina*, „Nowiny” 1990, nr 148, 149, s. 3; S. Socha, *op.cit.*, s. 45.

¹² J. Klich, *Próby śmierci w turzańskim lesie*, „Nowiny” 1990, nr 191, s. 2.

¹³ J. Piekarczyk, S.M. Jankowski, *Las Turzański*, „Przekrój” 1990, nr 2347, s. 5; S. Socha, *op.cit.*, s. 45.

¹⁴ S. Socha, *op.cit.*, s. 43; J. Klich, *Tajemnice Trzebuski...*, „Nowiny” 1990, nr 83, s. 5.

W niektórych przypadkach stwierdzono, że skazańcom odebrano życie najprawdopodobniej za pomocą noża, bagnetu bądź też innego ostrego narzędzia. Ofiarom wiązano na szyjach strzepy ich własnych ubrań. W materiał wbijano nóż, który docierał do szyi, uśmiercając skazańca. W ten sposób oficerowie NKWD nie brudzili sobie mundurów krwią. Potwierdza to relacja Jana Chorzępy, któremu będący pod wpływem alkoholu komendant obozu zwierzył się: „[...] że zdaje sobie sprawę, że Bóg zabrania tego robić, ale on musi, bo tak każe Stalin. Dodał jeszcze, że nabój kosztuje kopiejkę, dlatego muszą ludzi »rezać« i ręce ma całe we krwi”¹⁵. Kolejnej relacji dostarczyła Anna Nowak z Trzebuski, w której domu mieszkał oficer sowiecki w stopniu majora: „Mąż zauważył, że major ostrzy u siebie nóż, który zawsze nosił przy szerokim pasie spodni. Nóż ten był w pięknej złoczonej oprawie, miał długość około 30 cm, a na końcu był lekko zakrzywiony. Któregoś dnia major wyszedł z naszego domu i oprócz hełmu na głowie był zupełnie nagi. Był pijany i strzelał z pistoletu do ścian. Mąż zwrócił się do niego z pytaniem: »Co pan robi?«, a wówczas on odpowiedział: »Mam całe ręce we krwi«”¹⁶. Hipotezę dotyczącą sposobów mordu potwierdziły także oględziny dokonane jeszcze w 1944 r. przez żołnierzy AK, jak również ekshumacja szczątków ofiar przeprowadzona na początku lat dziewięćdziesiątych. Ciała pomordowanych ułożone były w trzech warstwach, a mogiły starannie zamaskowano mchem i igliwem. Często zdarzało się, że na grobach sadzono drzewka.

Mord w Turzy porównywany jest do zbrodni dokonanej w Katyniu. Samo miejsce kaźni wymownie nazwane jest „małym Katyniem”. Technika mordu w Turzy nie różniła się (poza przypadkami mordowania za pomocą ostrego narzędzia) w sposób istotny od metody zastosowanej przez oprawców sowieckiego aparatu bezpieczeństwa w Katyniu, Twerze czy Charkowie. Porównując wszystkie wymienione miejsca kaźni, wyłania się pewien standard dokonywania mordów przez organy bezpieczeństwa państwowego ZSRS. Największy nacisk kładziono na skuteczność, stąd chętnie stosowaną metodą egzekucji był strzał z broni krótkiej w tył głowy, dający największą pewność natychmiastowego uśmiercenia. Egzekucji dokonywano w pobliżu, względnie nad wcześniej wykopanym dołem. Brak śladów przedśmierтной walki nasuwał przypuszczenie, że ofiary musiały być obezwładnione przed śmiercią. Skrępowanie rąk z tyłu wyjaśniano prewencją stosowaną wobec ofiar młodych i silnych fizycznie. Egzekucji dokonywano w zalesionych terenach, w miejscu całkowicie niedostępnym dla postronnych świadków. W lesie turzańskim, podobnie jak w katyńskim, mordercy starali się jak najdokładniej zatrzeć miejsce zbrodni, zasadzając drzewa na grobach ofiar¹⁷.

Wśród więźniów Trzebuski znaleźli się m.in. oficerowie Sztabu Okręgu AK Lwów, aresztowani w końcu lipca 1944 r. w Żytomierzu. W wysiedlonych domach w pobliżu obozu przetrzymywano gen. Władysława Filipkowskiego „Janka”, komendanta Obszaru Południowo-Wschodniego AK, oraz jego adiutanta ppor. Zygmunta Łanowskiego „Damiana”. Więziono także innych oficerów lwowskiego AK – zastępcę gen. Filipkowskiego, płk. Franciszka Studzińskiego „Rawicza”, komendanta Okręgu AK Lwów płk. Stefana Czerwińskiego

¹⁵ AIPN Rzeszów, sygn. 16/04/Zk, t. I. Protokół przesłuchania świadka Jana Chorzępy z 6 X 1989 r., s. 27; S. Socha, *op.cit.*, s. 43–44; H. Solarewicz, *Obóz NKWD–Trzebuska 1944. Relacja prokuratora*, [w:] *Studia Rzeszowskie*, t. II, 1995, s. 260–261; J. Piekarczyk, S.M. Jankowski, *op.cit.*, s. 5.

¹⁶ AIPN Rzeszów, sygn. 16/04/Zk, t. I. Protokół przesłuchania świadka Anny Nowak z 7 XI 1989 r., s. 41.

¹⁷ A. Paul, *Katyn. Stalinowska masakra i triumf prawdy*, Warszawa 2006, s. 137–139.

fot. M. Kalisz



Pomnik i grób w Turzy. Stan z 2008 r.

„Karabina”, szefa sztabu i Oddziału II ppłk. Henryka Pohoskiego „Walerego”. Delegacja Komendy Obszaru Lwów została wezwana na rozmowy przez stronę sowiecką do Żytomierza. Zaproszenie to przywiózł płk Wiktor Grosz, który był wysłannikiem gen. Roli-Żymierskiego. Rozmowy miały dotyczyć uzgodnień włączenia V Dywizji Piechoty AK do wspólnej walki z Niemcami. W Żytomierzu delegacja ta spotkała się z gen. Żymierskim i ppłk. Marianem Spychalskim oraz oficerami NKWD, z generałem lejtnantem Siergiejem Szatiłowem na czele. Rozmowę prowadzili wyłącznie oficerowie NKWD.

W nocy gen. Filipkowski oraz towarzyszący mu oficerowie zostali aresztowani. Następnie drogą przez Kijów przewieziono ich do obozu NKWD w Trzebusce, dokąd dotarli w sierpniu 1944 r. Tam rozdzielono ich i intensywnie przesłuchiowano. Na początku września 1944 r. wszyscy zostali przewiezieni przez Lwów do obozu w Charkowie. Wszyscy oficerowie powrócili do kraju pod koniec lat czterdziestych.

Wśród więzionych znajdowali się również m.in.: Michał Sobień, żołnierz AK z Munina; Zdzisław Baran, kapitan Straży Pożarnej aresztowany w Jarosławiu; hrabia Jan Drohojowski spod Jarosławia; Szczepan Bajerski z Jarosławia, st. wachmistrz kawalerii; Władysław Haduch, wicestarosta z Sanoka. Wśród więźniów Trzebuski dominowali żołnierze sowieccy. Michał Sobień wspomina: „Tu, prócz wszelkiego rodzaju cierpień, jakie człowiek może wyrządzić swojemu bliźniemu, to miałem możliwość obserwowania swych współtowarzyszy. Był to przekrój całego społeczeństwa sowieckiego od Dniepru po Władywostok i od lodowej północy aż po Kaukaz. Był to duży materiał porównawczy, bo przez tę ziemiankę

w ciągu miesiąca przesunęło się dość dużo tych, którzy podpadli w niezgodność z literą prawa i czekali cierpliwie na orzeczenie »Sądu Polowego«, którego cechowała bezwzględność¹⁸.

Prawdopodobnie po przeprowadzonej przez żołnierzy AK akcji rozrzucenia w okolicy ulotek o zbrodni w turzańskim lesie, obóz w Trzebusce zlikwidowano. Spowodowało to przyjazd gen. Koniewa. Po jego rozmowie z komendantem obóz przestał istnieć, a ślady po jego istnieniu starannie zartarto¹⁹.

Na początku lat dziewięćdziesiątych w wyniku śledztwa, które prowadziła Prokuratura Wojewódzka w Rzeszowie, udało się zlokalizować w Turzy pięć mogił. Wydobyto z nich wówczas szczątki siedemnastu osób. W trzech przypadkach uzyskano wysoce prawdopodobną identyfikację zmarłych. Były to szczątki żołnierzy AK z Placówki w Ropczycach: Zdzisława Łaskowca „Montera”, Zdzisława Brunowskiego „Cygana” i Eugeniusza Zymroza „Macedończyka”.

Rosjanie bardzo szybko i dokładnie zatarli pozostałości po obozie w Trzebusce. Ziemianki, w których przetrzymywano więźniów, zostały przekopane i zasypane, a znajdujące się w nich drewniane okrągłaki wyciągnięto. Nie pozostał żaden materialny ślad po obecności ludzi więzionych w tym miejscu. Prowadzone śledztwo nie zdołało ustalić dokładnej liczby osadzonych i zamordowanych oraz ich danych personalnych. Zebrany materiał nie pozwala ustalić informacji o żołnierzach, którzy nadzorowali działalność obozu, ani tych, którzy byli prokuratorami i sędziami. Odpowiedzi na szereg pytań z pewnością dostarczyć mogą archiwa Kijowa i Moskwy, jednak w latach dziewięćdziesiątych były one niedostępne, co uniemożliwiło kontynuowanie śledztwa i dojście do całej prawdy²⁰. Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu Instytutu Pamięci Narodowej w Rzeszowie 7 maja 2004 r. umorzyła śledztwo²¹.



Gen. Władysław Filipkowski „Cis”, „Janka”

¹⁸ AIPN Rzeszów, sygn. 16/04/Zk, t. I. Protokół przesłuchania świadka Michała Sobienia z 2 II 1990 r., s. 85–86 oraz pisemna relacja Michała Sobienia z 12 II 1990 r., s. 88–93; J. Węgierski, *Armia Krajowa na zachód od Lwowa*, Kraków 1993, s. 181; P. Ożóg, *op.cit.*, s. 58–59; J. Klich, *Tajemnica Trzebuski...*, s. 3.

¹⁹ J. Zagórski, *Egzekucje odbywały się w czwartki*, „Zielony Sztandar” 1990, nr 2, s. 9; S. Socha, *op.cit.*, s. 43.

²⁰ H. Solarewicz, *Obóz NKWD...*, s. 261, 266; J. Klich, *Tajemnice Trzebuski...*, s. 5.

²¹ AIPN Rzeszów, sygn. S 16/04/Zk, t. VII, k. 11. Akta śledztwa.



Zbiorowa mogiła odnaleziona podczas ekshumacji
w Turzy, 1990 r. (AIPN Rzeszów)

WITOLD PILECKI – OCHOTNIK DO PIEKŁA

Dzięki zaangażowaniu i ogromnemu poświęceniu Witolda Pileckiego, „ochotnika do piekła”, konspiracja wojskowa w Auschwitz stała się faktem. Jednak przez długie lata nie wolno było o niej mówić, a jeśli już, to efekty jej działalności przypisywano osobom, które ukradły legendę bohaterskiego rotmistrza. Na nazwisko Pilecki długo obowiązywał zapis cenzury.

Witold Pilecki urodził się 13 maja 1901 r. w Ołońcu na północy Rosji. Był przedstawicielem pokolenia, które wychowane na ciągle żywych tradycjach powstań narodowych, zostało ukształtowane przez zawołanie BÓG – HONOR – OJCZYZNA. Dzieciństwo i wczesną młodość Pilecki spędził w domu rodzinnym w Ołońcu, a następnie w Wilnie, gdzie rozpoczął naukę w szkole handlowej i po raz pierwszy zetknął się z konspiracyjnym skautingiem. Niemal całą I wojnę światową mieszkał w majątku babki w Hawryłkowie na Mohylewsczyźnie i kontynuował naukę w szkole w miejscowości Orzeł. Tam też założył pierwszy zastęp harcerski.

Do zajętego przez Niemców Wilna powrócił jesienią 1918 r. Rozpoczął naukę w Gimnazjum im. Lelewela. Wstąpił do działającej w konspiracji Polskiej Organizacji Wojskowej. Wraz z grupą harcerzy zaciągnął się 20 grudnia do organizowanych przez gen. Władysława Wejtko oddziałów Samoobrony Ziemi Wileńskiej, które przejęły władzę w mieście. Uczestniczył w walkach z dywersantami komunistycznymi, a następnie w obronie Wilna przed nacierającą armią bolszewicką. Po wyparciu przez bolszewików oddziałów Samoobrony z Wilna, nie zaprzestał walki, przyłączając się do dowodzonego przez braci Władysława i Jerzego Dąmbrowskich oddziału kawalerii Samoobrony Wileńskiej. Z tym oddziałem, od marca 1919 r. zatwierdzonym w Wojsku Polskim jako samodzielny Dywizjon Jazdy Wileńskiej, a od czerwca 1919 r. przeorganizowanym w 13. pułk ułanów, zdobywał m.in. Brześć, Lidę, Baranowicze i Mińsk Litewski. Walczył do jesieni 1919 r., kiedy to został zdemobilizowany w celu kontynuowania nauki.

Wobec ponownie nadciągającego od wschodu zagrożenia bolszewickiego, już w lipcu 1920 r. ochotniczo wstąpił do wojska. Tym razem do 201. pułku piechoty, z którym bronił m.in. Grodna. Pod naporem wojsk bolszewickich, razem z oddziałem dotarł do Warszawy, gdzie spotkał swego wcześniejszego dowódcę rtm. Jerzego Dąmbrowskiego. Ten legendarny „zagończyk”, wspólnie z bratem Władysławem, formował wówczas 211. ochotniczy pułk ułanów nadniemeńskich, do którego Witold dołączył 12 sierpnia 1920 r. Jako ułan 3. plutonu 2. szwadronu walczył m.in. pod: Płockiem, Mławą, Chorzelami, Druskiennikami, Stołpami, Kojdanowem. W październiku 1920 r., wraz z pułkiem uczestniczył w wyprawie wileńskiej gen. Lucjana Żeligowskiego. Po zakończeniu kampanii wileńskiej, 1 stycznia 1921 r., starszy ułan Witold Pilecki został zwolniony do cywila znów w celu kontynuowania nauki.

W lutym 1921 r. Pilecki wstąpił do Związku Bezpieczeństwa Kraju, gdzie przeszedł kurs podoficerski. W maju 1921 r. zdał maturę. Rozpoczął studia na Uniwersytecie im. Stefana Batorego w Wilnie, jako słuchacz Wydziału Sztuk Pięknych. Trudne warunki materialne

zmusiły go jednak do przerwania nauki i rozpoczęcia pracy zarobkowej. We wrześniu 1926 r. przejął od rodziców zarządzanie majątkiem Skurcze, który stał się z czasem jednym z najlepiej zarządzanych majątków w powiecie lidzkim.

W 1926 r. otrzymał promocję na stopień podporucznika rezerwy ze starszeństwem od 1923 r. Niemal corocznie uczestniczył w ćwiczeniach rezerwy stacjonującego w Baranowiczach 26. pułku Ułanów Wielkopolskich, a od 1931 r. w Centrum Wyszkozenia Kawalerii w Grudziądzu. Związek małżeński zawarł 7 kwietnia 1931 r. z Marią Ostrowską, z którą miał dwoje dzieci: Andrzeja i Zofię. Za swoje zaangażowanie w sprawy publiczne w 1937 r. otrzymał Srebrny Krzyż Zasługi.

Kampanię 1939 r. rozpoczął 4 września nieopodal Piotrkowa Trybunalskiego. Walczył następnie pod Tomaszowem Mazowieckim i Włodawą. Mimo rozbicia przez Niemców (22 września 1939 r.) 41. Dywizji Piechoty, Pilecki nie złożył broni. Wraz ze swoimi ułanami prowadził walkę partyzancką aż do 17 października 1939 r. Podjął wówczas decyzję o rozwiązaniu oddziału, zakonspirowaniu broni i przedostaniu się do Warszawy, gdzie planował kontynuować walkę.

W Warszawie nawiązał kontakt z mjr. Janem Włodarkiewiczem, z którym podjął tworzenie wojskowej organizacji konspiracyjnej – Tajnej Armii Polskiej. Komendantem utworzonej 9 listopada 1939 r. TAP został mjr Jan Włodarkiewicz „Drawicz”, zaś ppor. Witold Pilecki został szefem sztabu i inspektorem pionu organizacyjnego.

Aresztowania wśród żołnierzy TAP, osadzanie coraz większej liczby osób w założonym przez hitlerowców niemieckim obozie koncentracyjnym w Auschwitz i rozszerzająca się zła opinia tego miejsca, w połowie 1940 r. skłoniły dowództwo TAP do podjęcia decyzji o przeprowadzeniu działań wywiadowczych na terenie obozu. Za wiedzą Komendanta Głównego Związku Walki Zbrojnej, gen. Stefana Roweckiego „Grota”, do wypełnienia tej misji ochotniczo zgłosił się ppor. Witold Pilecki i 19 września 1940 r., podczas łapanki na warszawskim Żoliborzu, pozwolił się aresztować jako Tomasz Serafiński. Do KL Auschwitz dotarł wraz z 1705 osobami w nocy z 21 na 22 września 1940 r. Otrzymał numer obozowy 4859.

Już pierwsze chwile po wyładowaniu z wagonów przekonały go, że trafił do „piekła na ziemi”¹. Witold Pilecki informacje o swoim pobycie w Auschwitz zawarł w *Raporcie W*, spisany jesienią 1943 r. w Warszawie. Dokument ten odnalazł w 1991 r. dr Adam Cyra, pracownik Muzeum w Oświęcimiu, wśród różnych notatek i maszynopisów zwróconych rodzinie rotmistrza przez Archiwum Urzędu Ochrony Państwa. Adam Cyra – niestrudzony biograf Witolda Pileckiego – wśród zwróconych zapisków odnalazł również „klucz” do raportu, którego użył rotmistrz podczas pisania dokumentu. Pozwoliło to na odszyfrowanie wstrząsającej historii „piekła na ziemi”, jakim był obóz Auschwitz, w tym także historii polskiej konspiracji wojskowej na terenie obozu.

¹ J. Pawłowicz, *Rotmistrz Witold Pilecki 1901–1948*, Warszawa 2008, s. 22–23



„Miejsce pobytu wymienionych w raporcie Pracowników Organizacji Wojskowej w Oświęcimiu (stan w chwili opuszczenia przeze mnie obozu).

Zamordowani podczas badania: plut. Bolesław Kupiec (nr obozowy 792).

Rozstrzelani: Eugeniusz Obojski (nr 194), płk Aleksander Stawarz (nr 11513), ppłk Karol Kumuniecki (nr 8361), por. Tadeusz Biliński (nr 830), por. Włodzimierz Makaliński (TAP, nr 12710), ppor. rez. Stanisław Gutkiewicz (nr 11003), Stanisław Stawiszyński (TAP, nr 13689), ppor. rez. Tadeusz Lech (nr 9235), płk Jan Karcz (nr 23569), pdch. rez. Zbigniew Ruszczyński (nr 1360), por. S. Dobrowolski (nr ...), Leon Kukiełka (nr 16465), Stanisław Dubois (nr 3904), mjr Edward Gött-Getyński (nr 29693), por. rez. Eugeniusz Zatorski (TAP, nr 31387), rtm. Włodzimierz Koliński (nr 68844), kpt. Tadeusz Dziedzic (nr 16246), kpt. dr Henryk Szuchnicki (nr 19456), pdch. rez. Aleksander Jasierski (nr 2450), kpr. ...nicki, TAP, nr ... [nazwisko w „kluczu” częściowo nieczytelne – A.C.], kpt. Tadeusz Chróścicki – ojciec (TAP, nr 13484), Tadeusz Lucjan Chróścicki – syn (TAP, nr 16655), Antoni Suchecki (nr 595), ppor. rez. Stanisław Wierzbicki (TAP, nr 3558), Stefan Niebudek (nr 18531), Stanisław Arct (nr 12654), Roman Radoliński (nr 13471), st. ułan Stefan Stępień (nr 12970), plut. Edward Berlin (nr 19490).

Wykończeni zastrzykami: marynarz Lolek Kupiec (Karol Kupiec, nr 794), Zygmunt Masewicz (nr 1394), Alfred Stössel (nr 435).

Zmarli (zabici na placu lub z powodów warunków i chorób panujących w obozie): rtm. rez. Jerzy de Virion (w obozie Jan Hlebowicz, TAP, nr 3507), Roman Zagner (nr ...), kpt. Michał Romanowicz (nr ...), kpt. Eugeniusz Triebing (nr 6995), Eugeniusz Dulin (nr 31007), Teofil Banasiuk (nr 1698), Jan Hrabenda (nr 3665), Jan Mielcarek (nr 3569), pdch. rez. Remigiusz Niewiarowski (TAP, nr 13957), mjr Wacław Chmielewski (TAP, nr 37995), Tadeusz Dobrowolski (TAP, nr ...), Jerzy Wierusz-Kowalski, ojciec (TAP, nr 31356), plut. Stanisław Kotarski (nr ...), plut. Józef Chramiec (nr 101), Stefan Gaik (nr ...), st. sierż. Zygmunt Jaworski (TAP, nr 18435), prof. Roman Rybarski (nr 18599), Kazimierz Rogalewicz (nr 3473), Leśniewicz Bolesław (nr 21991) lub Stanisław (nr 14449), Czesław Sikora (nr 76159), Stanisław Polkowski (nr 6398), Teofil Staniszkis (nr 18624), pdch. rez. Jan Wysocki (TAP, nr 13436), Alojzy Fusek (nr ...), Józef Gałka (nr 10611), rtm. Tadeusz Czechowski (nr 18369), Witold Myszkowski (nr 2606), Andrzej Marduła (nr 18855).

Zwolnieni przez władze lagru: Aleksander Wielopolski (nr ...), kpr. Czesław Wąsowski (nr 5298), ppor. rez. Tadeusz Burski (nr ...), pdch. Krzysztof Hoffman (nr 2738), dr Marian Dipont (nr 2186).

Zwolnieni przez władze – pojechali z meldunkiem do Organizacji: płk Władysław Sarmacki (TAP, nr 2795), kpt. Ferdynand Trojnicki (nr 5145), sierż. Antoni Woźniak (nr 5512), por. rez. Karol Świętorzecki (nr 5360), Aleksander Paliński (nr 8253).

Wywieziony jako chory do Dachau (zorganizowane): Jan Dangel (TAP, nr 13486).

Wywiezieni transportami do innych lagrów: ppor. rez. Mikołaj Kornowicz (nr ...), Tadeusz Słowiaczek (nr 1069), plut. Władysław Kupiec (nr 793), płk Tadeusz Reklewski (nr 6471), ppor. Konstanty Piekarski (nr 4618), płk Jerzy Zalewski (nr 21514), pdch. rez. Zbigniew Różak (nr 6609), pdch. rez. Zygmunt Wanicki (nr 2199), Wiktor Śniegucki (nr 6274), Tadeusz Pietrzykowski »Teddy« (nr 77), kpt. Julian »Trzęsimiech« (nr ...), Stanisław Ozimek (TAP, nr ...), Henryk Kowalczyk (nr 64276), Leszek Cenzartowicz (nr 870), ppor. rez. Jerzy Wiśniewski (nr 31361), ppor. rez. Lech (nr ...), ks. Zygmunt

Ruszczak (nr 9842), Waclaw Kafarowski (nr 12079), Czesław Darkowski (TAP, nr 8121), Lolek Słowiacek (nr 1054), wachm. Jan Miksa (nr ...), Edward Nowak (nr 447), ppor. rez. Władysław Rapa (nr 30901), Aleksander Bugajski (nr 74503), Kazimierz Radwański (nr 16788), dr Zygmunt Zakrzewski (TAP, nr 39249), Tadeusz Kowalski (nr ...), Józef Putek (nr 267), Michał Szarzyński (nr 82795), Olek sztubowy na 6 bloku (nr ...), Wawrzyński (TAP, nr...).

Rozmyślnie umieścili się w transporcie celem dokonania ucieczki w drodze: płk Kazimierz Rawicz (w obozie Jan Hilknier nr 9319), pdch. Witold Szymkowiak (nr 938) przez którego przesyłam meldunek.

Zastrzeleni podczas dokonywania ucieczki: plut. Stanisław Meringe (TAP, nr 12691), por. rez. Jerzy Poraziński (TAP, nr ...).

Wyszli z obozu za pomocą ucieczki zorganizowanej z meldunkiem do Organizacji: Wincenty Gawron (nr 11237), Stefan Bielecki (TAP, nr 12692), pdch. Mieczysław Januszewski (nr 711), Stanisław Jaster (nr 6438), ppor. rez. Jan Redze (w obozie Jan Retko, nr 5430), Edward Ciesielski (nr 12969) oraz moja osoba Witold Pilecki (TAP, nr 4859).

Trwali jeszcze w obozie: kpt. dr Władysław Dering (TAP, nr 1723), pdch. rez. Antoni Rosa (nr 923), pdch. Michał Ziółkowski (nr 1055), plut. Tadeusz Szydlik (nr 2198), płk Teofil Dziama (nr 13578), ppor. rez. Jan Olszowski (nr 6157), ppor. rez. Jan Pilecki (nr 808), Henryk Bartosiewicz (nr 9406), kpt. Stanisław Kazuba (nr 1630), ppor. rez. Bernard Świerczyna (nr 1393), pdch. rez. Mieczysław Wagner (nr 5831), mjr Zygmunt Bończa-Bohdanowski (TAP, nr 30959), pdch. rez. Zygmunt Bujanowski (nr ...), Zygmunt Kotecki (nr ...), Jan Zięmba (nr 66), Zygmunt Sobolewski (nr 88), Antoni Trzaskowski (nr 13321), płk Juliusz Gilewicz (nr 31033), kpt. Tadeusz Lisowski (nr 329), Motyka (nr ...), Alfred Włodarczyk (nr 1349), Witold Kosztowny (nr 672), dr Rudolf Diem (nr 10022), por. rez. Marian Moniczewski (nr 18859), ppor. rez. Leon Murzyn (nr 820), ppor. Witold Wierusz (nr 9479), ppor. rez. Edmund Zabawki (nr 19547), Jan Machnowski (nr 724), pdch. rez. Zbigniew Goszczyński (nr 1728), Zdzisław Uliasz (nr 12988), »Alojz« z *bekleidungskammer* (nr ...), Andrzej Gąsienica (nr 5654), Roman Frankiewicz (nr 9430), Tadeusz Jakubowski (nr 2541), wachm. Stefan Gąsiorowski (nr 9201), Waclaw Weszke (nr 9530), Stanisław Kozuch (nr 325), st. sierż. Szczepan Rzczkowski (TAP, nr 13600), Jerzy Wierusz-Kowalski (TAP, nr 31357, syn), plut. Antoni Koszczyński (nr 4075), kpt. Michał Więcki (nr 1036), por. »Włodek Owczarż« (nr ...), sierż. Władysław Kielczyk (nr 4266), maryn. Aleksander Kasper (nr 3894), kpt. Janusz Goślinowski (nr 8252), Konstancy Jagiełło (nr 4507), kpt. Stanisław Machowski (nr 78056), »Czesiek« (prawdopodobnie Czesław Sowul, nr 167), »Tadek« (nr ...), Tadeusz Stulgiński (TAP, nr 31315), Henryk Szklarz (nr 1132), Edward Sikorski (nr 25419), Józef Grall (nr 25249), dr Władysław Tondos (nr 18871), Jan Mosdorf (nr 8230), Marian Toliński (nr 49), Władysław Fajkier (nr 5647), Stanisław Głowa (nr 20017), pdch. rez. Tadek, sekretarz bloku 22a (nr ...), Mały Zygmunt z laboratorium (nr ...), Ignacy Wołkowicz (nr 7143), Ryszard Wiśniewski (nr 9580), Zdzisław Ryndak (nr 10746), Andrzej Rabin (nr 1410), pdch. Leon Mackiewicz (nr 3618), płk. Kazimierz Stamirowski (nr 86786), Karol Karp (nr 626), Ficek i Tadek grabarze (nr ...), dr Bolesław Świdorski (nr 952), Edward Kowalski (nr 1701), Witold Kupczyński (nr 3829), Roman Kostrzewski (nr 4612), Stanisław Kocjan (nr 11544), Jerzy Żarnowiecki (nr 616), Tadeusz Myszkowski (nr 593), Stanisław Wolak (nr 1058),

Maksymilian Piłat (nr 5131), pdch. rez. Witold Wysocki z Wilna (nr ...), pdch. Jurek – elektryk (nr ...), Stefan Dziurkacz (nr ...), Stefan – kolega Heńka B. (nr ...).

Czerwiec 1943

Poniższe napisane jest dla upamiętnienia faktów i nazwisk więźniów w Oświęcimiu, pracujących tam w Organizacji Wojskowej – po udanym, a samowolnym opuszczeniu obozu w nocy z dnia 26 na 27 kwietnia 1943 r. i po 31-miesięcznym tam pobycie, gdzie od początku lagru do marca 1943 r. rozstrzelano 11 200 więźniów, zagazowano około 34 tysięcy, zmarło – zabitych na placu, od chorób i innych warunków – około 41 tysięcy, wywieziono (do marca 1943 r.) do innych obozów około 6 tysięcy, wywieziono i zwolniono 1115 więźniów. W marcu 1943 r. żyjących w obozie było około 29 tysięcy, a numer bieżący wynosił ponad 121 tysięcy. Wyżej wymienione liczby stosują się do »Haftlingów« – po przywiezieniu normalnie zaewidencjonowanych i oznaczonych kolejnym numerem więźnia. Natomiast nie obejmuje to ogromnej ilości ludzi, przywiezionych tu w celu natychmiastowego odebrania im życia, co odbywało się w odległości paru kilometrów od obozu – w Brzezince – w pobliżu filii Oświęcimia – obozu w Rajsku, gdzie gazowano całe transporty ludzi, dostarczane tu pociągami i autami – czasami po parę tysięcy dziennie, a liczba których obliczona w cyfrach okrągłych w sierpniu 1942 r. przekroczyła 800 tysięcy ludzi, a w marcu 1943 r. sięgała ponad półtora miliona ludzi. Przeważali Żydzi, lecz byli również Czesi, Niemcy i inni. Specjalnie jednak bolało nas, gdy w ogromnych stosach ubrań i rzeczy, należących do zagazowanych, znajdowaliśmy wśród małych buciczków i wózków dzieciennych różańce i książeczki do nabożeństwa w języku polskim. W potwornej tej rzezi zginęła, między innymi, przewieziona tu ludność kilku wiosek lubelskich. Prócz tego w tymże czasie w obozie naszym i w filiach zabito w różny sposób 11 400 jeńców wojennych – bolszewików.

Po przyjeździe w nocy z dnia 21 na 22 września 1940 r. do obozu w Oświęcimiu znalazłem się – tak jak zresztą wszyscy nowo przybywający do Oświęcimia – w warunkach, które uderzyły we wszystkie moje dotychczasowe pojęcia. W ciągu paru dni czułem się oszołomiony i jakby przerzucony w inną planetę.

Wpędzenie nas w nocy kolbami esesmanów za druty – na teren oświetlony reflektorami – przebiegamy przez niesamowicie roześmianych, wrzeszczących kapów porządkujących szeregi nasze drągami – mających zielone i czerwone łatki w miejscu, gdzie się wieszają ordery, wśród dzikich chichotów i żartów, dobijających chorych i słabych lub tego kto miał nieostrożność powiedzieć, że był sędzią lub jest księdzem – zrobiło na mnie wrażenie, że zamknięto nas w zakładzie dla obłąkanych.

Po kilku pierwszych dniach, których byłem świadkiem dla makabrycznych obrazów, a wobec których zupełnie zbladło piekło Dantego. [...].

Stojąc w szeregach bloku »Krwawego Alojza« i widząc, jak naprzeciwno stojące szeregi karnej kompanii Krankenmann wyrównywał nożem, wbijając takowy w brzuch temu, kto się wysunął niepotrzebnie trochę naprzód, ze zdziwieniem pewnym stwierdziłem, że się nie mylę, iż znalazłem sobie radość, wynikającą ze świadomości, że chcę walczyć, a więc kryzys parodniowy minął szczęśliwie. [...]

Podjąłem się więc pracy. Po paru tygodniach zorganizowałem pierwszy związek Organizacji Wojskowej w Oświęcimiu wśród »Warszawiaków« i przesłałem w październiku 1940 r. pierwszą wiadomość do Warszawy za pośrednictwem

kpt. Michała Romanowicza przez zwolnionego z lagru Aleksandra Wielkopolskiego, pracującego w wywiadzie u Tęczyńskiego. Kierownictwo tej pierwszej »piątki górnej« (płk. Władysław Sarmacki, kpt. dr Władysław Bering, rtm. rez. Jerzy de Virion, Eugeniusz Obojski i Roman Zegner) powierzyłem pułkownikowi Władysławowi Sarmackiemu, którego znając od dawna, już w maju 1940 r. wciągnąłem do pracy w TAP na stanowisko szefa sztabu. W marcu 1941 r. zorganizowałem drugą »górną piątkę« (pdch. Witold Szymkowiak, pdch. Antoni Rosa, Tadeusz Słowiczek, ppor. rez. Mikołaj Skornowicz, Władysław Kupiec, Bolesław Kupiec, Tadeusz Pietrzykowski) wśród najstarszych numerów więźniów. W maju 1941 r. wśród kolegów z 4 i 5 transportu warszawskiego trzecią »piątkę górną« (kpt. Eugeniusz Triebing, por. Włodzimierz Makaliński, por. rez. Stanisław Gutkiewicz, Wincenty Gawron, Stanisław Stawiszyński), a w październiku 1941 r. czwartą »piątkę« (Henryk Bartosiewicz, kpt. Stanisław Kazuba, ppor. Konstanty Piekarski, Stefan Kielecki, ppor. rez. Tadeusz Lech), nigdy się nie trzymałem ślepo liczby 5.

Każda z tych »piątek« nie wiedziała nic o piątkach innych i sądząc, że jest jedynym szczytem Organizacji, rozwijała się samodzielnie, rozgałęziając się tak daleko, jak ją suma energii i zdolności jej członków, plus zdolności kolegów stojących na niższych szczeblach, a przez piątkę stale dobudowywanych, naprzód wypychały. Praca polegała na ratowaniu życia kolegów przez: zorganizowanie dożywiania, polecenia władzom bloków, opiece na »Krankenbau« [w obozie szpital dla więźniów nosił nazwę Häftlingskrankenbau – A.C.], organizowanie dostaw bielizny, urządzenie na lepszych posadach – stanowiskach, podtrzymywaniu na duchu, kolportowanie wiadomości z zewnątrz, łączności z cywilną ludnością, przekazywanie wiadomości obozowych na zewnątrz, powiązanie w jeden łańcuch energiczniejszych jednostek dla skoordynowanej akcji opanowania obozu w chwili, gdy takowa nadejdzie z zewnątrz, bądź to w formie rozkazu, bądź desantu.

Tak – jak w celu większego bezpieczeństwa powziąłem myśl, by jedna piątka nie wiedziała o drugiej – tak również w tym celu omijałem początkowo ludzi »stojących na świecznikach«, którzy tu byli pod własnymi nazwiskami i jako pułkownicy, słabo zakonspirowani, robili już plany opanowania obozu. [...]

Tymczasem nasza Organizacja (słowo to było zakazane i używane tylko w znaczeniu zupełnie innym) rozwijała się dość szybko.

A jednocześnie wielki młyn lagru wyrzucał wciąż trupy. Wielu kolegów ginęło, których stale trzeba było zastępować innymi. Wciąż trzeba było wszystko wiązać.

Wysyłaliśmy już na zewnątrz wiadomości, które były podawane przez radia zagraniczne. Władze lagru wściekały się – szukano, zrywając podłogi, szukano na strychach. Daleko rozgałęzione już poszczególne »piątki górne« zaczęły w terenie wzajemnie się »domacywać«, meldując mi o »namacanej« rzekomo innej jakiejś organizacji (inna piątka). W listopadzie 1941 r. wysłałem do Warszawy przez zwolnionego z lagru kpt. Ferdynanda Trojnickiego meldunek. Jednocześnie pisałem w listach do rodziny (ogólną drogą), by mnie nie starano się z lagru wykupić, co mogłoby się zdarzyć, gdyż nie miałem żadnej sprawy, a hazardowała mnie gra i oczekiwana w przyszłości rozgrywka na miejscu.

W grudniu 1941 r. przesałem meldunek przez płk. Władysława Sarmackiego zwolnionego do Warszawy, w marcu 1942 r. przez sierż. Antoniego Woźniaka.

W jesieni 1941 r. przywiezieni zostali do obozu płk Jan Karcz i ppłk Jerzy Zalewski. Zaproponowałem wejście do Organizacji pułkownikowi Janowi Karczowi – na co ten się zgodził. Po paru miesiącach płk Jan Karcz został wzięty do bunkra i dręczony. Ponieważ nic nie zeznał, został zwolniony z bunkra i przeniesiony do filii Oświęcimia pobliskiej Brzezinki, gdzie podjął się pracy na rzecz naszej Organizacji.

Jak wspominałem, przez ostrożność, w pracy organizacyjnej starałem się na razie unikać oficerów wyższych stopni, którzy tu byli pod własnymi nazwiskami, lecz żeby nie było to mylnie tłumaczone rzekomą moją wygórowaną ambicją, zdecydowałem się podporządkować wyszperanemu przez mego przyjaciela Henryka Bartosiewicza, pułkownikowi Kazimierzowi Rawiczowi, który tu był pod przybranym nazwiskiem i uchodził za stuprocentowego cywila. Płk Kazimierz Rawicz wszedł do naszej Organizacji, uzgodniliśmy z nim plan pracy i pracowaliśmy w dalszym ciągu.

Wtedy zorganizowałem piątą »piątkę górną« (ppor. rez. Bernard Świerczyna, pdch. rez. Zbigniew Ruszczański, pdch. rez. Mieczysław Wagner, pdch. rez. Zbigniew Różak, plut. Tadeusz Szydlik).

W marcu 1942 r. przyjechał do lagru znany mi od szeregu lat mjr Zygmunt Bończa-Bohdanowski, którego niegdyś w Warszawie wciągnąłem na dowódcę bojowego miasta Warszawa w TAP, a obecnie na dowódcę bojowego zorganizowanych sił w lagrze.

W styczniu 1942 r. wysłałem do Warszawy pomniejsze wiadomości przez kolegę Aleksandra Palińskiego.

W 1941 r. stosowano w lagrze odpowiedzialność dziesiątkową, to znaczy za jednego zbiegłego więźnia rozstrzeliwano dziesięciu, toteż nie organizowaliśmy ucieczek. W początku roku 1942 r. nadszedł zakaz tego z Berlina, więc zaczęliśmy przygotowywać ucieczkę i w maju 1942 r. przesłałem meldunek do Warszawy przez kolegę Stefana Bieleckiego, który razem z kolegą Wincentym Gawronem ucieczkę doprowadzili szczęśliwie do skutku i żadnych represji z tego powodu w obozie nie było.

W czerwcu rozstrzelano specjalnie blisko mnie w pracy stojącego, nieodżałowanego i dzielnego z wojny 1939 r. por. 13. pułku ułanów Włodzimierza Madalińskiego.

Rozstrzelano wtedy również przeszło 80 Ślązaków, między innymi członka Organizacji por. rez. Stanisława Gutkiewicza. Po egzekucji 11 listopada 1941 r., kiedy zginął dzielny ppor. rez. Tadeusz Lech, była to pierwsza większa »rozwałka«.

Staraniem Henryka Bartosiewicza doszło do porozumienia z płk. Aleksandrem Stawarzem, który wszedł do naszej Organizacji (komórka planowania).

W czerwcu 1942 r. władze lagru, chcąc wywołać odruch i spowodować zajścia w lagrze, by potem ukarać, dziesiątkując Polaków, zaaranżowały prowokacyjny manewr z zabitym niby przez więźniów Polaków żołnierzem niemieckim, którego zwłoki ostentacyjnie przywieziono, lecz naprężenie, jakie odczuwało się przez parę dni wśród więźniów Polaków i nasza postawa, wyczuła doskonale przez władze, powstrzymały ją od dalszej akcji i sprawę zatuszowano.

Wtedy i później przez szereg miesięcy, do 7 marca 1943 r., byliśmy doskonale zdolni do opanowania lagru w każdej chwili i tylko względ na sytuację ogólną na zewnątrz, brak rozkazu, jakiegoś nalotu, który by nam (jako *vis maior*) rozwiązał ręce, możliwość popadnięcia w kolizję z interesem ogólnym dla dobra sprawy i tym podobne, powstrzymywał nas od działań samorzutnych.



Tragedią więc naszą było nie to, żeśmy, jak myślała Warszawa, byli kościotrupy, lecz przeciwnie, że jakkolwiek byliśmy silni i lokalnie bieg wypadków mieliśmy w swoim ręku, ze względu jednak na ogólną sytuację (Społeczeństwo – Represje) – ręce mieliśmy związane i z oddali musieliśmy uchodzić za bezradnych.

Potrzebny nam był rozkaz = zezwolenie = placet Władz naszych w Warszawie, by w przyszłości nie powiedziano, że ambicja p.p. W., J. lub H. tyle ofiar w Społeczeństwie kosztowała i czyn ten nie był wytknięty jako przykład pokutujących w nas od wieków wad narodowych: brak dyscypliny i samowola.

Wtedy jeszcze, ze względu na rozrzucenie poszczególnych »komand« po różnych blokach, dzieliliśmy siły nasze na cztery zasadnicze wielkie oddziały według zadań, które na moment ewentualnego opanowania lagru przypadły tym oddziałom przygotowanym do rozwiązania zadania dwojako:

1. Akcja w czasie – obóz w pracy,
2. Akcja w czasie – wszyscy w blokach (noc, święto).

Wysłałem wtedy meldunek przez Stanisława Jastera, który razem z trzema kolegami świetnie zorganizował ucieczkę autem komendanta lagru i w bezczelny sposób, koło spotkanego w drodze »Lagerführera«, który oddał honory przebrany parą więźniom w wojskowe mundury, pojechał w świat.

Dopiero w Oświęcimiu, w naszej pracy, doczekałem się momentu, o którym mogło się kiedyś na wolności marzyć beznadziejnie. Oto dopiero w obliczu stosów trupów odrzucili nasi działacze polityczni wstrętne dla mnie zawsze marnowanie energii na partyjne zżeranie się wzajemnie. W komórcie politycznej naszej Organizacji znaleźli się razem prof. Roman Rybacki, były poseł Stanisław Dubois, kolega Konstanty Jagiełło, kolega Piotr Kownacki i kolega Kiliański, którzy bardzo przykładowie, zgodnie pracowali. [...]

W sierpniu 1942 r. w czasie epidemii tyfusu, władze – pod pretekstem »odwzelenia« – zagazowały wielu więźniów już zdrowych, którzy byli w bloku tyfusowym (20) jako rekonwalescenci i pojechali do gazu z całą świadomością, że śmierć zawdzięczają zbiegowi okoliczności, bo akurat w dniu gazowania znajdowali się jeszcze w bloku tyfusowym. Blok został zamknięty i wszyscy, za wyjątkiem lekarzy i pielęgniarzy, zostali wywiezieni autami do gazu. Tu wiele zdziałał kpt. dr Władysław Dering, ratując życie ponad 20 Polakom, przebijając ich w ubrania pielęgniarzy.

Na tyfus zachorowałem w 6 dni po tym masowym gazowaniu i szczęśliwie przeszedłem tę chorobę. Prawie wszystkie »stare numery« musiały przejść tyfus.

Po generalnym odwszeniu, po którym władze obozu uporządkowały rozlokowanie więźniów w ten sposób, że każde komando zakwaterowane zostało w całości w jednym bloku, nieświadomie ułatwiając nam zadanie w razie naszej akcji. Gdy już teraz odpadła potrzeba dwojakiego rozwiązania (1. Komanda w pracy lub 2. Więźniowie w bloku), podzieliłem wtedy wszystkie siły, odrzucając ramy poszczególnych piętek, na bataliony, kompanie i plutony, wyznaczając rejon działania, łącząc w bataliony poszczególne bloki i wyznaczając dowódców:

Dowódca bojowy całości – mjr Zygmunt Bończa-Bohdanowski, I Baon – mjr Edward Gött-Getyński, II Baon – kpt. Stanisław Kazuba, III Baon – kpt. Tadeusz Lisowski i IV Baon – kpt. Julian »Trzęsimiech«. [...]

Historia się powtarza – niezrozumiali są ci, co w obozach giną, jak również ci, co w obozach trwają. Trzeba dopiero wielu lat, by – już ich prochom – hołd oddano. [...]

Rygor w lagrze od początku, bardzo wolno, lecz stale słabł, tak że przywieziony do lagru o miesiąc później nie tym się różnił od starszego swego kolegi, że o 30 dni mniej tu siedzi, lecz tym, że już nie zaznawał niektórych sposobów gnębienia, które w poprzednim miesiącu jeszcze stosowano. A było tych sposobów zawsze mnóstwo u całej plejady władz i sfor naganiaczy – jedni stosowali je z obowiązku niszczenia życia znienawidzonych, inni dla korzyści przypodobania się pierwszym. [...]

Tak więc [czas] po świętach roku 1943, poza zmianą »Lagerältestera« i dalszym postępowaniem w łagodzeniu kursu, rozpoczął się zwykłymi obrazkami lagrowymi. W styczniu 1943 r. został rozstrzelany płk Jan Karcz oraz por. rez., niegdyś pracownik TAP-u w Warszawie, Eugeniusz Zaturski, 16 lutego – por. rez. Stanisław Wierzbicki, były pracownik TAP-u. Następnie grupa osadzona na dłuższy czas w bunkrze i w końcu rozstrzelana: ppłk Karol Kumuniecki, mjr Edward Gött-Getyński, por. Tadeusz Biliński, rtm. Włodzimierz Koliński i por. Mieczysław Koliński – bracia i inni, wszyscy właśnie strzałem w tył głowy z pistoletu sprężynowego używanego do uboju bydła, a więc trochę inaczej jak w Katyniu.

Podobnie jak w Katyniu początkowo ciała zabitych (zagazowanych) grzebano w Brzezince w wielkich rowach, przy których pracowało specjalne »Komando«, złożone wyłącznie z Żydów, którzy żyli zaledwie dwa tygodnie, a następnie byli zagazowani. Potem okazało się, że był to zły sposób, gdyż woda w okolicy zaczęła cuchnąć, no i... zostawały ślady. Zaczęto odgrzebywać trupy i spalać je na stosach. Początkowo pracowano ręcznie, lecz potem zastosowano dźwigi. O spalaniu w krematorium mowy być nie mogło, gdyż krematoria nie mogły nadażyć. [...]

Gazowanie zdrowych ludzi większe wrażenie zrobiło tylko po raz pierwszy. W parę miesięcy po rozpoczęciu wojny z bolszewikami władze lagru dostały kilkuset pierwszych jeńców, z których około siedmiuset, w obecności jakiejś komisji wpakowali do jednej celi w bloku 11 (komory gazowe nie były jeszcze gotowe do użytku), stłoczyli ich tak, że stać nawet nie było miejsca, uszczelniono całą salę i w obecności świty w maskach gazowych – zagazowano. Ci, co po przewietrzeniu sali mogli tam wejść, opowiadali o dantejskich wrażeniach, jakie odnieśli. Miała to być, sądząc z mundurów, w których byli gazowani, sama szarża bolszewicka z różnych formacji. Wyglądało to na próbę gazu. [...]

W lutym 1943 r. przywieziono do nas do bloku 2a czterysta pięćdziesiąt kobiet i mężczyzn, których dręcząc w rozmaity sposób, zmuszano do zeznań, tygodniami kładąc im leżeć na brzuchu (Polacy). W bloku 11 Palitzsch – kat o specjalnym zacięciu – urządził polowanie na dzieci, kazał biegać dziewczynkom po zamkniętym dziedzińcu i strzelał, zabijając je jak króliki, wyrwał matce małe dziecko z rąk i rozbijał małą głowę o ścianę, kamień. Zwyrondniac – płacz i śmierć szły za nim – a on po dokonaniu zbrodni, wychodził uśmiechnięty, przystojny i grzeczny, spokojnie paląc papierosa.

W okresie od wiosny 1942 r. do jesieni 1942 r. obóz nasz przedzielony był murem, za którym mieścił się obóz dla kobiet. Potem kobiety zostały przeniesione do obozu w Brzezince, gdzie ginęły w gorszych niż my warunkach, w brudzie, gdyż brakowało wody i innych wygod. Z początku obóz nasz obejmował ogrodzonych na ten cel dwadzieścia bloków, z tego sześć piętrowych, a czternaście parterowych. W ciągu mojego pobytu w obozie zbudowano osiem nowych bloków na placu (byłym apelowym) i wszystkie podniesiono do piętrowych. Wszędzie przeprowadzono kanalizację. Skasowano ubikacje i pompy na polu, przenosząc je do bloków. Wszystkie te budowy kosztowały tysiące istnień ludzkich. Cegły i dachówki nosiliśmy ręcznie z odległości paru kilometrów.

W marcu 1943 r. przywieziono do Brzezinki całe rodziny Cyganów i założono dla nich specjalny obóz. Potem część mężczyzn Cyganów przywieziono do nas. Razem z Holendrami, Norwegami, Francuzami, Żydami, Niemcami, Jugosłowianami, Grekami, Rosjanami, Ukraińcami, Belgami, Bułgarami i Rumunami tworzyliśmy istną wieżę Babel. [...]

10 marca wywieziono razem pięć tysięcy Polaków. Tysiąc do Neuengamme, tysiąc do Buchenwaldu, tysiąc do Sachsenhausen, tysiąc do Gross-Rosen i tysiąc do Flossenbürga. [...]

Od czasu do czasu w bloku zjawiali się wieczorem esesmani. Zbierali Żydów i kazali im pisać listy do domów z sakramentalnym: »Jestem zdrow i dobrze mi się powodzi«. Listy te sprowadzały nowe partie Żydów, którzy na wiadomość o tym, że ich współwyznawcom tak się powodzi, chętniej zgłaszali się »na roboty do Niemiec« oraz nowe paczki dla esesmanów, gdyż autorzy listów przez ten czas byli wykańczani.

Należy tu jeszcze chociaż w paru słowach podkreślić, co prawda nie wszystkich, dzielną postawę księży. Początkowo ksiądz w ogóle dłużej niż parę dni nie żył. Zabijano ich pałkami na placu (tak samo jak Żydów) zaprzęgniętych do walca lub przy innej jakiejś »pracy« wymyślonej specjalnie dla udrczenia. Następnie – na początku roku 1941 – na interwencję z Rzymu księża zostali wywiezieni do Dachu, gdzie podobno mieli zupełnie znośnie. [...]

Od połowy roku 1942 złapanych po nieudanej ucieczce więźniów wieszano publicznie i ostentacyjnie, przy czym wieszali ci, co sami po dwóch tygodniach powieszeni być mieli. Robiono to dla większego ich udrczenia. [...]

W dniach 10 i 11 kwietnia 1943 r. (jak już wspomniałem) wywieziono w dwóch rzutach (obydwa do Mauthausen) dwa tysiące pięćset Polaków. To ostatecznie wpłynęło na moją decyzję. Dalszy mój pobyt w Oświęcimiu nie uważałem za konieczny. Dotychczas, co mogłem, to robiłem. »Lepsza« połowa kolegów wyjechała. Czekanie na »coś« nie dało rezultatu. Odgrazano się, że wywozą i resztę Polaków. Sądząc, że teraz może już większe korzyści przyniosę z zewnątrz niż wewnątrz – zdecydowałem się obóz opuścić.

Drugim momentem, który mnie skłonił do opuszczenia obozu, była od początku marca krążąca po obozie wiadomość, że Janusz Kuczaba został złapany w Warszawie i jest na Pawiaku. Rozumiałem, że ten człowiek bez skrupułów – chcąc ratować własne życie – może zacząć sypać »górę« naszej Organizacji, tym bardziej że bez żadnej potrzeby – chciał to zrobić jeszcze w lagrze (w stosunku do płk. Juliusza Gilewicza i kolegi Henryka Bartosiewicza). Na ten temat rozmawiałem 11 kwietnia 1943 r. z kolegą ppor. rez. Leonem Murzynem.

Mając na względzie moje »wyjście« z obozu, odbyłem parę rozmów z mjr. Zygmuntem Bończą-Bohdanowskim i kolegą Henrykiem Bartosiewiczem, informując ich o tym i powierzając im dalszą pracę. [...]

Tak więc – w towarzystwie Jana Redzeja i Edwarda Ciesielskiego opuściłem obóz w Oświęcimiu, żegnany strzałami wartownika, który o chwilę za późno się zorientował.

Wyszedłem w nocy – tak samo, jak przyjechałem – byłem więc w tym piekle dziewięćset czterdzieści siedem dni i tyleż nocy. Było już po godzinie drugiej, a więc najwyższy czas na ucieczkę (noc z 26 na 27 kwietnia 1943 r.).

Wychodząc, miałem o kilka zębów mniej niż w momencie mojego tu przyjazdu oraz złamany mostek. Zapłaciłem więc bardzo tanio za taki okres czasu w tym »sanatorium«.

Wobec niestosowania już rozstrzeliwań dziesięciu za jednego, a także i to, że byłem pod przybranym nazwiskiem nie zostawiłem śladów do rodziny, idąc więc w tę noc miałem sumienie czyste”².

Witold Pilecki dotarł do Warszawy dopiero 22 sierpnia 1943 r., wcześniej ukrywając się w Bochni i Nowym Wiśniczu, gdzie poznał prawdziwego Tomasza Serafińskiego, będącego wówczas zastępcą komendanta miejscowej placówki AK. W Komendzie Głównej AK w Warszawie osobiście złożył meldunek o sytuacji w obozie. Włączył się aktywnie w pracę konspiracyjną pod przybranym nazwiskiem „Roman Jegierski”. Za swoją bohaterską działalność na terenie obozu Auschwitz rozkazem Komendanta Głównego AK gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego z 19 lutego 1944 r. awansowany został do stopnia rotmistrza, ze starszeństwem z 11 listopada 1943 r.

Dalsze losy Witolda Pileckiego nadal nierozzerwalnie związane były z walką o wolną Polskę. Współtworzył organizację „NIE”. W chwili wybuchu Powstania Warszawskiego, pomimo zakazu obowiązującego żołnierzy „NIE”, włączył się do działań bojowych jako żołnierz zgrupowania „Chrobry II”. Z czasem ujawnił swój stopień i został zastępcą, a następnie dowódcą 2. kompanii I batalionu. Broniony przez niego teren zyskał nazwę „Reduta Witolda” i był jedną z najdłużej bronionych redut powstańczych, nigdy niezdobytą przez Niemców. Po upadku powstania trafił do oflagu Murnau. Po wyzwoleniu obozu przez wojska amerykańskie zgłosił się do II Korpusu Polskiego stacjonującego we Włoszech, gdzie został oficerem II Oddziału. Dwukrotnie rozmawiał z gen. Władysławem Andersenem, na którego rozkaz 22 października 1945 r. wyruszył do kraju w celu zorganizowania siatki wywiadowczej. Do Warszawy dotarł 8 grudnia 1945 r. Stopniowo nawiązywał kontakty. Zbudował sieć

² A. Cyra, *Raport Witolda. Witold Pilecki – Tomasz Serafiński, Raport „W”*, [w:] „Biuletyn Towarzystwa Opieki nad Oświęcimiem”, nr 12, s. 73–117.

współpracowników i informatorów, których dobierał z byłych żołnierzy TAP i z konspiracji oświęcimskiej. Zdobywał tajne informacje na temat działalności NKWD i UB, narastającego terroru, fałszerstw wyborczych, współpracy gospodarczej Polski z Rosją Sowiecką.

Witold Pilecki został aresztowany 8 maja 1947 r. Poddano go niezwykle okrutnemu śledztwu. Podczas widzenia z żoną, zmaltretowany szepnął: „Oświęcim to była igraszka”. Sądzony był przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie, który w 15 marca 1948 r. skazał go na karę śmierci. Wyrok wykonano 25 maja 1948 r. o godz. 21.30 w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie.

Pierwszą tablicę memoratywną poświęconą Pileckiemu wmurowano w kościele św. Stanisława Kostki w Warszawie dopiero

w listopadzie 1979 r. Kolejne upamiętnienia miały miejsce pod koniec lat osiemdziesiątych. Mimo „powiewu wolności” nie zakończyła się walka o pamięć o Witoldzie Pileckim. Jeszcze w lipcu 1989 r. zastępca prokuratora generalnego PRL, naczelny prokurator wojskowy gen. bryg. Henryk Kostrzewa, odpowiadając na apel Towarzystwa Opieki nad Oświęcimiem o rehabilitację Pileckiego pisał m.in.: „w świetle aktualnie obowiązujących przepisów prawa nie znalazłem podstaw do pełnej rehabilitacji Witolda Pileckiego”³. Hańba, hańba, po stokroć hańba. Miesiąc po symbolicznym końcu komunizmu (4 czerwca 1989) w Polsce, komunistyczny aparatczyk odmówił czci bohaterowi. Haniebny wyrok Wojskowego Sądu Rejonowego orzeczony wobec Witolda Pileckiego został decyzją Sądu Najwyższego unieważniony dopiero 1 października 1990 r.

Pamięć o bohaterskim rotmistrzu jest stopniowo przywracana. W wielu miastach nadano jego imię szkołom, ulicom i skwerom. Prezydent Lech Kaczyński postanowieniem z 27 lipca 2006 r. odznaczył rotmistrza Witolda Pileckiego pośmiertnie Orderem Orła Białego. W sześćdziesiątą rocznicę śmierci rotmistrza Senat Rzeczypospolitej Polskiej przyjął uchwałę, w której zapisano: „Całe życie Witolda Pileckiego jest wzorem, jak żyć i jak – jeśli trzeba – umierać za Ojczyznę. Pamięć o nim powinna być jednym z elementów budujących zbiorową tożsamość Polaków. Senat Rzeczypospolitej Polskiej pragnie, aby 60. rocznica śmierci Witolda Pileckiego przywracała należne mu miejsce w pamięci zbiorowej”⁴.



Podczas procesu przed WSR

³ J. Pawłowicz, *Rotmistrz Witold Pilecki 1901–1948*, Warszawa 2008, s. 274

⁴ *Ibidem*, s. 282

„SOKÓŁ” Z CHOCHOŁOWA

ŻYCIE STANISŁAWA FRĄCZYSTEGO (1917–2009)

Wśród tysięcy żołnierzy Polskiego Państwa Podziemnego więzionych w czasie II wojny światowej w niemieckim obozie koncentracyjnym Auschwitz-Birkenau był Stanisław Frączyasty z Chochołowa, „Sokół”, „Staszek”. Był żołnierzem i kurierem Związku Walki Zbrojnej. Przeprowadził z Węgier do okupowanego kraju kilkunastu wyższych oficerów Wojska Polskiego, którzy włączyli się do walki podziemnej z Niemcami. Przeprowadził też marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza. Miałem zaszczyt go poznać.

Stanisław Frączyasty urodził się 5 lutego 1917 r. w Chochołowie, w powiecie nowotarskim, w rodzinie Andrzeja i Aleksandry z d. Wetula. Zajmująca się rolnictwem rodzina Frączystrych mieszkała w Chochołowie od wielu pokoleń. Dziad Stanisława, Szymon, brał udział w powstaniu chochołowskim w 1846 r. i był więziony przez Austriaków w twierdzy Grajgórz (Spielberg). Stanisław pochodził z wielodzietnej rodziny. Miał trzy siostry i trzech braci. Rodzice Stanisława oraz siostry – Rozalia, Władysława i Zofia – byli więzieni przez gestapo. Najstarszy brat, Franciszek (1899–1942), brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej, był członkiem Dywersji Posafrontowej i kurierem ZWZ. Zginął w obozie Auschwitz-Birkenau. Karol (1903–1938) wyemigrował do Kanady w 1926 r. Kilkanaście lat później poległ podczas wojny domowej w Hiszpanii. Gustaw (1913–1945) należał do Dywersji Posafrontowej, był kurierem ZWZ i żołnierzem Brygady Karpackiej. Brał udział w bitwach pod Tobrukiem i Monte Cassino. Poległ pod koniec wojny w walkach pod Bolonią.

Stanisław uczęszczał do szkoły powszechnej w rodzinnej wsi, a po jej ukończeniu pracował w gospodarstwie rodziców. Należał do miejscowego koła Związku Strzeleckiego. Uprawiał sport, dwukrotnie uczestniczył w centralnych biegach narodowych w Warszawie oraz w marszach „kadrowki” i rajdzie Sulejówek–Belweder. Brał udział w zimowym marszu szlakiem II Brygady w Karpatach oraz na trasie Zułów–Wilno. Po latach wspominał: „W okresie tym wpadły mi w ręce książki Sergiusza Piaseckiego »Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy« i inne, nie wiem, czy książki te, czy też mój nigdy niewyladowany temperament zadecydowały, że marzyłem, żeby zostać takim hersztem przemytników i z bronią w ręku, granatami w kieszeniach przechodzić granicę, gromadzić pieniądze, zawsze być wolnym, niezależnym. Żeby o mnie legendy szły jak o Janosiku,



Fot. ze zbiorów rodziny

ot mrzonki, urojenia, nie zdawałem sobie sprawy, że marzenia te wkrótce się spełnią, choć w innym sensie, kiedy będę sam z bronią w ręku na czele grupy ludzi przechodził granicę, a biada temu, kto stanie na mej drodze”¹.

Szkolenie wojskowe przeszedł w Związku Strzeleckim i otrzymał stopień strzelca WP. W czerwcu 1939 r. został członkiem oddziału Dywersji Pozafrontowej, powołanego w Chochołowie przez mjr. Kazimierza Kierzkowskiego, który odebrał od niego przysięgę. W swoich wspomnieniach Stanisław Frączynty zapisał: „W roku 1939 w pierwszych dniach miesiąca czerwca zostałem raz wieczorem z bratem Gustawem wezwany do domu brata Franciszka, który wtenczas już sam na swym gospodarstwie mieszkał. Po paru chwilach zebrało się nas więcej, sami chłopcy starsi, świadomi, tak jakoś bardziej patriotycznie wyrobieni [należący do chochołowskiego ZS – przyp. M.G.]. Po pewnym czasie przyszedł znajomy Słowak z Głodówki, student, który studiował w Polsce pod nazwiskiem Stefan Hurkot, w towarzystwie dwóch starszych panów, których tytułował pułkownikami. Po ubezpieczeniu się, że nas nikt nie słucha, ci starsi zaczęli do nas przemawiać o sytuacji, jaka zaistniała w Europie, że Niemcy w niedługim czasie napadną na Polskę i że oni są w tych sprawach dokładnie zorientowani, ponieważ są z wywiadu wojskowego. Wyjawili nam z całą dokładnością sytuację na świecie, że Polska w wyniku napaści będzie się musiała bronić i będzie się broniła na śmierć i życie. Wyjaśnili nam, że mają zamiar w wioskach przygranicznych potworzyć oddziały bojowe na wzór japońskich żywych torped – bataliony śmierci, które w razie wejścia Niemców na teren Polski będą na tyłach jako dywersanci wysadzać mosty, niszczyć samochody, uprawiać sabotaże, za to nie będziemy powołani do wojska w razie mobilizacji. Materiały wybuchowe, broń, żywność, ubranie zostaną nam dostarczone. Po przedstawieniu tych propozycji i szerokim omówieniu związek ten utworzyliśmy. Po podpisaniu deklaracji i złożeniu przysięgi na bezpardonową walkę z Niemcami na śmierć i życie i że będzie się wykonywać wszystkie rozkazy i stosować wszystkie metody działania i dochowywać tajemnicy. Wtenczas przybraliśmy również pseudonimy”². W drugiej połowie sierpnia, wraz z innymi członkami dywersji, magazynował broń swego oddziału w tajnych schowkach w Tatrach Zachodnich.

Wybuch wojny zastał go w Chochołowie. Akcji dywersyjnych, przypuszczalnie z powodu utraty łączności z dowództwem, jednak nie przeprowadzono. Stanisław zaczął za to współpracować z Komitetem Pomocy Więźniom – zakładnikom więzionym przez Niemców w Zakopanem, dokąd codziennie dowoził żywność. Gdy zwrócił się z prośbą o zwolnienie spośród zakładników chorego ojca (wówczas siedemdziesięcioletniego), został aresztowany przez gestapo 19 listopada. Był więziony przy ul. Nowotarskiej. Zwolniono go trzy miesiące później, w połowie lutego 1940 r. W marcu zdecydował się opuścić kraj.

Po przybyciu do Budapesztu został kurierem Bazy ZWZ „Romek”, kierowanej przez płk. Jana Mazurkiewicza, a później Franciszka Mazurkiewicza. Do kraju przechodził przez granicę dwa razy w miesiącu. Trasa wiodła z Budapesztu do Zakopanego przez Koszyce (a później Roźniawę) oraz Dolinę Cichą, Kopę Kondracką, Mały Giewont i Dolinę Strążycką w Tatrach. Później zmienił trasę, która wiodła ze słowackiego Twardoszyňa do Chochołowa przez granicę między Głodówką i Suchą Górą. Początkowo przenoślił pieniądze,

¹ Sprawozdanie z pracy kurierskiej opracowane przez Stanisława Frączyntego dla Biura Historycznego ZBoWiD w Krakowie, udostępnione przez autora. Stanisław Frączynty otrzymał tę książkę Sergiusza Piaseckiego w prezencie na swoje dziewięćdziesiąte urodziny.

² *Ibidem*.

później także broń, ulotki oraz korespondencję ZWZ, Placówki W, organizacji Muszkieterowie i listy prymasa Augusta Hlonda do kard. Adama Sapiehy. Przeprowadzał również ludzi, np. latem 1941 r. przeprowadził na Węgry dwóch zbiegłych z niewoli lotników brytyjskich. Był uważany za jednego z najlepszych kurierów Bazy ZWZ i Placówki W na Węgrzech.

W lipcu 1941 r. kpt. Wincenty Medyński skontaktował Frączyściego z płk. Janem Zientarskim, szefem komórki przerzutowej Obozu Polski Walczącej, tajnej organizacji polityczno-wojskowej założonej przez piłsudczyków. Zientarski nakłonił go, by w ramach pracy kurierskiej przeprowadzał do kraju oficerów WP związanych z OPW. Od sierpnia do października 1941 r. „Staszek” przeprowadził z Węgier do Polski m.in. ppłk. Adama Borkiewicza, ppłk. Mieczysława Szumańskiego, płk. Józefa Koczwarę, płk. Tadeusza Wasilewskiego, ks. płk. Antoniego Zapałę³. Współpraca Frączyściego z piłsudczykami została dostrzeżona przez jego przełożonych z Placówki Piotra Zalewskiego i Wacława Felczaka (po wojnie przez wiele lat więzionego przez komunistów). Zażądali oni ujawnienia nazwisk przeprowadzanych osób, Frączyście jednak odmówił. Po powrocie z ostatniej wyprawy ok. 10 października, przygotowując się do szczególnego zadania, zleconego mu przez piłsudczyków, zataił przed nimi swój pobyt w Budapeszcie. Tym wyjątkowym zadaniem okazało się przeprowadzenie do Polski marsz. Rydza-Śmigłego, czego oczywiście ze względów konspiracyjnych młodemu góralowi nie ujawniono. Jeden ze zleceniodawców Frączyściego poinformował natomiast Felczaka i Zalewskiego o pobycie kuriera w Budapeszcie. Frączyście spotkał się na dworcu w Budapeszcie ze Śmigłym i towarzyszącymi mu osobami 25 października 1941 r. Zjawienie się na dworcu Felczaka i Zalewskiego zakłóciło pierwotny plan działania i ostatecznie „Staszek” wyruszył do kraju tylko z marsz. Śmigłym i wicewojewodą tarnopolskim Bazylim Rogowskim. Dwa dni później byli już na terenie okupowanego kraju. Po krótkim pobycie w domu Franciszka Frączyściego, cała trójka udała się do Krakowa, a następnie Warszawy.

W listopadzie Frączyście wrócił do Budapesztu, aby już wkrótce wyruszyć do kraju z płk. Zientarskim, który później został komendantem Okręgu Radomsko-Kieleckiego AK. W tym czasie był już jednak poszukiwany przez gestapo. Niemiecki patrol graniczny zatrzy-



³ Biogramy wymienionych postaci zob. M. Gałęzowski, *Wierni Polsce. Ludzie konspiracji piłsudczykowskiej 1939–1947*, Warszawa 2005.

Fot. ze zbiorów rodziny



Stanisław Frączysty (stoi przy drzwiach po prawej stronie) z bliskimi

mał go 18 lutego 1942 r. w rejonie Chochołowa, ale Frączysty zdołał zbiec. Niedługo cieszył się wolnością. W nocy z 21 na 22 lutego 1942 r., w wyniku zeznań jednego z jego współpracowników, Niemcy namierzili go w Czerwiennem pod Chochołowem. Gestapowcy przybyli do wsi przebrani w stroje góralskie i sutanny księży, a Frączystego rozpoznał towarzyszący im tłumacz Domaradzki. Niemcy przewieźli polskiego kuriera do więzienia Pałace w Zakopanem.

„Kiedy wyprowadzili mnie w środek, wszyscy gestapowcy oglądali mnie jak w cyrku, prócz tego każdy po kolei próbował na mnie swoich pięści, za wszystkie moje i nie moje sprawy. Dziwiło ich tylko, że chłopak młody, nieokrzesany, w starym góralskim ubraniu mógł tyle nabroić” – wspomina⁴. Był przesłuchiwany przez szefa zakopiańskiej placówki gestapo Roberta Weissmanna oraz podległych mu funkcjonariuszy – Benewitza i Mazurkiewicza. „Pierwsze pytanie: *kensi dojez*, ja ani mru-mru, oni po kolei sami dawali odpowiedź po moim pysku. Znasz niemiecki, pyta Mazurkiewicz. Ani słowa nie odpowiadam. My cię tu nauczymy, *rzecz*; ja grzechniutko, że w szkole uczyli mnie siedem lat, a nie nauczyli ani słowa po niemiecku, to wątpię, czy przez te kilka dni zdążą mnie nauczyć. Tłumacz przetłumaczył Niemcowi, co powiedziałem, ten się wściekł na taką odpowiedź – wybuchnął wrzaskiem *du frecht polnisze szwajne* i rzuciwszy się na mnie biciem i kopaniem, powalił mnie na ziemię, kopiąc mnie i bijąc. Straciłem przytomność”⁵.

⁴ S. Frączysty, *Organizacja podziemna na Podhalu*, mps. udostępniony przez autora.

⁵ *Ibidem*.

Podczas kolejnych licznych przesłuchań bito go gumowymi pałkami. „Benewitz z Mazurkiewiczem, poza normalnym biciem gdzie popadło, a dopóty im się nie znudziło, przewieszali delikwenta przez poręcz krzesła, tył wypięty w górę naprężony. Mazurkiewicz trzymał głowę między swymi nogami, a Benewitz grubym dębowym kijem pomalutku obliczał po kilkanaście kijów po wypiętej części ciała seriami po finf po zechn po zwanych, zależy, jak mu humor dopisywał. Drugim jego popisowym akordem było wieszanie więźnia za ręce do tyłu ponad drzwi. Związano mi ręce do tyłu, sznur ponad drzwi, poderwano krzesło, na którym trzeba było stanąć, i zwiisałem w powietrzu 30 cm nad ziemią, lecz stopniowo odległość malała, ręce wyciągały się jak struny do podłogi już 20 cm, 10 cm, 5 cm, ale nigdy mi nogi nie dosięgały podłogi, po kilkunastu minutach mdlałem i prawie zawsze przychodziłem do przytomności obłany wodą, w rechocie i śmiechu przychodzących oglądać to widowisko gestapowców. Codziennie przechodziłem swoją porcję bicia i wieszania, aż cały tyłek nabrał takiej objętości i zaognienia, że zaczął gnąć [...]. Na ręce i nogi założono mi kajdany przykute łańcuchem do ściany [...]. Ciało paliło mnie jak pod dotknięciem rozżarzonego żelaza. Łańcuchy nie pozwalały usiąść ani zmienić pozycji” – wspominał⁶.

„Staszek” nie przyznał się do działalności w konspiracji. Później przewieziono go do Krakowa, gdzie przez dziesięć dni był przetrzymywany w więzieniu przy ul. Montelupich i przesłuchiwany przez gestapo przy ul. Pomorskiej. Do Auschwitz-Birkenau przywieziono go 26 marca 1942 r. Otrzymał numer obozowy 272357. Brał udział w obozowym ruchu oporu. Ponad dwa lata później, 7 grudnia 1944 r., wywieziono go do Weimaru, gdzie znajdowała się filia obozu koncentracyjnego Buchenwald. Pracował w fabryce broni. Zbiegł 10 lutego 1945 r. Schwymano go w Sudetach, ale nie został rozpoznany i jako Czech Jan Žižka (jak słynny przywódca czeskich husytów z XVI w.) znalazł się w kolejnym obozie niemieckim w Buchenwaldzie.

Po oswobodzeniu obozu przez Amerykanów 11 kwietnia 1945 r. został zatrudniony jako pracownik cywilny armii amerykańskiej w rejonie Ratyzbony. Pełnił funkcję zaopatrzeniowca lokalnych ośrodków dla uchodźców i zwolnionych z robót. W listopadzie 1946 r. wrócił do kraju i objął gospodarstwo ojca. Założył rodzinę. Miejscowe władze komunistyczne traktowały go podejrzliwie. W 1947 r. był dwukrotnie przesłuchiwany w Krakowie przez funkcjonariuszy UB. Indagowano go o działalność kurierską w czasie okupacji niemieckiej i pobyt w Niemczech po wojnie. Jak się wydaje, komuniści nie byli do końca zorientowani w jego działalności okupacyjnej, chociaż zarzucano mu, że wrócił do kraju w celu kontynuowania pracy kurierskiej. W 1948 r. został na krótko aresztowany, był więziony w WUBP w Krakowie. Swoją działalność okupacyjną ujawnił dopiero w 1958 r. Jak pisał do Biura Historycznego ZBoWiD w Krakowie, chciał zanotować swoje wspomnienia zaraz po przyjeździe do kraju w końcu 1946 r., „jednak na skutek sytuacji, jaka wtenczas zaczynała się, a w latach późniejszych istniała, nie można było z całą dokładnością przejść mych opisywać, lepiej było w ukryciu jakoś wegetować”⁸. Za swoją działalność w czasie wojny został odznaczony Krzyżem *Virtuti Militari* V kl., Krzyżem *Walecznych*, Krzyżem *Oficerskim* Orderu *Polonia Restituta*, Krzyżem *Armii Krajowej*, Krzyżem *Oświęcimskim*.

⁶ *Ibidem*. Zob. też M. Leyko, *Palace. Katowia Podhala. Tajemnice lochów gestapowskiej placówki w Zakopanem*, wyd. 3, Warszawa 1976, *passim*.

⁷ *Księga pamięci. Transporty Polaków do KL Auschwitz z Krakowa i innych miejscowości Polski południowej 1940–1944*, red. naukowa F. Piper, I. Strzelecka, t. 2, Warszawa–Oświęcim 2002, s. 911.

⁸ *Sprawozdanie z pracy kurierskiej...*

Od drugiej połowy lat pięćdziesiątych działał społecznie na terenie gminy chochołowskiej, m.in. w kółkach rolniczych, spółdzielczości, organizacjach sportowych, przez kilkanaście lat był sołtysiem w Chochołowie. W 1965 r. zeznawał jako świadek w procesie Roberta Weissmanna we Freiburgu. Zajmował się również upamiętnianiem lokalnych wydarzeń historycznych i uczestników walk o niepodległość Polski. Doprowadził do uporządkowania na cmentarzu w Chochołowie mogiły grupy zakładników rozstrzelanych przez Niemców 29 grudnia 1939 r. oraz kilku partyzantów Józefa Kurasia „Ognia”, poległych w 1947 r. w Dolinie Chochołowskiej. Zainicjował położenie kamienia pamiątkowego przed kościołem parafialnym w Chochołowie, poświęconego powstańcom chochołowskim z 1846 r., oraz głazu pamiątkowego przy granicy polsko-słowackiej w pobliżu miejsca, w którym przekroczył ją marsz. Śmigły. Wystąpił z inicjatywą wykonania tablicy na ścianie domu Franciszka Frączystego, w którym powołano chochołowski oddział Dywersji Pozafrontowej i gdzie znajdował się również punkt kontaktowy kurierów oraz zatrzymywały się wszystkie prowadzone przez niego do kraju osoby. Uroczystość odsłonięcia tablicy odbyła się 11 listopada 2004 r. Wielokrotnie brał udział w uroczystościach upamiętniających więźniów niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau. Był jednym z 32 byłych więźniów różnych narodowości, którzy 28 maja 2006 r. spotkali się w byłym obozie Auschwitz I z papieżem Benedyktem XVI, i jednym z trzech, którzy wręczyli papieżowi zapalony znicz, złożony następnie przez Benedykta XVI pod Ścianą Śmierci.



Fot. ze zbiorów rodziny

W następnym roku Stanisław Frączysty uroczystość obchodził dziewięćdziesiąte urodziny, w których mogłem, jako gość, uczestniczyć. Zmarł 7 lutego 2009 r. w swoim domu rodzinnym. Dwa dni wcześniej skończył 92 lata. Został pochowany na cmentarzu parafialnym w Chochołowie.

TRUDNE POWROTY

Martyrologia więźniów niemieckich obozów koncentracyjnych została dość wszechstronnie opisana, omówiona i zbadana. Do dziś natomiast mało znane są powojenne losy obozowych ofiar. A przecież odzyskanie wolności nie uwolniło ich od ciężaru wspomnień – ocaleni od zagłady „dźwigali” w sobie багаż przebytego koszmaru. Obozowe przeżycia nie tylko głęboko zapadły w świadomość, ale również kształtowały osobowość i wpływały na dalsze zachowania byłych więźniów.

Wyszedłem z obozu tylko dzięki wyjątkowo szczęśliwym okolicznościom, ale też obciążony dolegliwościami fizycznymi i psychicznymi. Miałem za sobą cztery lata życia w ciągłym strachu, cztery lata różnych tortur i prześladowań, nie tylko fizycznych. To, że nie poddałem się i nie zostałem unicestwiony, zawdzięczam z całą pewnością wyjątkowej odporności fizycznej, a także temu, iż będąc w najtrudniejszych sytuacjach, spotkałem w obozie życzliwych ludzi, którzy udzielali mi pomocy. Wielu moim kolegom-więźniom, którzy stracili życie, zabrakło zarówno tego łutu szczęścia, jak i ludzkiej życzliwości.

Moja obozowa przeszłość nie ułatwiała mi nawiązania bliższego kontaktu z osobami, które spotkałem po opuszczeniu KL Auschwitz. Różniłem się od ludzi „normalnych”, wśród których się znalazłem. Dla wielu z nich byłem nieszczęśliwym człowiekiem „stamtąd”, który zasługuje jedynie na współczucie. Trudno mi się było z tym pogodzić, więc (w pewnym uproszczeniu) uznałem „normalnych” ludzi „z wolności” za stado przeciętniaków, którzy nic nie wiedzą o życiu albo wiedzą zbyt mało i nie mogą się z nami – ludźmi „stamtąd” – równać, bo my w obozach poznaliśmy „ekstremalne” tajniki ludzkiej natury. My wiedzieliśmy, że w człowieku tkwi bestia o dzikich i sadystycznych skłonnościach, że zabijanie może stać się rozrywką dla zdegenerowanych zbrodniarzy – obojętnie, czy ubranych w esesmańskie mundury, czy w pasiaki z bindą blokowego, kapo, vorarbeitera czy lagerältestera. Kto ze zwykłych, „normalnych” ludzi wie, co to naprawdę GŁÓD? Czy widział ktoś z nich człowieka jedzącego trawę lub liście z drzew, zbierającego odpadki ziemniaczane albo obierzyny z brukwi, wykrawającego pośludki z nieboszczyka?! Ludzie „stamtąd” widzieli to. Musieli przeżyć wiele koszmarnych, niewiarygodnych sytuacji. Często musieli żyć jak bydło – tak nas zresztą „tam” nazywano. Więźniowie obozów koncentracyjnych mieli świadomość, że człowiek w mundurze SS nazywający siebie „nadczołowiekiem” może popełnić na drugim człowieku, odmiennej rasy czy narodowości, najgorsze czyny, z odebraniem mu życia włącznie.

Powrót do normalnego życia zależał przede wszystkim od stanu zdrowia byłych więźniów (trzeba przypomnieć, że wielu z nich zostało kalekami i inwalidami jeszcze w obozie). Zarówno starsi, jak i młodszy „kacetowcy”, po przeprowadzonych na nich eksperymentach medycznych, wcześniej odchodzili do wieczności.

Szybciej porozumienie z „normalnymi” ludźmi umieli znaleźć starsi więźniowie. Mogli wracać do swoich dawnych zawodów, co pozwoliło im na w miarę szybką „asymilację”, tym bardziej że łatwiej aniżeli więźniowie urodzeni w latach 1920–1926 potrafili dostosować się do powojennego chaosu politycznego. Młodszy więźniowie, jeśli rozpoczęli studia przed wojną, przy sprzyjających warunkach mogli je kontynuować. Wielu z nich nie miało jednak nawet matury. W obozowe piekło wchodzili jako ludzie jeszcze bardzo młodzi, nieukształ-

towani. Otrzymanie cenzusu, absolutorium szkoły średniej czy wyższej otwierało im możliwość powrotu do normalnej społeczności. Powrót ten jednak nie był łatwy ani szybki, chociażby z powodu chorób lub ogólnego wycieńczenia.

Nie sposób też pominąć tych byłych więźniów obozów koncentracyjnych, którzy nie pogodzili się z narzuconym Polsce systemem politycznym i włączyli się do powojennej konspiracji antykomunistycznej. Ich działalność, podobnie jak walka akowców czy byłych żołnierzy NSZ, na ogół kończyła się tragicznie.

Oprócz twórcy konspiracji obozowej i bohatera KL Auschwitz rtm. Witolda Pileckiego (nr 4859) – zamordowanego w maju 1948 r. w więzieniu mokotowskim poprzez strzał w tył głowy – z rąk komunistycznych siepaczy zginęli jeszcze czterej inni więźniowie tego obozu zagłady. Byli to: Tadeusz Cieśla (nr 3750), Władysław Lisiecki (nr 9642), Bronisław Wieczorek (nr 612) i Stefan Surzycki (nr 7783), który po ciężkich przesłuchaniach zmarł w ubeckim więzieniu.

Komunistyczne represje dotknęły ponadto wielu byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Wymienię tylko niektórych:

- Elsa Abt (nr 24402), świadek Jehowy, więziona za przekonania przez cztery lata;
- Władysław Bartoszewski (nr 4427), podczas okupacji działacz Rady Pomocy Żydom; bezpośrednio po wojnie był związany z Polskim Stronnictwem Ludowym i prawie siedem lat przesiedział w różnych aresztach i więzieniach UB;
- Stanisław Chybiński (nr 6810), był zastępcą inspektora AK w obozowym ruchu oporu i uciekł z KL Auschwitz; ponieważ posiadał dokumenty poszukiwane przez UB i Józefa Cyrankiewicza, nęcano go ciągłymi rewizjami, a w końcu aresztowano i skazano na prawie pięć lat pozbawienia wolności;
- Wojciech Drewniak (nr 415), otrzymał wyrok śmierci zamieniony na dożywocie, z czego do amnestii odsiedział pięć lat;
- Bogdan Gliński (nr 10958), lekarz, dwukrotnie aresztowany i osadzony w więzieniu na Montelupich w Krakowie za działalność polityczną wśród studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego;
- Leonard Grosicki (nr 62441), po powrocie do kraju przebywał w więzieniu osiem lat;
- Marian Kotyrba (nr 27578 KL Flossenbürg), za powiązania z AK przebywał w więzieniu trzy lata;
- Janusz Krasieński (nr 191497), literat i publicysta; za rzekome szpiegostwo na rzecz USA dostał wyrok piętnastu lat więzienia, z czego odsiedział dziewięć lat;
- Jan Nogowczyk (nr 56917), w mokotowskim więzieniu w Warszawie przebywał dwa lata;
- Kazimierz Piechowski (nr 918), bohaterski uciekinier z KL Auschwitz; został skazany na dziesięć lat pozbawienia wolności, z czego odsiedział siedem lat;
- Jan Pierzchała (nr 55) z Wrocławia; w niemieckich obozach koncentracyjnych przebywał pięć lat, a w komunistycznych celach więziennych – siedem lat;
- Aleksander Rozenfeld (nr 123550), za działalność w powojennej konspiracji przebywał w więzieniu szesnaście lat;
- Alojzy S. Szczygieł (nr 66628), lekarz; skazany na sześć lat więzienia, z czego odsiedział pół roku;
- inż. Kazimierz Tymiński (nr 25539), był więziony przez prawie rok;
- Mieczysław Wilczyński (nr 136838), skazany na pięć lat więzienia, z czego odsiedział prawie dwa lata.

Adam Cyra w swoim opracowaniu *Ochotnik do Auschwitz*, jako ofiary terroru i przesładowań ze strony UB wymienia m.in.: ks. Franciszka Blachnickiego (nr 1201), Józefa Ciepłego (nr 169400), Edwarda Ciesielskiego (nr 12969), Stanisława Cybulskiego (nr 156089), Henryka Dziegielewskiego (nr 121412), Franciszka Faix-Limanowskiego (nr 130377), Emanuela Hamerłę (nr 104160), Kazimierza Kaputę (nr 138686), Edwarda Kiczmanowskiego (nr 3414), Mariana Kołodzieja (nr 432), Jana Olszyńskiego (nr 39231), Edwarda Padkowskiego (nr 16366), Witolda Różyckiego (nr 5034), Stanisławę Rachwałową (nr 26281), Zbigniewa Sieradzkiego (nr 633), Józefa Stemlera (nr 13571), Kazimierza Szelesta (nr 3454), Józefa Webera (nr 15386).

W 1946 r. zostałem aresztowany przez patrol żołnierzy NKWD podczas nielegalnego przekraczania granicy i osadzony w obozie przejściowym koło Drezna. Znalazłem się w grupie około dwustu osób (również zatrzymanych na granicy), którą po ośmiu tygodniach skierowano do Urzędu Bezpieczeństwa w Polsce. Udało mi się uciec z transportu, ale już w latach 1948 i 1957 poznałem metody bezpieki: aresztowano mnie dwukrotnie, byłem bity i poddawany brutalnym przesłuchaniom.

Takich ostrzegawczych zatrzymań byłych więźniów KL Auschwitz było więcej. Dotknęły one m.in.: Tadeusza Pietrzykowskiego (nr 77), Tadeusza Kośmidera (nr 624), Józefa Hordyńskiego (nr 347), Kazimierza Albina (nr 118), Franciszka Romana (nr 5770), Andrzeja Łępkowskiego (nr 95845). Wszyscy byli przesłuchiwanymi przez funkcjonariuszy UB.

Dla ludzi, którzy przeżyli hitlerowskie obozy koncentracyjne, najgorsze w tym powojennym doświadczeniu było to, że represje spotykały ich ze strony rodaków. Smutne i niepojęte było również to, że przesładowania te odbywały się w okresie, kiedy premierem był Józef Cyrankiewicz, niegdyś więzień KL Auschwitz (nr 62933).

W środowisku byłych więźniów obozów koncentracyjnych w peerelowskim ZBoWiD władze komunistyczne i SB wietrzyły opozycję polityczną. Podejrzenia i zarzuty były czasem wręcz śmieszne – np. w stosunku do więźniarek z Klubu Ravensbrück, że „modlą się podczas koleżeńskich spotkań, a lokal ZBoWiD to nie kościół”. W charytatywnych pracach organizacji „Maximilian Kolbe Werk” dopatrywano się działalności szpiegowskiej, a Józefa Mikusza (nr 7794), odpowiedzialnego za prawidłowe przekazywanie darów dla byłych ofiar, poddawano wielokrotnym przesłuchaniom.

Wojenne przeżycia obozowe spowodowały, że niektórzy byli więźniowie przyjęli strategię „brania z darowanego życia jak najwięcej” – w przynależności związkowej lub partyjnej szukali „parasola ochronnego”. Tylko nieliczni z nich „wierzyli w komunizm”. Większość byłych „kacetowców”, którzy należeli do ZSL, SD czy PZPR, legitymacjami partyjnymi ułatwiała sobie życie i ochraniała się przed zainteresowaniem bezpieki.

Istnieje pilna potrzeba uzupełnienia luki badawczej, którą są komunistyczne represje wobec byłych więźniów obozów koncentracyjnych. A ludzi tych jest już coraz mniej...

Bibliografia

- Adam Cyra, *Ochotnik do Auschwitz – Witold Pilecki 1901–1948*, Oświęcim 2000.
Grzegorz Gałęzia, Krzysztof Białoskórski, *Ci, którzy przeżyli*, Warszawa 2002.

KAZIMIERZ SZOŁOCH

(8 kwietnia 1932 – 10 marca 2009)

Po długiej i ciężkiej chorobie zmarł w Gdańsku Kazimierz Szołoch – legendarny przywódca strajku w Stoczni Gdańskiej im. Lenina w Grudniu '70, działacz Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża, Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, współpracownik KSS „KOR” i KPN, członek NSZZ „Solidarność”.

Szołoch pochodził z patriotycznej, wielodzietnej rodziny (miał pięciu braci i trzy siostry) osiadłej na gospodarstwie w Raciborowicach, w powiecie hrubieszowskim na Lubelszczyźnie. Jego ojciec – Teodor Szołoch – był oficerem armii gen. Józefa Hallera, walczył z bolszewikami w 1920 r. i był kawalerem Krzyża Virtuti Militari. W czerwcu 1943 r. został pojmany w Starachosławiu przez żandarmów niemieckich, a później zamordowany przez Ukraińską Powstańczą Armię. Jeden z jego starszych braci, Jan, był żołnierzem AK i w lutym 1945 r. został zamordowany przez NKWD w Białymopolu. Najstarszy z braci (przyrodni), Franciszek, również żołnierz AK, w 1945 r. został aresztowany przez bezpiekę w Gdańsku i wkrótce skazany na karę śmierci. Wyroku nie wykonano, a karę zamieniono na więzienie.

Po odbyciu służby wojskowej i zawarciu małżeństwa z Janiną z d. Kruczyńską (1936–2000), Szołoch osiadł w Gdańsku w 1955 r. Był pracownikiem Stoczni Remontowej, „Mostostalu” i Zakładów Okrętowych Urządzeń Chłodniczych „Klimor”; te ostatnie delegowały go do Stoczni Gdańskiej im. Lenina. W Grudniu 1970 r. został członkiem Komitetu Strajkowego w Stoczni Gdańskiej i brał udział w demonstracjach, m.in. przemawiając pod siedzibą dyrekcji zakładu i Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Gdańsku. Po Grudniu ukrywał się. Kiedy władze zwróciły się z apelem do robotników, by zgłaszali się po nowe przepustki do zakładów pracy, gwarantując przy tym, że nie grozi im żadna kara za udział w demonstracjach, Szołoch stawiał się w „Klimorze”. Był śledzony i inwigilowany przez SB. W dniu 22 grudnia 1970 r. SB i dyrekcja „Klimoru” zorganizowały obławę na Szołocha, który jednak zdołał uciec. Przez kilka tygodni ukrywał się na południu kraju bez kontaktu z żoną i dziećmi. Został zwolniony z pracy.

W połowie stycznia 1971 r. Szołoch powrócił do Trójmiasta. Ze względu na chorobę zawodową i wyczerpanie psychiczne poddał się leczeniu. Przywrócony do pracy w „Klimorze” był zatrzymywany i nękany przez SB. We wrześniu 1971 r. bezpieka po raz kolejny usiłowała zatrzymać go na terenie zakładu pracy, tym razem w Stoczni Gdańskiej im. Lenina. Dzięki pomocy stoczniowców wycofał się na teren zakładu i zdołał uciec. Po tym wydarzeniu ponownie ukrywał się. Po kilku dniach dotarł do Warszawy. W dniu 27 września 1971 r. zgłosił się do siedziby KC PZPR, gdzie złożył pisemny protest przeciwko ciągłym prześladowaniom adresowany do I sekretarza Edwarda Gierka. Napisał w nim m.in.: „Tow. Gierku upłynęło już dużo czasu od wydarzeń grudniowych, ale jeszcze nie mam spokoju. Przez 9 miesięcy Komenda Wojewódzka MO w Gdańsku nie daje mi spokoju. Co pewien czas zzywa mnie na przesłuchania. Nawet podczas pracy potrafią przyjechać i szukać mnie po stoczni”. Mimo to był w dalszym ciągu zzywany na przesłuchania i szykanowany w pracy. Dnia 16 marca 1974 r. został ponownie zwolniony z pracy w „Klimorze”. Przez ponad



rok pozostawał bez pracy i środków do życia, mając na utrzymaniu żonę i czworo dzieci. W czerwcu 1975 r. przyznano mu rentę inwalidzką z tytułu choroby zawodowej (pylica).

W lutym 1978 r. Szołoch nawiązał kontakt ze środowiskiem działaczy antykomunistycznych w Trójmieście, m.in. z Bogdanem Borusewiczem, Andrzejem Gwiazdą, Dariuszem Kobzdejem, Krzysztofem Wyszowskim. Udostępniał swój dom w Gdańsku-Oliwie na spotkania konspiracyjne, np. wykłady Lecha Kaczyńskiego. W dniu 27 kwietnia 1978 r. w jego domu przy ul. Poznańskiej odbyło się spotkanie inicjujące działalność WZZ, które przerwała SB. W czerwcu 1978 r. wspierał głodówkę w obronie aresztowanego Błażeja Wyszowskiego. Był kolporterem prasy niezależnej. Brał udział w manifestacjach upamiętniających masakrę Grudnia '70 pod Stoczną Gdańską im. Lenina, gdzie w 1978 r. wygłosił przemówienie.

W późniejszym okresie Szołoch związał się ze środowiskiem ROPCiO i Konfederacji Polski Niepodległej. W latach 1978–1980 był wielokrotnie zatrzymywany i osadzony w areszcie na 48 godzin. W sierpniu 1980 r. uczestniczył w strajku w Stoczni Gdańskiej. W przełomowym momencie – 16 sierpnia – kiedy ogłoszono zakończenie strajku, opowiedział się za kontynuacją solidarnościowego protestu. Później angażował się w działalność NSZZ „Solidarność”. Przy wsparciu „Solidarności” starał się o przywrócenie do pracy w „Klimorze”. Dnia 13 grudnia 1981 r. szczęśliwie uniknął internowania, gdyż przez dłuższy czas przebywał w rodzinnych stronach na Lubelszczyźnie.

Od 1970 r. był intensywnie rozpracowywany przez Wydział III SB w Gdańsku w ramach sprawy obiektowej krypt. „Jesień '70”, kwestionariusza ewidencyjnego i sprawy operacyjnego sprawdzenia krypt. „Kazek” oraz sprawy operacyjnego rozpracowania krypt. „Kurier”.

Nie mógł znaleźć zatrudnienia. Po 1989 r. szukał pracy na terenie Anglii. Bezsukcesyjnie prosił władze wolnej Polski o pomoc materialną i przyznanie uprawnień kombatanckich za udział w Grudniu '70. W 2007 r. prezydent Lech Kaczyński odznaczył go Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Dobrym słowem i zachętą Szołoch wspierał wolne badania naukowe na temat trójmiejskiego ruchu antykomunistycznego i oporu społecznego. Z radością przyjął książkę IPN *SB a Lech Wałęsa. Przyczynek do biografii*, w której przywrócono go pamięci historycznej i opisano jego inwigilację ze strony TW ps. „Bolek”. Zapewne dlatego osoba Kazimierza Szołocha wywołuje dzisiaj tak wielką niechęć u Lecha Wałęsy, który na wieść o jego śmierci zareagował agresywnym wpisem na swoim blogu. Warto pamiętać, że biografie Wałęsy i Szołocha są jakby równoległe, wzajemnie się przenikające, ale różni je stosunek do prawdy i życiowe wybory. Obaj robotnicy, uczestnicy Grudnia '70, pracownicy Stoczni Gdańskiej. Wałęsa wyparł z pamięci prawdę o Grudniu '70, został przywódcą „Solidarności” i noblistą. Szołoch natomiast był kustoszem pamięci Grudnia '70, przez lata mówił o przemocy władzy ludowej i zdradzie kolegów, zmarł niemal zapomniany, wymazany z kart historii. Przywróciła go publikacja IPN.

Nikt i nic nie jest w stanie przekreślić zasług Kazimierza Szołocha dla niepodległości Polski. Dnia 14 marca 2009 r. był tłumnie żegnany przez rodzinę, przyjaciół i znajomych, przedstawicieli „Solidarności” i IPN, byłych działaczy Komitetu Obrony Robotników, Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża oraz Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Nad grobem Szołocha przemawiali m.in. Andrzej Gwiazda (współzałożyciel WZZ), Antoni Macierewicz (współzałożyciel KOR), Jan Zapolnik (działacz ROPCiO) i Mirosław Golon (dyrektor IPN w Gdańsku). Dla nas wszystkich Kazimierz Szołoch był i pozostanie prawdziwym bohaterem Grudnia '70. „Śpij kolego w ciemnym grobie. Niech się Polska przyśni Tobie...”

Odśpedł wielki Polak, wierny Bogu i Ojczyźnie. Cześć Jego pamięci!

SEAWOMIR CENCKIEWICZ

HELENA FILIPIONEK

(16 maja 1914 – 23 marca 2009)

Urodziła się w wiosce Ostrówka, blisko granicy łotewsko-litewskiej. Jej ojciec zaginał na wojnie w rok po jej urodzeniu. Wraz z licznym rodzeństwem była wychowywana w trudnych warunkach przez matkę w środowisku polskim Dyneburga.

W czasie II wojny światowej aktywnie działała w konspiracji. Miała pseudonim „Basia”. Organizowała pomoc, trudniła się przerzutem paczek, przekazywała informacje. Jako łączniczka poczty partyzanckiej kontaktowała się z harcerzami, którzy przyjmowali skoczków – spadochroniarzy z Anglii.

Po wojnie przez 34 lata pracowała w aptece. Zajęła się ratowaniem materiałów dokumentujących losy Polaków i polskich organizacji na Łotwie. Pieczołowicie przechowywała m.in. spuściznę – w tym rękopisy i korespondencję – swojej nauczycielki, poetki Olgi Daukszty, jednej z najciekawszych osobistości inflanckich, której całe życie nierozdzielnie było związane z polską oświatą, tradycją i kulturą.

Zebrała także kolekcję zdjęć dotyczących m.in. życia Polaków na Łotwie w latach 1915–1945, Drużyny Harcerek im. Emilii Plater, 24. Oddziału AK (Wilno–Karolinowo–Turmonty–Dyneburg). Najcenniejsze ze swych zbiorów przekazała w darze do Domu Polskiego w Dyneburgu. Stała się niekwestionowaną przywódczynią 16-tysięcznej Polonii dyneburskiej. W 1971 r., za walkę o wolność Polski w okresie okupacji, została odznaczona Krzyżem Armii Krajowej. W 1996 r. Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa przyznała Jej Złoty Medal Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej. Została także uprawniona do noszenia Honorowej Odznaki Żołnierzy Armii Krajowej Okręgów „Wilno” i „Nowogród”. IPN przyznał Jej nagrodę Kustosza Pamięci Narodowej 2008.



PAWEŁ PIOTR WIECZORKIEWICZ

(2 lipca 1948 – 23 marca 2009)



Wybitny historyk, sowietolog, autor publikacji o najnowszych dziejach Polski, który stale współpracował z Instytutem Pamięci Narodowej, uczestniczył w wielu konferencjach i projektach naukowych Instytutu, publikował na łamach „Biuletynu IPN”.

Należał do postaci niezwykle kontrowersyjnych, zarówno na płaszczyźnie naukowej, jak i osobistej. Przez szereg lat zmagał się z zarzutami o przynależność do PZPR, chociaż nie zajmował w niej żadnego eksponowanego stanowiska, a w latach osiemdziesiątych występował w obronie oskarżonych

o antysocjalistyczną działalność studentów. Sama jednak partyjna karta stała się w rękach Jego adwersarzy najcięższym orężem; ci argumentowali, że ktoś tylko naznaczony piętnem partii, nie może pisać o historii prawdziwie. Po 1990 r., w przeciwieństwie do części kolegów,

nie zdecydował się na karierę polityczną, choć mu takową proponowano. Uznał, że nowa Polska potrzebuje nowych ludzi. Stąd też tak żarliwie opowiadał się za dekomunizacją i lustracją.

Uczył niezależności. Mógł irytować, ale jednocześnie zmuszał do myślenia. Głosił tezy, które dla większości były nie do przyjęcia i wywoływały burzliwe dyskusje czy nawet zmasowane ataki. Ostatnim z nich okazała się zakrojona na szeroką skalę próba przedstawienia Go jako ksenofoba i, co najbardziej paradoksalne, zwolennika Hitlera. Na posiedzeniu Rady Naukowej IH UW został odsądzony od czci i wiary, a prowadzone przezeń seminarium magisterskie nazwano parasolem ochronnym dla nazistów. Ponieważ nie podnosił się już wówczas z łóżka, nie miał najmniejszych możliwości obrony.

Do samego końca wierzył, że będzie zdrowy, dokończy monumentalną historię polityczną PRL, napisze książkę na rocznicę września 1939 r., uzupełni *Historię wojen morskich* i przygotuje drugie, zmienione i uaktualnione wydanie *Łańcucha śmierci*. Cały czas był aktywny. Zrezygnował z radia i telewizji, ale wciąż pisał: do „Arcanów” o Mieczysławie Rakowskim czy dla Oficyny Wydawniczej Volumen, oddając kilkudziesięciostronicowy tekst na cztery dni przed śmiercią. W ostatnim stadium choroby zgodził się na zorganizowanie w domu egzaminu magisterskiego, choć uczestniczenie w nim przyszło Mu z najwyższym trudem.

W tym wszystkim przejawiała się Jego siła. W rozmowach telefonicznych i coraz radszych spotkaniach z przyjaciółmi podkreślał, że czuje się nieźle, że jest już całkiem dobrze, że czeka na kolejny etap leczenia w Centrum Onkologii, któremu poddawany był od ponad dwóch lat. Przebijały z niego optymizm i nadzieja. Stąd Jego odejście stało się tak wielkim szokiem i faktem, z którym tak trudno się pogodzić. Należy mieć tylko nadzieję, że tak jak On kontynuował dzieło swojego mistrza Ludwika Bazyłowa, tak wychowani przezeń historycy, nauczeni przede wszystkim nonkonformizmu, będą kończyć to, czego sam nie zdołał już zrobić.

JUSTYNA BŁĄŻEJOWSKA

MARIA WSZELACZYŃSKA-SZASZKIEWICZ

(7 września 1912 – 29 marca 2009)

Urodziła się we Lwowie. W młodości odebrała gruntowne wykształcenie, kończąc Wydział Rolniczo-Lasowy Politechniki Lwowskiej. Do września 1939 r. pracowała w wielu placówkach naukowo-badawczych m.in. w Państwowym Instytucie Naukowym Gospodarstwa Wiejskiego w Puławach bądź Państwowym Zakładzie Higieny w Warszawie. Podczas okupacji szybko włączyła się w konspirację, przyjmując pseudonim „Weronika”. Początkowo pełniła funkcję łączniczki ZWZ-AK w okolicach Julina. W 1943 r. w związku z podjęciem pracy w Puławach została łączniczką z Dęblinem i Opolem Lubelskim oraz prowadziła wspólną dla AK i BCh skrzynkę kontaktową. W maju 1944 r. przydzielono ją do oddziału partyzanckiego dowodzonego przez Bolesława Mikusa ps. „Żbik” walczącego w okolicach Puław.

W 1946 r. doktoryzowała się w Katedrze Biologii i Genetyki UMCS w Lublinie i została zatrudniona w charakte-



rze starszego asystenta Zakładu Histologii i Embriologii Akademii Lekarskiej w Gdańsku. W Jej mieszkaniu przeprowadzono rewizję, podczas której odnaleziono odręcznie przepisany wiersz Mieczysława Hemara pt. *Odpowiedź*, „szkalujący” Polskę Ludową. Utwór był ripostą na *Gryps do Jana Lechonia* autorstwa Jana Brzechwy, opublikowany w 1946 r. na łamach „Szpilek”, szydzący z postaw emigracyjnych pisarzy i będący elementem propagandowym władz państwowych. Rzutował on na wysokość późniejszego ośmioletniego wyroku, albowiem eksponował jej antykomunistyczne przekonania. W więzieniu poznała Elżbietę Zawadzka „Zo”. Zwolniona w 1955 r. powróciła do Gdańska i dokończyła studia medyczne. Do momentu przejścia na emeryturę w 1975 r. pracowała w I Klinice Chorób Wewnętrznych w Gdańsku.

Podeszły wiek nie przeszkodził dr Wszelaczyńskiej-Szaszkiewicz włączyć się w ruch solidarnościowy. W stanie wojennym została kurierką „Solidarności”, rozwożąc po kraju pieniądze i korespondencję. W marcu 2007 r. prezydent Lech Kaczyński nadał Marii Wszelaczyńskiej-Szaszkiewicz Krzyż Komandorski Odrodzenia Polski za wybitne zasługi dla niepodległości Polski. Wcześniej została odznaczona londyńskim Krzyżem Armii Krajowej.

ANDRZEJ STELMACHOWSKI

(28 stycznia 1925 – 6 kwietnia 2009)

Urodził się w Poznaniu. W okresie okupacji był żołnierzem Armii Krajowej. Studia prawnicze odbywał na Uniwersytecie Warszawskim (podziemnym w latach 1943–1944) oraz na Uniwersytecie Poznańskim w latach 1945–1947. Po studiach pracował w sądownictwie, z którego został zwolniony za udział w pielgrzymce prawników do Częstochowy (1957). Był profesorem Uniwersytetu Wrocławskiego, Uniwersytetu Warszawskiego, Akademii Teologii Katolickiej; członkiem Prymasowskiej Rady Budowy Kościołów, Komisji Episkopatu „Iustitia et Pax”, Komisji Episkopatu ds. Duszpasterstwa Rolników; doradcą Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Stoczni Gdańskiej (VIII 1980); ekspertem w Ośrodku Prac Społeczno-Zawodowych przy Komisji Krajowej Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Rolników Indywidualnych „Solidarność” (1980–1981). W okresie stanu wojennego był doradcą Tymczasowej Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”. Później został przewodniczącym Komitetu Organizacyjnego Fundacji Rolniczej, członkiem Kościelnego Komitetu Rolniczego i prezesem Warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej. Uczestniczył w obradach plenarnych okrągłego stołu. Jako senator został marszałkiem senatu RP w latach 1989–1991. Od lutego 1990 do 11 maja 2008 był prezesem Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” w Warszawie. W lutym 2007 r. został doradcą prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Ważniejsze prace naukowe: *Posiadanie w prawie polskim*, *Kontraktacja produktów rolnych*, *Wstęp do teorii prawa cywilnego*, *Zarys teorii prawa cywilnego*, *Kształtowanie się ustroju III-ej Rzeczypospolitej*, *Prawo rolne na tle ustawodawstwa Unii Europejskiej*.



WYDARZENIA **PRACOWNICY IPN UHONOROWANI – 7 KWIECZNIA**



Fot. P. Życieński

W Pałacu Prezydenckim odbyła się uroczystość wręczenia orderów i odznaczeń zasłużonym pracownikom Instytutu Pamięi Narodowej. Lech Kaczyński odznaczył historyków za wybitne zasługi w działalności państwowej i publicznej, za osiągnięcia w dokumentowaniu i popularyzowaniu prawdy o najnowszej historii Polski.



Fot. P. Życieński

Prezes Instytutu Janusz Kurtyka został odznaczony Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski. Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski otrzymali: Zbigniew Nawrocki, Włodzimierz Suleja, Jan Żaryn; Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski – Jan Baster, Dariusz Gabrel, Dorota Koczańska-Kalita; Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski – Piotr Gontarczyk, Łukasz Kamiński, Jan Kołodziejcki, Tomasz Łabuszewski; Złoty Krzyż Zasługi – Waldemar Grabowski, Marzena Kruk, Zbigniew Kulikowski, Agnieszka Łuczak, Jacek Pawłowicz; Srebrny Krzyż Zasługi – Dariusz Byszuk, Marcin Krzysztofik, Wiesława Młynarczyk, Anna Piekarska, Sławomir Poleszak i Rafał Wnuk (nieobecny).



Fot. P. Życieński

ZMIANA DYREKCJI BEP IPN

Prezes Instytutu Pamięci Narodowej dr hab. Janusz Kurtyka odwołał dr. hab. Jana Żaryna z funkcji dyrektora Biura Edukacji Publicznej i z dniem 15 kwietnia br. powołał go na stanowisko doradcy Prezesa IPN. Pełniącym obowiązki dyrektora BEP został dr Łukasz Kamiński, dotychczasowy wicedyrektor.

JMR



Fot. P. Życieński

Artur Cegiela – student IV roku Wydziału Historii i Nauk Społecznych UKSW, pracownik BUiAD IPN w Warszawie.

Marek Gałęzowski – dr n. hum. (UJ), członek redakcji czasopisma „Niepodległość”, pracownik BEP IPN, wcześniej ROPWiM, zajmuje się biografistyką uczestników walk o niepodległość Polski.

Anna Jagodzińska – historyk, absolwentka IH UAM, starszy kustosz w BUiAD IPN w Warszawie.

Sławomir Kalbarczyk – dr historii, pracownik BEP IPN, konsultant historyczny zespołu prokuratorów IPN, prowadzących śledztwo w sprawie Zbrodni Katyńskiej.

Michał Kalisz – historyk, prawnik, doktorant Uniwersytetu Rzeszowskiego, pracownik OBEP IPN w Rzeszowie. Specjalizuje się w badaniu stosunków polsko-żydowskich pod okupacją niemiecką

Łukasz Michalski – historyk, absolwent UW. Nauczyciel historii, rzeczoznawca MEN, autor i współautor ekspertyz edukacyjnych. Pracował m.in. w Muzeum Powstania Warszawskiego i BEP IPN. Mieszka w Waszyngtonie.

Jacek Pawłowicz – absolwent Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Społecznych UW, pracownik OBEP Warszawa, autor kilkudziesięciu artykułów oraz książek, w tym m.in.: *Ludzie płockiej bezpieki. Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Płocku 1945–1956; W osaczeniu. Społeczeństwo Płocka i powiatu płockiego w tajnych dokumentach Służby Bezpieczeństwa w latach 1957–1975; Rotmistrz Witold Pilecki 1901–1948.*

Aleksandra Pietrowicz – historyk, absolwentka IH UAM, pracownik OBEP IPN w Poznaniu, współautorka m.in.: *Raporty z ziem wcielonych do III Rzeszy 1942–1944.*

Zdzisław Jan Ryn – prof. dr hab. med., dr h.c. Universidad Científica del Sur (Lima, Peru, 2006), psychiatra, dyplomata, członek wielu polskich i międzynarodowych towarzystw naukowych, działacz społeczny. Autor ponad 400 publikacji naukowych oraz m.in.: *Psychiatria obozów koncentracyjnych i prześladowań politycznych; Auschwitz Survivors. Clinical-Psychiatric studies.*

Rafał Sierchula – historyk, pracownik OBEP IPN w Poznaniu, badacz dziejów ruchu narodowego w Polsce oraz formacji zbrojnych w okresie II wojny światowej, współautor publikacji *Narodowcy. Myśl polityczna i społeczna Obozu Narodowego w Polsce w latach 1944–1947.*

Aleksander B. Skotnicki – absolwent Akademii Medycznej w Krakowie; prof. zw. UJ, kierownik Katedry i Kliniki Hematologii, wiceprzewodniczący Towarzystwa Lekarskiego Krakowskiego, współorganizator dorocznych zebrań związanych ze styczniową rocznicą wyzwolenia obozu Auschwitz-Birkenau; autor prac z zakresu historii medycyny, postaw lekarzy i losów społeczności żydowskiej w okresie II wojny światowej.

Tadeusz Sobolewicz – aktor teatralny i filmowy. Przed wybuchem wojny mieszkał i uczył się w Poznaniu, w czasie wojny był łącznikiem dowódcy obwodu ZWZ w Tarnowie, a następnie w Częstochowie. Aresztowany 1 września 1941 r., 20 listopada 1941 r. deportowano go do KL Auschwitz transportem z dystryktu radomskiego, następnie więzień Buchenwaldu, Lipska, Mülsen, Flossenbürga i Regensburga. Wyzwolony w maju 1945 r.

Dariusz Tolczyk – absolwent polonistyki UW, doktorat z literatury słowiańskiej na Uniwersytecie Harvarda. Profesor sławistyki na University of Virginia w Charlottesville. Autor wielu prac o literaturze rosyjskiej i polskiej XX wieku, w tym monografii oficjalnej sowieckiej literatury łagrowej *See no Evil (Nie widzieć zła).*

Maria Wardzyńska – dr historii, pracownik BEP IPN, autorka m.in.: *Deportacje na roboty przymusowe do III Rzeszy i Sytuacja ludności polskiej w Generalnym Komisarzacie Litwy, czerwiec 1941–lipiec 1944.*

NOWOŚCI IPN



Obóz pracy przymusowej w Płaszowie (*Zwangsarbeitslager Płaszow des SS- und Polizeiführers im Distrikt Krakau*) zaczęto budować w listopadzie 1942 r. Miał on tymczasowo służyć wykorzystaniu żydowskiej siły roboczej z getta oraz rozwiązać „kwestię żydowską” w Krakowie. Przekształcony 10 stycznia 1944 r. w obóz koncentracyjny (*Konzentrationslager Płaszow bei Krakau*) istniał niemal do końca wojny, zajęty 18 stycznia 1945 r. przez Armię Czerwoną. Początkowo umieszczano w nim ludność żydowską z krakowskiego getta, z czasem trafiali tu mieszkańcy okolic Krakowa, więźniowie podobozów Płaszowa, aresztowani przez Niemców, zatrzymywały się tu przejściowo transporty kierowane do innych obozów. Dla Polaków wydzielono odrębny obóz. Przez cały okres funkcjonowania, w wyniku wyniszczającej pracy i systematycznej eksterminacji fizycznej, obóz płaszowski pochłonął tysiące ofiar, głównie krakowian: Żydów i Polaków. Za jego drutami ginęli też przedstawiciele innych narodowości, m.in. Węgrzy i Cyganie. Publikacja łączy w sobie bogaty i unikalny materiał ikonograficzny z obszernym rysem historycznym obozu. Praca składa się zatem z dwóch – wzajemnie się uzupełniających – części: monograficznej i albumowej, zawierającej 60 zdjęć archiwalnych uzupełnionych fotografiami współczesnymi.



1470136
A. DANIEL